

# Klasyka literatury



**e-tekst.pl**  
*twoja czytelnia*

# ROZBITEK Z „CYNTHII”

Juliusz Verne

# ROZDZIAŁ I

## PRZYJACIEL PANA MALARIUSA

Ani w Europie, ani gdziekolwiek indziej nie istnieje chyba uczony, którego fizjonomia byłaby tak powszechnie znana, jak oblicze doktora Schwaryencrony ze Sztokholmu; jego portret powielany przez kupców pod marką fabryczną na milionach butelek pieczętowanych zielonym lakiem dociera wraz z nimi do najdalszych zakątków świata.

Chcąc być w zgodzie z prawdą musimy wyznać, że owe butelki nie zawierają nic innego jak olej z wątroby dorszów, lek wielce ceniony i nawet skuteczny, który, przynosi Norwegom rok w rok dochód, opiewający na sumy ośmio- lub dziewięciocyfrowe, wyrażane w kronerach, inaczej koronach o wartości jednego franka i trzydziestu dziewięciu centymów.

Niegdyś ową produkcją zajmowali się rybacy. Dziś procesy otrzymywania tych wyciągów są bardziej naukowe i księciem tego dość specjalnego przemysłu jest właśnie słynny doktor Schwaryencrona.

Nie znajdziesz osoby, która by nie zauważyła tej spiczasto przystrzyżonej brody, tej pary okularów, tego zakrzywionego nosa oraz czapki z futra wydry. Rycina nie należy, być może, do najprzedniejszych, ale podobieństwo jest uderzające. Dowodem jest to, co wydarzyło się pewnego dnia w początkowej szkole w Nora, osadzie położonej na zachodnim wybrzeżu Norwegii, o parę mil od Bergen.

Zegar wydzwonił drugą po południu. Dzieci znajdowały się w klasie, obszernym pomieszczeniu wysypanym piaskiem. — dziewczęta po lewej, a chłopcy po prawej — wpatrzone w czarną tablicę, na której nauczyciel, pan Malarius, demonstrował im zasady pewnego twierdzenia, kiedy nagle otwarły się drzwi i futrzana pelisa, futrzane buty, futrzane rękawiczki oraz czapka z wydry pojawiły się w progu.

Dzieci powstały z szacunkiem należnym każdemu, kto wchodzi do klasy. Żadne z nich nie znało nowo przybyłego. Ale ujrzawszy go wszystkie szepnęły:

"Pan doktor Schwaryencrona!"

Tak wielkie było podobieństwo twarzy przybysza do portretu umieszczanego na butelkach doktora.

Trzeba rzec, iż uczniowie pana Malariusza mieli prawie stale przed oczami owe butelki, gdyż jedna z największych fabryk doktora znajduje się akurat w Nora.

Nie mniej prawdą jest i to, że ów uczony od wielu lat nie postawił stopy w tym zakątku i żadne z dzieci nie mogło się chlubić tym, iż widziało go kiedykolwiek przedtem żywego, we własnej osobie.

A co do wyobrażeń — to jeszcze inna sprawa. Rozprawiano bardzo często o doktorze Schwaryencronie podczas długich wieczorów w Norø. I w uszach musiałoby mu często dzwonić, gdyby ludowy przesąd miał choć najmniejszą wiarygodność w tym względzie.

Tak czy owak, to jednomyślne i spontaniczne rozpoznanie, było prawdziwym tryumfem dla nieznanego autora portretu, tryumfem, z którego ten skromny artysta miał prawo być dumny, a niejeden modny fotograf — zazdrościć mu.

Tak, to była rzeczywiście ta sama spiczasta broda, te same okulary, ten sam zakrzywiony nos i czapka z wydry słynnego uczonego. Nie mogła zajść żadna omyłka. Wszyscy uczniowie pana Malariusza włożyliby za to rękę w ogień.

Dziwiło ich natomiast i zbijało nieco z tropu to, że doktor był mężczyzną o przeciętnej tuszy i

średniego wzrostu, a przecież wyobrażali go sobie jako olbrzyma. Jakim to sposobem tak słynny uczyony mógł się zadowalać posturą nie większą od pięciu stóp i trzech cali. Jego szpakowata głowa sięgała panu Malariusowi zaledwie do ramienia. Wszakże sędziwy już wiek przygarbił mocno nauczyciela. Był jednak o wiele szczuplejszy od doktora, co sprawiało, że wydawał się dwukrotnie wyższy. Jego tabaczkowa opończa, która z biegiem długich lat przybrała zielonawe tony, powiewała ha. nim jak sztandar na drzewcu. Miał na sobie krótkie spodnie i buty z klamrami, na głowie zaś czapkę z czarnego jedwabiu, spod której wysuwało, się parę siwych kosmyków. Jego różowa, uśmiechnięta twarz tchnęła najwspanialszą łagodnością. On także nosił okulary, które nie przewiercały cię jak okulary doktora, a spoza nich błękitne oczy zdawały się kontemplować każdą rzecz z niewyczerpaną życzliwością.

Jak szkoła szkołą, nikt nie pamiętał, żeby pan Malarius ukarał jakiegoś ucznia. To nie przeszkadzało, że był ogólnie szanowany i bardzo lubiany. Miał takie zacne serce — i każdy o tym wiedział. Mieszkańcy Nora wiedzieli też, że pan Malarius wspaniale zdał w młodości rozmaite egzaminy. Pozwoliłoby mu to osiągnąć stopień doktora i zostać herr professor w jednym z wielkich uniwersytetów, zdobyć zaszczyty i fortunę. Lecz miał siostrę biedną, Krystynę, zawsze chorą i cierpiącą. A że za nią w świecie nie opuściłaby swojej wsi, że bała się miasta, lękając się, że lam umrze, pan Malarius poświęcił się dla niej w milczeniu, po czym, gdy zmarła po jakichś dwudziestu latach błogosławiąc brata, pan Malarius nawykły do swojego posępnego, odludnego życia nawet nie pomyślał o tym, by rozpocząć inne. Zaabsorbowany swoimi osobistymi pracami, o których zapomniał powiadomić świat, z najwyższą radością objął stanowisko nauczyciela i wzorowo prowadził najlepszą w kraju szkołę podstawową, wychodząc w swoim programie daleko poza nauki pobierane w szkołach początkowych, by wprowadzać do niego materiał ze starszych klas. Lubił zachęcać do nauki swoich najlepszych uczniów, zapoznawał ich z tematami przyrodniczymi, z literaturą starożytną i nowożytną, tym wszystkim, co zazwyczaj przypada w udziale klasom bogaczy lub ludzi dobrze sytuowanych, nigdy natomiast rybakom lub chłopom.

"Dlaczego to, co jest dobre dla jednych, nie mogłoby być dobre dla drugich! — mawiał. — Skoro ludzie biedni nie zaznają wielu radości tego świata, dlaczego odmawiać im i tej, by poznali Homera i Szekspira, czemu nie mamy podać im nazwy gwiazdy wiodącej ich po oceanach albo rośliny, którą deptają stąpając po ziemi. Codzienny trud pochwyli ich niebawem za gardło, zegnien ich nad bruzdą! Niechaj przynajmniej w dzieciństwie zaczerpną z tych czystych krynic i wezmą swoją część ze wspólnego dziedzictwa ludzi!"

W wielu krajach uważano by, że ów system jest niebezpieczny, mógłby może bowiem zniechęcić ludzi skromnych do ich mizernego losu i skłonić do szukania szczęścia gdzie indziej. Ale w Norwegii nikt się o to nie lęka. Patriarchalna łagodność natur, oddalenie od miast, nawyk pracowitego życia wśród z rzadka rozsianych osad zdają się usuwać całkowicie takie niebezpieczeństwo. Toteż owo poszerzanie wiedzy ludzi prostych zdarza się częściej, niż można byłoby przypuszczać. Nigdzie nie jest ono posunięte tak daleko zarówno w biednych szkołach wiejskich, jak i gimnazjach. Kraje Półwyspu Skandynawskiego mogą się chlubić tym, że kształcą proporcjonalnie do swojej ludności o wiele więcej uczonych i ludzi wyróżniających się we wszelkiego rodzaju naukach aniżeli jakikolwiek inny region europejski. Podróżnego uderza tu ustawicznie kontrast zachodzący między naturami z pozoru pół dzikich i wielką liczbą fabryk oraz artystycznymi wyrobami, które wskazują na cywilizację najbardziej wysubtelnioną.

Ale czas powrócić do doktora Schwaryencrony, którego pozostawiliśmy na progu szkoły w Norø. Podczas gdy uczniowie nie widząc go dotychczas nigdy w życiu, tak szybko go rozpoznali, inaczej było z ich nauczycielem, znającym doktora dawniej.

— Dzień dobry, mój drogi! — zawołał serdecznie ów przybysz zbliżając się z otwartą dłonią do nauczyciela.

— Witam pana — odpowiedział pan Malarius trochę niepewnie i z nieśmiałością właściwą wszystkim samotnikom, tym wyraźniejszą, że przerwano mu jego wywody... — Proszę mi wybaczyć, ale muszę zapytać, z kim mam zaszczyt mówić...

— Jak to! Czyżbym się aż tak zmienił od chwili, kiedy razem biegaliśmy po śniegu, i od owych lat, kiedy paliliśmy długie fajki w Christianii? ... Czyżbyś zapomniał o pensjonacie Kraussa i czy naprawdę trzeba, abym przypomniał ci nazwisko twojego kolegi i przyjaciela?

— Schwaryencrona! — zakrzyknął pan Malarius. — Czy to możliwe? Czy to naprawdę ty?... Czy to pan, panie doktorze?

— Ach, bardzo cię proszę, porzućmy te ceremonie!... Czyż nie jestem twoim starym Rolfem, jak ty pozostaniesz na zawsze moim zacnym Olafem, moim najlepszym, najdroższym przyjacielem z młodych lat? O, wiem o tym dobrze!... Czas biegnie szybko, obaj nieco się zmieniliśmy przez te trzydzieści lat!... Ale serca nasze są nadal młode, prawda? I jest w nich kącik dla tych, których pokochało się wówczas, kiedy jadaliśmy razem kromki suchego chleba w dwudziestej wiosnie życia.

Doktor śmiał się i ścisnął dłonie pana Malarius, którego oczy zaszczyły łzami.

— Mój drogi przyjacielu, zacny, wspaniały doktorze! — mówił. — Nie zostaniemy tu dłużej. Zwolnię tych włóczykijów, którzy bynajmniej nie obrażą się o to i pójdziemy do mnie.

— O, wcale nie — oświadczył doktor zwracając się do uczniów, którzy z największym zainteresowaniem obserwowali tę scenę. — Nie powinienem przeszkadzać ci w twojej pracy ani też przerywać nauki tej pięknej młodzieży!... Jeśli chcesz sprawić mi przyjemność, pozwolisz mi usiąść tutaj, koło ciebie i będziesz dalej prowadził lekcję...

— Chętnie — powiedział pan Malarius. — Ale prawdę rzekłszy, nie będę już miał serca do geometrii, a przyobiecawszy dzieciom, że je zwolnię, niechętnie złamię dane słowo. Ale możemy to wszystko pogodzić. Niechaj doktor Schwaryencrona uczyni zaszczyt moim uczniom egzaminując dzieci z ich wiadomości, po czym pozwoli im wyfrunąć na resztę dnia.

— Wspaniały pomysł!... Doskonale!... Tak oto zostałem inspektorem.

— Po czym zwracając się do całej klasy, spytał:

— Które z was, dzieci, jest najlepszym uczniem? — spytał doktor zasiadając w fotelu nauczyciela.

— Eryk Hersebom! — odpowiedziało bez wahania z pięćdziesiąt dźwięcznych głosów.

— Ach, to Eryk Hersebom?... No dobrze, zechciej, Eryku, podejść tutaj. .

Mniej więcej dwunastoletni chłopak wstał z pierwszej ławki i podszedł do katedry. Było to dziecko poważne, pełne godności, a jego myślący wyraz twarzy oraz wielkie o głębokim wejrzeniu oczy zwróciłyby wszędzie uwagę, tu zaś odcinał się szczególnie od otaczającej go gromady jasnowłosych główek. Podczas gdy jego koledzy mieli włosy koloru lnu, różową cerę, oczy zielone lub niebieskie, on miał ciemnokasztanową czuprynę, oczy brązowe i smagłą cerę. Nie miał wystających kości policzkowych ani krótkiego nosa i masywnej budowy skandynawskich dzieci. Słowem, jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny odróżniał się wyraźnie od reszty dzieci.

Tak jak oni natomiast był odziany w grube zgrzebne płótno noszone przez chłopów z okolicy Bergen; ale delikatny zarys jego główki osadzonej na szczupłej wykwintnej szyi, naturalny wdzięk ruchów i postawy — wszystko to wskazywało na jego obce pochodzenie. Nie znalazłby się żaden fizjolog, którego nie uderzyłyby z miejsca owe szczególne cechy, a zwłaszcza doktora Schwaryencronę.

Jednakże w pierwszej chwili nie miał powodów, aby dłużej się nad tym zastanawiać. Przystąpił

tedy od razu do egzaminu.

— Od czego zaczniemy? Od gramatyki? — spytał chłopca.

— Jak pan doktor sobie życzy — odpowiedział skromnie Eryk. Doktor zadał dwa bardzo proste pytania i zdumiał się tym, że chłopiec odpowiedział na nie nie tylko po szwedzku, ale również po francusku i angielsku. Pan Malarius narzucił dzieciom ten zwyczaj. Twierdził, że równie łatwo jest uczyć się trzech języków, jak jednego.

— Uczysz ich tedy francuskiego i angielskiego? — spytał doktor zwracając się do przyjaciela.

— Czemu nie, przecież posługujemy się również elementami greki i łaciny. Nie widzę, co złego mogłoby z tego dla nich wyniknąć.

— Ani ja — roześmiał się doktor. I otwarł na chybił trafił jakiś wolumen: był to Cycero — Eryk przetłumaczył zeń parę zdań doprawdy doskonale.

W tym urywku chodziło o wyciąg z cykuty, którego napił się Sokrates. Pan Malarius poprosił doktora, żeby spytał chłopca, do jakiej rodziny należy owa roślina. Eryk odparł bez wahania, iż jest to bylina należąca do rodziny baldaszkowatych, oraz podał jej cechy charakterystyczne.

Po botanice doktor przystąpił do geometrii. Eryk wyprowadził prawidłowo i dokładnie twierdzenie o sumie kątów w trójkącie.

Doktor okazywał zdumienie coraz głębsze.

— To porozmawiajmy przez chwilę o geografii. Jakie morze oblewa na północy Półwysep Skandynawski, Rosję i Syberię?

— Morze Arktyczne.

— Z jakimi oceanami łączy się to morze?

— Z Atlantykiem na zachodzie i Oceanem Spokojnym na wschodzie.

— Czy mógłbyś wymienić mi kilka wielkich portów na Oceanie Spokojnym?

— Wymienię Jokohamę w Japonii, Melbourne w Australii i San Francisco w stanie Kalifornia.

— A zatem, skoro Morze Arktyczne łączy się z jednej strony z Atlantykiem, który oblewa nasze wybrzeża, z drugiej zaś z Pacyfikiem, czy nie sądzisz, że chcąc udać się do Jokohamy lub do San Francisco, należałoby, jako najkrótszą drogę, obrać to właśnie morze?

— Z pewnością, panie doktorze — odparł Eryk — gdyby była ona przejezdna. Lecz do tej pory każdy żeglarz, który usiłował przebyć to morze, albo został uwięziony w lodach, albo musiał zrezygnować z przedsięwzięcia, albo też znalazł na tych wodach śmierć.

— Powiadasz, że, już wielokrotnie usiłowano "odkryć północną drogę morską z zachodu na wschód?

— Z pięćdziesiąt razy w ciągu ostatnich trzech stuleci — i zawsze daremnie.

— Czy mógłbyś wymienić parę tego rodzaju ekspedycji?

— Pierwszą zorganizowano w roku 1523 pod kierownictwem Franciszka Sebastiana Cabita. Składała się z trzech okrętów, a dowodził nimi nieszczęsny sir Hugh Willoughby, który zatonął wraz z całą załogą w Laponii. Jeden z jego oficerów, Chancellor, miał zrazu więcej od niego szczęścia i zdołał utorować sobie prostą drogę przez morza Arktyki między kanałem La Manche i Rosją. Ale on również w czasie ponownej próby rozbił się i zginął. Pewien kapitan, Stefan Borough, wysłany na poszukiwanie zaginionego, zdołał przebyć przesmyk dzielący Nową Ziemię od wyspy Wajgacz i wpłynąć na Morze Karskie; ale lody i mgły uniemożliwiły mu dalszą podróż... Dwie ekspedycje podjęte w 1580 roku były również bezowocne, mimo to ów projekt nie został porzucony i po piętnastu latach Holendrzy wyposażyli kolejne trzy ekspedycje pod dowództwem H. Berentsa, w celu utorowania przeprawy z północy na wschód. W roku 1596

Berents zginął w lodach nie opodal Nowej Ziemi... Po dziesięciu latach Henry Hudson, wysłany

przez Holenderską Kompanię Wschodnioindyjską, także poniósł klęskę w czasie trzech kolejnych wypraw. W 1676 kapitan John Wood zatonął również... Wówczas wszystkie potęgi morskie uznały to przedsięwzięcie za niewykonalne.

— Czy od tamtej pory nikt nie próbował tego dokonać?

— Rosja w ciągu jednego stulecia wysłała przynajmniej osiemnaście ekspedycji, by zbadać Nową Ziemię, Morze Karskie oraz wschodnie i zachodnie pobrzeża Syberii. Lecz o ile owe ekspedycje pozwoliły lepiej poznać te okolice, o tyle też dowiodły, że niepodobna utorować stałej morskiej drogi przez wielkie Morze Arktyczne. Członek akademii Van Baer, który po raz ostatni zakosztował tej przygody w roku 1837, po admirale Lütke i Pachtusowie, oświadczył publicznie, że ów ocean jest po prostu "zwykłym lodowcem", równie niezdatnym dla okrętów, jak stały ląd.

— Należy więc zrezygnować bezpowrotnie z północno-wschodniej drogi morskiej?

— Taki przynajmniej wniosek nasuwa się z tych jakże licznych i zawsze bezowocnych usiłowań. Ale jak powiadają, nasz wielki podróżnik Nordenskjöld zamyśla powtórzyć to przedsięwzięcie, do którego przygotował się podróżując po morzach Arktyki. Jeśli ten fakt jest prawdą, rzecz wydaje się mu widać możliwa do zrealizowania. A jeśli taką powziął decyzję, jest wystarczająco kompetentnym człowiekiem, żeby brać go na serio.

Tak się złożyło, że doktor Schwaryencrona był gorącym wielbicielem Nordenskjölda! Dlatego właśnie nakierował rozmowę na temat północno-wschodniej drogi morskiej. Toteż zachwyciły go ściśle odpowiedzi chłopca.

Przyglądał się tedy Erykowi Hersebornowi z najwyższym zainteresowaniem.

— Gdzieżeś się dowiedział tych wszystkich rzeczy, drogi chłopcze? — zapytał po długiej chwili.

— Tutaj — odparł chłopiec zdziwiony tym pytaniem. — Nie chodziłeś nigdy do żadnej innej szkoły?

— Z całą pewnością nie.

— Pan Malarius może być z ciebie dumny! — rzekł doktor odwracając się do przyjaciela.

— Jestem bardzo zadowolony z Eryka — powiedział nauczyciel. — Wkrótce minie osiem lat od chwili, kiedy został moim uczniem, zaczął bowiem naukę jako naprawdę mały chłopczyk i zawsze był pierwszy w swoim oddziale.

Doktor popadł znów w zadumę. Jego badawcze spojrzenie przywarło do Eryka z osobliwą intensywnością.

— Nie sposób odpowiedzieć lepiej na moje pytania i uważam, że nie warto przeciągać tego egzaminu! — powiedział wreszcie. — Nie będę więc ograniczał dłużej waszej swobody, moje dzieci, a skoro pan Malarius tego pragnie, zakończmy zajęcia na dzisiaj.

Na te słowa nauczyciel klasnął w ręce. Wszystkie dzieci wstały jednocześnie, zebrały książki i ustawiły się czwórkami na wolnej przestrzeni przed ławkami.

Pan Malarius po raz wtóry klasnął w ręce. Kolumna ruszyła naprzód wybijając takt z dokładnością niemal wojskową.

Na trzeci znak uczniowie złamali szereg i rozbiegli się z radosnymi okrzykami. W ciągu paru sekund rozproszyli się nad błękitnymi wodami fiordu, w których odbijały się kryte darnią dachy domów w Noro.

# ROZDZIAŁ II

## U PEWNEGO RYBAKA W NOR

Dom maaster Herseboma, jak wszystkie inne w Norø jest pokryty darnią i zbudowany z grubych pni sosnowych według skandynawskiego planu; dwie obszerne izby dzieli środkowe przejście wiodące do hangaru, w którym znajdują się łodzie, przybory do łowienia ryb i gdzie leżą stopy fląder lub małych dorszy, łowionych u wybrzeży norweskich albo islandzkich. Po oczyszczeniu i wysuszeniu trafiają one do handlu jako rondifsze (ryby okrągłe) i sztokfisz (ryby-patyki).

Każda z owych dwóch izb służy zarazem jako pokój i sypialnia. W szufladach ukrytych w ścianach przechowuje się w dzień i wyjmuje na noc pościel z materaców i futrzane nakrycia. To urządzenie oraz jasny kolor ścian i przyjemny blask bijący od wysokiego kominka, gdzie płoną zawsze grube szczapy, nadają najskromniejszym nawet mieszkaniom wygląd czystości i dostatku, jakich nie znają chłopi mieszkający w Europie Południowej.

Tego właśnie wieczora cała rodzina zebrała się wokół kominka, gdzie w kolosalnym rondlu pyrał *sillillat*, czyli kawałki wędzonego śledzia i łososa oraz ziemniaki. Maaster Herseboom, siedząc w drewnianym fotelu, zgodnie ze swoim niezmiennym zwyczajem — jeśli nie znajdował się na morzu albo w suszarni — wiązał sieci. Był to czerstwy marynarz o cerze wysuszonej polarnymi bryzami, o włosach trochę szpakowatych, jakkolwiek wydawał się jeszcze mężczyzną w sile wieku. Jego syn Otto, wysoki chłopak lat około czternastu, podobny do niego w każdym calu, i przeznaczony, jak się zdawało, również do zawodu rybaka, był zajęty rozszyfrowywaniem tajemnic reguły trzech, pokrywając cyframi małą tabliczkę ręką nawykłą, jak się wydawało, raczej do posługiwania się wiosłem. Eryk pochylony nad stołem był pogrążony w lekturze grubej, historycznej książki, którą pożyczył mu pan Malarius Koło niego Katrina Herseboom, zacna kobieta, przedła cicho na kołowrotku, podczas gdy mała Wanda, dwunastoletnia blondynka, siedząc na stołku zapamiętała robiła na drutach skarpetkę z czerwonej wełny. U jej stóp wielki białozółty pies o sierści tak gęstej jak u owcy spał zwinięty w kłębek.

Milczenie trwało już przeszło pół godziny, podczas gdy miedziana lampa, zasilana rybim olejem, oświetlała swoimi czterema ramionami każdy szczegół tego spokojnego wnętrza.

Prawdę powiedziawszy, to milczenie zdawało się ciążyć jejmość Katrinie, która od paru chwil miała ochotę je przerwać.

Na koniec nie wytrzymała:

— Dość pracy na dzisiaj — powiedziała. — Nadeszła pora, by sięść do stołu i zjeść kolację,

Na te słowa Eryk zabrał grubą książkę i siadł przy kominku, a Wanda odłożyła swoją robótkę i podeszła do kredensu, aby wyjąć stamtąd talerze i łyżki.

— Mówiłeś, Otto — rzekła prząsniczka — że nasz Eryk dobrze odpowiadał doktorowi?

— Bardzo dobrze odpowiadał! — zakrzyknął z entuzjazmem Otto. — Mówił, jakby czytał z książki, naprawdę! Nie mam pojęcia, skąd on brał to wszystko, skąd to wiedział... Im więcej doktor pytał, tym więcej Eryk miał do powiedzenia!... I słowa same mu napływały do ust! Pan Malarius był taki rad!

— Ja też byłam rada — rzekła poważnie Wanda.

— Wszyscy oczywiście byliśmy radzi! Gdybyś, mamó, widziała, jak słuchaliśmy z rozdziawionymi ustami... Baliśmy się tylko jednego — że nadejdzie nasza kolej i że będzie nas pytał! Ale Eryk wcale się nie bał, odpowiadał doktorowi, jakby odpowiadał naszemu nauczycielowi!



— No proszę! Jan Malarius jest, jak sędzę, wart tyle samo co doktor i jest uczonym nie gorszym od innych! — powiedział Eryk, którego owe pochwały rzucane z tak bliska zadawały się trochę żenować.

Stary rybak potwierdził to uśmiechem.

— Masz rację, mały — rzekł nie przerywając pracy swoich stwardniałych rąk. — Pan Malarius zapędziłby, gdyby chciał, wszystkich doktorów z miast w kozi róg!... I ten człowiek przynajmniej nie posługuje się nauką po to, by rujnować biedaków!

— To doktor Schwaryencrona kogoś rzeczywiście zrujnował? — zaciekawiał się Eryk.

— Hm!... Hm!... Jeśli nawet tak się nie stało, to nie jego zasługa!... Czy myślisz że ja, który do ciebie mówię, z przyjemnością patrzyłem na to, jak wznoszono tę fabrykę, co dymi teraz tam wysoko, nad brzegiem fiordu?... Matka może poświadczyć, że niegdyś sami odciągaliśmy olej i sprzedawaliśmy go bardzo dobrze w Bergen za sto pięćdziesiąt, a nawet za dwieście koron rocznie... A teraz to się skończyło., Nikt już nie chce tranu brunatnego i płacą zań tak mało, że prawie nie warto wyprawiać się w podróż! Trzeba zadowalać się sprzedażą rybich wątróbek w fabryce i Bóg jeden wie, czy zarządca fabryki pana doktora nie urządza się zanadto sprytnie, aby otrzymać je po jak najniższej cenie!... Z ledwością zarabiam czterdzieści pięć kronerów, zadając sobie trzykrotnie większy trud niż dawniej! No cóż!... Mówię ci, że to nie jest sprawiedliwe i doktor lepiej by robił lecząc chorych w Sztokholmie, zamiast odbierać nam chleb! Po tych słowach pełnych goryczy zapadło milczenie. Przez parę chwil słyhać było tylko pobrząkiwanie talerzy, które Wanda rozstawiała, podczas gdy matka przekładała zawartość rondla na ogromny, gliniany, polewany półmisek.

Eryk zastanawiał się głęboko nad tym, co powiedział przed chwilą maaster Hersebom. Wątpliwości kłębiły mu się w głowie. Będąc nadzwyczaj szczery, nie potrafił się powstrzymać, by ich nie wyrazić głośno.

— Wydaje mi się, ojcze, że masz rację ubolewając nad dawnymi zarobkami, ale chyba niesprawiedliwie oskarżasz doktora Schwaryencronę, że to on je zmniejszył! Czy jego tran nie jest lepszy od naszego domowego?

— Hm!... Hm!... Jest jaśniejszy i to wszystko. Oni mówią, że nie czuć go tak silnie olejem, jak nasz!... I dlatego wszystkie miejskie lafiryndy wołają go na pewno. Ale u diabła! Czy jest coś lepszego dla chorych na płuca aniżeli nasz stary pocziwy tran!...

— Z tych czy innych powodów ludzie wołają tamten! — to zbawienny lek, ważne jest tedy, aby chorzy odczuwali jak najmniejszy niesmak zażywając go. I dlatego, jeśli lekarz znalazł sposób, żeby wyeliminować wstręt, zmieniając sposób fabrykacji tranu, czy nie jest jego obowiązkiem rozpowszechnić swoje odkrycie?

Maaster Hersebom podrapał się za uchem.

— No chyba — powiedział jakby z żalem — że jest to jego obowiązkiem. Ale to jeszcze nie powód, żeby utrudniać biednym rybakom zdobywanie chleba...

— Wydaje mi się, że fabryka zatrudnia trzystu rybaków, a przecież w Norø nie było ich więcej niż dwudziestu w czasach, o których ojciec mówi — zaprotestował nieśmiało Eryk.

— O właśnie!... Dlatego mój zawód stał się nic niewart! — zakrzyknął Hersebom.

— Chodźcie, kolacja gotowa, siadajcie do stołu! — rzekła jejmość Katrina, widząc, że dyskusja zagrzewa się zanadto,

Eryk zaś rozumiejąc, że dłuższy opór byłby nie na miejscu, nie odpowiedział na argument maaster Herseboma i zajął swoje miejsce koło Wandy.

— Doktor i pan Malarius mówią sobie po imieniu, czyżby więc byli przyjaciółmi za młodu? —

spytał, by zmienić nieco bieg rozmowy.

— Tak — powiedział rybak siadając do stołu. — Urodzili się obaj w Nora, pamiętam jeszcze, że bawili się na dziedzińcu szkolnym, choć są starsi ode mnie o jakieś dziesięć lat. Pan Malarius był synem ówczesnego lekarza, a doktor zwykłego rybaka. Ależ on uszedł kawał drogi od tamtej pory! Mówią, że jest milionerem i że w Sztokholmie mieszka w prawdziwym pałacu!... O tak, wykształcenie to piękna rzecz!

Skończywszy ów aforyzm, pocziwiec zamierzał właśnie zanurzyć łyżkę w półmisku z rybami i dymiącymi ziemniakami, kiedy rozległo się nagle głośnie pukanie do drzwi.

— Maaster Hersebm, czy można wejść? — ozwał się w przedsionku donośny, dźwięczny głos.

I nie czekając na pozwolenie, człowiek, o którym dopiero co rozmawiano, wszedł do izby, wpuszczając za sobą kłęb lodowatego powietrza.

— Pan doktor Schwaryencrona! — zakrzyknęło troje dzieci, podczas gdy rodzice zerwali się z miejsc.

— Mój drogi Hersebm — powiedział uczony ujmując rękę rybaka w swoje dłonie — nie widzieliśmy się przez długie lata; ale pamiętam jeszcze twojego zanego ojca i sądziłem, że mogę pojawić się u was jako przyjaciel z dzieciństwa!

Pocziwiec, trochę zażenowany z racji oskarżeń, które przed chwilą ciskał na przybysza, nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć na słowa doktora. Zadowolił się uściśnięciem dłoni uczonego i miłym uśmiechem powitania, a tymczasem jego żona dwoiła się i troiła chcąc okazać gościowi uprzejmość.

— Pospieszcie się, Ottonie i Eryku, pomóżcie panu doktorowi zdjąć pelisę, a ty, Wando, podaj jeszcze jedno nakrycie — mówiła okazując gościnność właściwą wszystkim norweskim gospodyniom. — Pan doktor zechce wyświadczyć nam zaszczyt i przekąsi coś razem z nami?

— Na honor, nie odmówiłbym, proszę mi wierzyć, widząc to apetyczne danie z łososia, gdybym był choć odrobinę głodny... Ale nie minęła jeszcze godzina od kolacji, którą zjedliśmy z moim przyjacielem Malariusem i na pewno nie przyszedłbym do was tak wcześnie, gdybym mniemał, że jesteście jeszcze przy stole!... Jeśli chcecie mi zrobić przyjemność, to siadźcie znowu na swoich miejscach i zachowujcie się tak, jakby mnie tu wcale nie było.

— O, panie doktorze — błagała zacna kobieta — zechce pan poczęstować się przynajmniej naszymi *snorga* i filiżanką herbaty.

— Zgoda na filiżankę herbaty, ale pod warunkiem, że najpierw dokończycie wieczerę — odpowiedział doktor zasiadając w fotelu, który zdawał się wyciągać do niego oparcia.

Wanda od razu postawiła na ogniu czajnik i jak sylf zniknęła w sąsiednim pokoju, podczas gdy cała rodzina kierując się wrodzoną delikatnością i nie chcąc urazić gościa dłuższym naleganiem, przystąpiła do ataku na półmisek.

Po dwóch minutach doktor czuł się już swobodnie. Grzebiąc pogrzebaczem w żarze i przypiekając sobie nogi płomieniami z suchych szczap, które Katrina dorzuciła do ognia, nim powróciła do stołu, rozprawiał o dawnych czasach, o starych, których już nie ma, o tych, co jeszcze są, o zmianach, jakie zaszły w tych stronach, i nawet w Bergen. Czuł się całkiem jak u siebie i rzecz szczególna, udało mu się przywrócić maaster Hersebmowi dobry nastrój; gdy tymczasem weszła Wanda z drewnianą tacą zastawioną talerzykami i podała ją z takim wdziękiem, że nie sposób było się oprzeć.

Były to słynne *snorga* z Norwegii — paseczki wędzonego rena, filety z czerwoną papryką, cieniutkie kromeczki razowego chleba, ser z przyprawami oraz inne najdziwniejsze przystawki, które jada się o każdej porze dla zaostżenia apetytu.

Te zaś tak dobrze spełniły swoje zadanie, że doktor, który ich pokosztował przez uprzejmość, był w stanie uczynić zaszczyt konfiturom z jeżyn, chlubić jejmość Katriny, i dopiero siedem czy osiem filiżanek herbaty zaspokoilo jego pragnienie.

Maaster Hersebm zaprezentował wówczas gliniany dzban napełniony wspaniałym *schiedamem*, który nabył od holenderskiego kupca. I tak zakończyła się wieczerza; po czym doktor przyjął z rąk gospodarza ogromną fajkę, którą nabił i wypalił ku ogólnemu zadowoleniu.

Zbyteczne dodawać, że w tej fazie wizyty lody od dawana zostały przełamane i wydawało się, iż doktor należał zawsze do tej rodziny. Wszyscy się śmieli, rozprawiali, stali się najlepszymi na świecie przyjaciółmi — aż tu na zegarze z malowanego drewna wydzwoniła godzina dziesiąta.

— No i proszę, drodzy przyjaciele, już się zrobiło późno! — powiedział wówczas doktor. — Gdybyście zechcieli odesłać dzieci do łóżek, porozmawialibyśmy o rzeczach poważnych.

Na znak dany przez Katrinę, Otto, Eryk i Wanda powiedzieli dobranoc i natychmiast wyszli.

— Pewnie się zastanawiacie, dlaczego do was przyszedłem — rzekł doktor po chwili milczenia.

— Gość w dom, Bóg w dom — odparł sentencjonalnie rybak.

— O tak, wiem, że gościnność nie ginie w Nora... Ale niejedyn raz pomyśleliście na pewno, że musiałem mieć jakiś specjalny powód, żeby zrezygnować na dzisiejszy wieczór z towarzystwa mojego starego przyjaciela, Malariusza, i pojawić się u was!... Założą się, że jejmość Hersebmowe domyśla się troszkę tej przyczyny.

— Dowiemy się o niej, gdy nam pan ją wyjawi — odparła dyplomatycznie zacna kobieta.

— No cóż! — powiedział doktor z westchnieniem. — Skoro nie chcecie mi pomóc, muszę sam przejść do faktów!... Wasz syn, Eryk, jest, panie Hersebm, dzieckiem wyróżniającym się bardzo.

— Nie skarzę się na niego — odparł rybak.

— Jest niezwykle inteligentny i ma dużą wiedzę jak na swój wiek — ciągnął doktor. — Pytałem go dzisiaj w szkole i uderzyły mnie żywo zdolności, pracowitość i dojrzały sposób myślenia, które ów egzamin ujawnił u chłopca!... — Uderzyło mnie również i to, kiedy poznałem jego nazwisko, że tak mało jest do was podobny, jak również do tutejszych dzieci.

Rybak i jego żona milczeli i żadne z nich nawet nie drgnęło.

— Krótko mówiąc — powiedział uczony z odrobiną niecierpliwości — to dziecko nie tylko mnie interesuje, ale nawet intryguje. Rozmawiałem o nim z Malariuszem i dowiedziałem się, że nie jest waszym synem, że wyrzucony z tonącego okrętu dotarł do naszych wybrzeży, że wyście go wyłowili, wychowali i zaadoptowali dając mu nawet wasze nazwisko! Czy to wszystko jest prawdą?

— Tak, panie doktorze — odpowiedział z powagą Hersebm. — Chociaż nie jest naszym rodzonym synem, to jest nim przez serce i uczucie! — zawołała Katrina, a oczy zaszczyły jej łzami, usta zaś drżały. — Między nim a naszym Ottonem i Wandą nie robimy żadnej różnicy! Nie myśleliśmy nigdy nawet, że jakakolwiek różnica istnieje między nimi!

— Takie uczucia przynoszą wam obojgu zaszczyt — powiedział doktor wzruszony wzburzeniem poczciwej kobiety. — Ale proszę was, drodzy przyjaciele, abyście mi opowiedzieli dokładnie dzieje tego dziecka. Przyszedłem tutaj, aby się tego dowiedzieć, i mam najlepsze zamiary, zapewniam was.

Rybak podrapał się za uchem i przez chwilę jakby się wahał. Ale widząc, że doktor z niecierpliwością oczekuje jego opowieści, zdecydował się na koniec mówić.

— Sprawy potoczyły się rzeczywiście tak, jak panu powiedziano i chłopiec nie jest naszym synem — powiedział jakby z żalem. — Minęło od tego czasu prawie dwanaście lat. Wy płynąłem, by łowić w pobliżu wysepki, która oddzieliła wejście do naszego fiordu od pełnego morza! Wie pan, że wsparta jest o ławicę piasku i że wody te obfitują w dorsze!... Po całkiem dobrym dniu zdjąłem ostatnie wędki i miałem właśnie wciągnąć żagiel, kiedy ujrzałem w promieniach zachodzącego

słońca coś białego, pływającego na fali w odległości mili. Morze było piękne, nic pilnego nie ciągnęło mnie do domu, zamiast więc wziąć kurs na Norø, skierowałem łódź na to coś białego, by przekonać się, co to jest. Po dziesięciu minutach byłem obok. Przedmiot pływający po morzu, spychany ku brzegowi przypląwem, był małą wiklinową kolebeczką, przykrytą białą kapką i mocno przywiązaną do koła ratunkowego. Zbliżyłem się na odległość ramienia ze wzruszeniem, które pan rozumie. Chwyciłem koło, wyciągnąłem je z wody i ujrzałem w kolebce siedmio, może ośmiomiesięczne dzieciątko, śpiące z zaciśniętymi piąstkami.

Było oczywiście trochę zziębnięte i blade, ale chyba nie ucierpiało nadmiernie podczas tej awanturkowej podróży, jeśli można było sądzić po tym, jak się rozwrzeszczało przebudziwszy się, gdy fale przestały je kołysać. Mieliśmy już naszego Ottona i wiedziałem, jak zachowują się takie bębny. W największym pośpiechu zrobiłem z gałanka laleczkę, zamoczyłem ją w wodzie, do której wlałem parę kropel wódki, i dałem mu ją do ssania; uspokoił się od razu i z wyraźnym zachwytem przyjął ów kordiał. Ale świtało mi w głowie, że na długo tym się nie zadowoli. Musiałem więc jak najszybciej wrócić do Norø. Odwiązałem, rzecz jasna, kołyskę i położyłem ją u moich stóp na dnie łodzi. Trzymając linę żagla patrzyłem na to biedne stworzonko i zastanawiałem się, skąd się ono mogło tu wziąć. Przypląnęło bez wątpienia z jakiegoś zatopionego okrętu! Morze było wczorajszej nocy wściekłe, wiatr dął jak huragan i katastrofy można było na pewno liczyć na tuziny. Ale w jakich okolicznościach to dziecko uniknęło losu tych, co się nim opiekowali! Kto mógł wpaść na pomysł, by przywiązać kołyskę do koła ratunkowego? Od ilu godzin unosiło się tak na wierzchołkach fal? Co stało się z jego ojcem i matką, z tymi, co je kochali? Tak wiele pytań, które na zawsze muszą pozostać bez odpowiedzi, gdyż biedne dziecko nie mogło jej nam udzielić! Krótko mówiąc, po półgodzinie znalazłem się już w domu i wręczyłem znajdkę Katrinie. Mieliśmy wówczas krowę, której mleko miało zastąpić małemu mamkę. Był taki miły, uśmiechnięty i taki różowy, kiedy sobie dobrze podjadł mleka i ogrzał się przy kominku, że na honor, pokochaliśmy go od razu, jakby był naszym własnym dzieckiem!... No cóż!... Zatrzymaliśmy go, wychowaliśmy i nigdy nie zrobiliśmy żadnej różnicy między nim a naszymi własnymi dziećmi!... Prawda, kobieto?... zapytał ma aster Hersebm zwracając się do Katriny.

— O tak, moje drogie biedactwo! — odparła gospodyni ocierając oczy, które na skutek owych wspomnień zaszyły jej łzami. — Przecież to nasze dziecko, bośmy je adoptowali!... Nie mam pojęcia, dlaczego pan Malarius zaprzecza temu!...

I zacna kobieta wielce urażona zaczęła energicznie kręcić kółkiem kołowrotka.

— To prawda! — poparł ją Hersebm. — Czy może to obchodzić kogokolwiek oprócz nas?

— Z pewnością — odparł doktor najbardziej pojednawczym tonem — ale nie należy oskarżać Malariusza o niedyskrecję. To mnie uderzyła powierzchowność dziecka i to ja poprosiłem "go, aby poufnie opowiedział mi dzieje chłopca. Malarius nie ukrywał tego przede mną, że Eryk ma się za waszego rodzonego syna i wszyscy w Nora dawno zapomnieli, jak to wszystko właściwie się stało. Toteż nie wspominałem o tym przy chłopcu i posłałem go razem z rodzeństwem do łóżka... Powiadacie, że mógł mieć siedem, a może osiem miesięcy, kiedy go znaleźliście?

— Coś koło tego! Miał już cztery zęby ten zbójnik i zbytnio nie zwlekał z posługiwaniem się nimi — powiedział Hersebm ze śmiechem.

— Ach, było to doprawdy wspaniałe dziecko! — dodała żywo Katrina. — Bielutkie, jędrne, rozrośnięte... A ręce i nogi... Warto było popatrzeć...

— A jak był ubrany? — spytał doktor Schwaryencrona. Hersebm nie odpowiedział, ale jego żona okazała się bardziej wymowna:

— Jak ksiąźatko! — zawołała. — Niech" pan sobie wyobrazi pikową sukieneczkę przybraną suto

koronką, płaszczyk podbity jedwabiem, tak piękny, że i król nie mógłby mieć ładniejszego, plisowany czepeczek i kapotkę z białego aksamitu!... Trudno byłoby o coś piękniejszego!... Zresztą może się pan sam przekonać, gdyż zachowałam wszystko nietknięte. Nigdy nie zabawialiśmy się w przebieranie dziecka w jego wyprawkę! Wkładałam mu sukieneczki Ottona, które też przechowywałam i które później służyły Wandzie. Ale jego wyprawka jest, zaraz ją panu pokażę.

Przy tych słowach zacna kobieta uklękła przed wielką skrzynią o staroświeckim zamku, podniosła wieko i zaczęła energicznie przeszukiwać jedną z przegród.

Dobyla z niej całą opisaną już odzież, którą z wielką dumą rozpostarła przed doktorem, a prócz niej cieniutkie pieluszki, wspaniałe śliniaczek ozdobiony koronką, małą kapkę na nóżki i buciczki z białej wełny. Każda z tych rzeczy była oznaczona ślicznie wyhaftowanym monogramem E.D., co doktor spostrzegł od razu.

— E.D.... Czy dlatego daliście dziecku na imię Eeryk — spytał.

— Rzeczywiście — powiedziała Katrina, którą to popisywanie się wyraźnie radowało, podczas gdy czoło jej męża spochmurniało. — A oto rzecz najładniejsza — to, co miał na szyjce!... — dorzuciła dobywając ze skrytki złoty klejnocik, przybrany różowymi koralami i zawieszony na cieniutkim łańcuszku.

Inicjały E.D. też się tutaj znajdowały obwiedzione łacińską dewizą: *Semper idem*.

— Myśleliśmy z początku, że to nazwisko dziecka — powiedziała widząc, jak doktor odczytuje dewizę — ale pan Malarius powiedział nam, że napis ten oznacza: *Zawsze ten sam*.

— Pan Malarius powiedział wam prawdę — odparł doktor. — To oczywiste, że dziecko należało do rodziny bogatej i dystygowanej — dorzucił, podczas gdy Katrina chowała wyprawkę do kufra. — Nie macie najmniejszego pojęcia, z jakiego kraju mógł przybyć?

— A skąd to można wiedzieć? — odparł Hersebom. — Przecież wyłowilem go z morza.

— Tak, ale kołyska była przywiązana do koła ratunkowego, jak mi pan powiedział, a zwyczajem wszystkich flot na świecie wypisuje się na nim nazwę okrętu, do którego należało! — odparował doktor przenikając znów baczny spojrzeniem oczy żeglarza.

— Rzeczywiście — odpowiedział ów pochylając głowę.

— I jaką nazwę miało wypisaną to koło?

— A to dopiero! Nie jestem wykształcony, panie doktorze!... Potrafię trochę czytać w moim własnym języku, ale języki obce, o, to przepadło!... A ponadto zdarzyło się to tak dawno!

— A jednak powinien pan coś z tego pamiętać!... I z pewnością pokazał pan to koło ratunkowe oraz resztę panu Malariusowi?... Proszę o mały wysiłek, maaster Hersebom. Czy nazwa "Cynthia" nie była przypadkiem wypisana na kole?

— Chyba coś w tym rodzaju — odpowiedział niejasno rybak.

— To obca nazwa!... Z jakiego kraju okręt mógł pochodzić, pańskim zdaniem?

— A skąd ja mogę wiedzieć!... Czy ja znam te kraje mieszczące się u diabła na kuliczkach?... Czy oddalałem się kiedy od pobrzeży Nora i Bergn, jeśli nie liczyć dwóch czy trzech wypraw na połów u brzegów Islandii i Grenlandii? — odparł poczciwina coraz mrukliwszym tonem.

— Skłonny jestem przypuszczać, że jest to słowo angielskie lub niemieckie — oświadczył doktor nie zatrzymując się dłużej nad tym zagadnieniem. — Łatwo byłoby to rozstrzygnąć po kształcie liter, gdybym mógł obejrzeć koło. Nie zachował go pan?

— Ależ nie, na honor. Spaliłem je już dawno temu! — zakrzyknął triumfalnie Hersebom.

— Malarius pamięta, że litery były łacińskie — rzekł doktor jakby sam do siebie, a monogram jest również spleciony z liter łacińskich. "Cynthia" nie była prawdopodobnie okrętem niemieckim. Przychyłam się raczej do tego, że była statkiem angielskim... Czy pan, maaster Hersebom, nie jesteś

tego samego zdania?

— Prawdę rzekłszy wcale mnie to nie obchodzi — odpowiedział rybak. — Czy był on angielski, rosyjski czy patagoński — to najmniejsze z moich zmartwień!... Według wszelkiego prawdopodobieństwa upłynęło już sporo czasu od chwili, kiedy powierzył on swój sekret morzu na głębokości trzech lub czterech tysięcy metrów pod powierzchnią wód!

Rzec by można, iż maaster Hersebom był rad z tego, że sekret ów spoczął aż na takiej głębokości.

— Ale z pewnością czyniliście jakieś wysiłki, by odnaleźć rodzinę dziecka? — spytał doktor, którego okulary wydawały się połyskiwać teraz głęboką ironią. — Napisaliście z pewnością do burmistrza Bergen lub daliście ogłoszenia w miejscowych gazetach?

— Ja!? — zakrzyknął rybak. — Ja miałbym coś takiego uczynić!... Jeden Bóg wie, skąd dziecko pochodziło i któż by się o to troszczył!... Czy miałem możliwość wydawania pieniędzy na poszukiwanie ludzi, co wcale o chłopca nie dbali!... Niech pan, panie doktorze, postawi się na moim miejscu... Nie jestem milionerem. Gdybyśmy zresztą wydali na to całe nasze mienie, i tak byśmy nic nie wykryli!... Postąpiliśmy tak, jak umieliśmy najlepiej. Wychowaliśmy chłopca niby rodzzonego syna, kochaliśmy go, pieściliśmy...

— Jeśli to możliwe, jeszcze bardziej niż tamtych dwoje! — przerwała Katrina ocierając oczy ręką fartucha — i tylko to możemy sobie wyrzucać, że oddaliśmy mu największą część naszej czułości!

— Pani Hersebom, nie wyrządzi mi pani chyba takiej krzywdy, że będzie pani przypuszczać, iż wasza dobroć wobec biednego rozbitka budzi we mnie coś innego aniżeli najwyższy podziw! — zakrzyknął doktor. — Nie, na pewno pani nie takiego nie myśli... Ale jeśli pani chce, abym mówił szczerze — sądzę, że właśnie ta czułość oślepiła was do tego stopnia, iż nie dostrzeżliście swojego obowiązku! Tym obowiązkiem było wszczęcie poszukiwań rodziny dziecka, wedle waszych możliwości!

Zapadła głęboka cisza.

— To możliwe — ozwał się na koniec maaster Hersebom, który pochylił głowę pod ciężarem tego wyrzutu. — Ale to, co się stało, już się nie odstanie! Teraz nasz Eryk należy na pewno do nas i wcale nie mam chęci powiadomić go o tych starych sprawach.

— Niech się pan nie obawia, nie zawiodę waszego zaufania — odparł wstając doktor. — Robi się późno... Muszę was opuścić, moi drodzy przyjaciele, i życzę wam dobrej nocy, nocy bez wyrzutów sumienia — dorzucił poważnie.

Włożył futrzaną pelisę i nie przyjąwszy propozycji rybaka, że go odprowadzi, uścisnął serdecznie rękę gospodarzy i odszedł w kierunku fabryki.

Hersebom pozostał przez chwilę na progu domu i patrzył, jak doktor oddala się w blasku księżyca.

— To człowiek z piekła rodem! — wyszeptał przez zęby, gdy nareszcie zdecydował się zamknąć drzwi.

# ROZDZIAŁ III

## ROZMYŚLANIA MAASTER HERSEBOMA

Nazajutrz rano doktor Schwaryencrona dokonawszy już szczegółowej inspekcji fabryki kończył właśnie śniadanie ze swoim zarządcą, gdy do pokoju weszła nagle postać, w której z najwyższym trudem rozpoznał Herseboma.

Odziany w odświętne ubranie, w haftowaną kamizelkę, w redingot podbity futrem, w wysoki, rozszerzający się u góry kapelusz rybak różnił się ogromnie od człowieka, jakim był w swojej roboczej kurtce, Ale tym, co odmieniało go najbardziej, był smutny i pokorny wyraz twarzy. Miał zaczerwienione oczy i wydawało się, że nie spał tej nocy.

Bo i tak było. Maaster Hersebom, który aż do poprzedniego dnia nie odczuwał najmniejszych wyrzutów sumienia, spędził na swoim skórzanym materacu bardzo smutne godziny! Nad ranem wyjawiał pani Katrinie, która również przez całą noc nie zmrużyła oka, najboleśniej ze swoich myśli.

— Kobieto, myślę ciągle o tym, co nam powiedział doktor! — wykrzyknął po wielu bezsennych godzinach.

— Myślę o tym samym od chwili, kiedy wyszedł — odparła zaca kobieta.

— Rzeczywiście jest sporo prawdy w tym, co nam powiedział, byliśmy bardziej samolubni, niż myślałem! Kto wie, czy mały nie ma prawa do jakiejś wielkiej fortuny, której został pozbawiony przez nasze niedbalstwo. Kto wie, czy od dwunastu lat nie jest oplakiwany przez rodzinę, która mogłaby z całą słuszością oskarżyć nas, że nie zrobiliśmy nic, aby go jej zwrócić?

— To samo wciąż sobie powtarzam — odparła Katrina z we stchnieniem. — Jeśli jego matka żyje, jaką straszną goryczą napełnia tę kobietę myśl, że jej syn utonął!... Gdybym znalazła się na jej miejscu i musiała dopuścić do siebie myśl, że utraciliśmy naszego Ottona! Nigdy nie zazналиbyśmy pocieszenia!

— Matka nie najbardziej mnie niepokoi, gdyż wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ona nie żyje — rzekł Hersebom po chwili ciszy przerywanej westchnieniami. — Jak można przypuścić, by tak małe dziecko podróżowało bez niej, gdyby jeszcze żyła, i że przywiązałyby je do koła ratunkowego, zdając maleństwo na przypadki podróży po oceanie?

— To prawda..., ale cóż my w końcu wiemy? Może i ona ocalała jakimś cudem?

— Kto wie, czy po prostu nie odebrano jej chłopca? Ta myśl przychodziła mi często do głowy — mówił dalej Hersebom. — Skąd możemy wiedzieć, czy komuś nie zależało na jego zniknięciu? Wystawić je na niebezpieczeństwo przywiązując do koła ratunkowego to postępek tak niezwykle, że wszystko jest możliwe... W takim razie stalibyśmy się współwinnymi zbrodni i jej sukcesu!... Jakaż to straszna myśl!...

— Jak można by nas o to oskarżyć, skoro zdawało się nam, że spełniamy miłosierny uczynek adoptując biedactwo?

— Och, to oczywiste, że nie zrobiliśmy tego z wyrachowania! Wykarmiliśmy go i wychowaliśmy najlepiej, jak tylko umieliśmy, a jednak postąpiliśmy bardzo nieroztropnie i kto wie, czy mały nie będzie miał kiedyś prawa nam tego wyrzucać!...

— O to nie ma co się bać, jestem pewna! I tak już dość, że sami mamy sobie tyle do zarzucenia.

— To dziwne, że ten sam uczynek, gdy się nań patrzy z innej strony, może być osądzony tak odmiennie! Nigdy bym sobie nawet nie wyobraził czegoś podobnego!... Wystarczyło parę słów

doktora, żeby całkiem pomieszać nam w głowie!

Tak rozprawiali ci zacni ludzie.

W rezultacie tej nocnej narady maaster Hersebom poszedł wypytać doktora Schwaryencronę, co można byłoby uczynić, aby naprawić popełniony kiedyś błąd.

Ów zaś nie kwapił się zrazu, by powrócić do tego, o czym wczoraj mówiono. Przyjął rybaka uprzejmie, porozmawiał o po godzinie i o cenach ryb, lecz udawał, że przyjmuje jego wizytę jako zwykłą grzeczność.

To bynajmniej nie załatwiało sprawy Herseboma: zaczął kluczyć wokół tematu tak silnie go zajmującego, mówił na przykład o szkole pana Malariusza — i na koniec skoczył na głęboką wodę.

— Panie doktorze — rzekł powziąwszy zdecydowane postanowienie — moja żona i ja myśleliśmy przez całą noc o tym, co nam pan powiedział wczoraj o małym... Nie myśleliśmy nigdy, że krzywdzimy go, wychowując jak własnego syna!... Ale pan odmienił nasze zdanie; chciałbym się tedy dowiedzieć, co należałoby teraz przedsięwziąć... Czy sądzi pan, że jest jeszcze czas, by odszukać rodzinę Eryka?

— Nigdy nie jest za późno na spełnienie swojego obowiązku — odparł doktor — choć obecnie rzecz będzie o wiele bardziej skomplikowana, aniżeli była wówczas... Czy chcecie mi ją powierzyć? Zajmę się nią z największą przyjemnością i obiecuję panu, że wywiążę się z niej z pożądaną gorliwością; ale pod jednym warunkiem: powierzycie mi chłopca, którego zawiozę do Sztokholmu...

Cios zadany maczugą nie ogłuszyłby bardziej maaster Herseboma. Zbladł i zmieszał się najwyraźniej.

— Powierzyć panu Eryka... wysłać go do Sztokholmu? A dlaczegoż to, panie doktorze? — spytał wzburzonym głosem.

— Zaraz panu powiem... Tym, co zwróciło moją uwagę na chłopca, były nie tylko warunki zewnętrzne, którymi na pierwszy rzut oka odróżniał się od innych uczniów, lecz i jego żywa inteligencja, wyraźne powołanie do nauk wyższych. Nie wiedząc jeszcze, jakim zrzędzeniem losu znalazł się w Nora, powiedziałem, że byłoby zbrodnią pozostawienie tak wielce uzdolnionego dziecka w wiejskiej szkole, nawet u pana Malariusza — gdyż nie dysponuje on niczym, co mogłoby przyczynić się do rozwoju wyjątkowych uzdolnień; ani muzeów, ani zbiorów naukowych, ani bibliotek, ani współzawodników jego godnych... To skłoniło mnie do wywiadywania się o Eryka, rozpytywania o to, jakie były jego losy. Ale nim je poznałem, nabrałem chęci, żeby zapewnić temu dziecku możliwość i warunki dla bardziej kompletnej edukacji... Rozumie pan, że teraz, kiedy poznałem wyjaśnienia, jakich mi pan udzielił, tym bardziej zapaliłem się do tego projektu. I przecież to nie ciężar zobowiązania, którego chcę się podjąć, mógłby mnie od tego planu odwieść... Nie potrzebuję panu, maaster Hersebom, przypominać, że pański adoptowany syn należy oczywiście do rodziny zamożnej i dystygowanej. Czy chciałby pan, żebym, odnalazłszy ją, zwrócił jej dziecko wychowane na wsi i pozbawione należytej edukacji, co uczyniłoby z niego kogoś nie na miejscu w swoim nowym środowisku?... Nie byłoby to roztropne, ma pan aż nadto rozsądku, żeby to zrozumieć...

Maaster Hersebom pochylił głowę. Ani się spostrzegł, jak dwie wielkie łzy spłynęły mu po ogorzałych policzkach.

— Ale wtedy — rzekł — rozstalibyśmy się na zawsze!... Nie wiedząc nawet, czy chłopiec odnajdzie swoją rodzinę, będziemy musieli pozbawić go tego domu!... Za wiele pan żąda ode mnie, za wiele od mojej żony!..., Dziecko jest u nas szczęśliwe!... Dlaczego nie zostawić go tutaj — przynajmniej do chwili, kiedy upewni się co do swojego piękniejszego losu?

— Chłopiec jest szczęśliwy!... A kto panu powiedział, że bę dzie tak i później!... Skąd pan wie,



że kiedy stanie się dojrzały, nie pożałuje, iż go ocalono! Inteligentny, a może nawet w przyszłości przerastający swoje otoczenie, będzie się dusił pozostając na zawsze w Nora, mój drogi Hersebomie!...

— Słowo daję, panie doktorze, to życie, którym pan tak gardzi, jest dla nas dość dobre!... Dlaczego i dla małego nie miałyby być takie?

— Ja nim wcale nie gardzę — zaprzeczył doktor gorąco. — Nikt chyba bardziej ode mnie nie podziwia i nie czci pracy! Czy sądzi pan, panie Hersebom, że mógłbym zapomnieć, skąd pochodzę!... Mój ojciec i mój dziadek byli tak jak i pań rybakami! Właśnie dlatego, że przewidzieli, iż trzeba mi dać wykształcenie, oceniam nasz dobry postępek według jego prawdziwej wartości oraz chciałbym zapewnić pożytek płynący z wiedzy, chłopcu, który na to zasługuje. Kieruje mną wyłącznie troska o jego dobro, proszę mi wierzyć...

— Cóż w końcu ja o tym mogę wiedzieć?... Eryk doprawdy niedaleko się posunie, jeśli pan zrobi z niego "pana", który nie będzie umiał posługiwać się swoimi rękami!... A jeśli pan nie odnajdzie jego rodziny, co jest bardzo prawdopodobne, wyjdziemy na dudków po tych dwunastu latach trudu, i to niemałego!... Niech się pan z tym zgodzi, że piękne jest to życie człowieka morza, i warte co najmniej tyle, ile każde inne!... Dobra łódź pod nogami, świeży podmuch we włosach, cztery, może pięć tuzinów dorszy na końcu wędek dennych — i oto rybak norweski niczego się nie lęka ani nic nikomu nie jest winien!... Powiada pan, że Eryk nie będzie kontent z takiego życia?... A mnie się zdaje — pan pozwoli — że przeciwnie! Znam dobrze to dziecko!... Kocha książki, ale nade wszystko kocha morze! Można by rzec, że wie o tym, iż ono go kołysało, i żadne muzeum świata nie pocieszyłoby go, gdyby się znalazł daleko odeń!

— Ależ Sztokholm też leży nad morzem — rzekł z uśmiechem doktor, wzruszony, wbrew samemu sobie, tym pełnym miłości oporem.

Rybak skrzyżował ramiona i spytał:

— Czego pan doktor w końcu sobie życzy? Co pan proponuje?

— No proszę! Sam pan widzi, że istnieje" konieczność uczynienia czegoś... Taka jest zatem moja propozycja: Eryk ma dwanaście lat, niedługo — trzynaście i wydaje mi się, że jest dzieckiem wyjątkowo uzdolnionym. Nie ma więc znaczenia, skąd tu przybył... Zostawmy na razie sprawę jego pochodzenia. Zasługuje na to, by stworzyć mu możliwości rozwinięcia i wykorzystania swoich uzdolnień: to nas w tej chwili zajmuje najbardziej. Jestem bogaty i nie mam dzieci. Przyrzekam dostarczyć mu te środki, dać najlepszych nauczycieli oraz ułatwić w każdy dostępny sposób wykorzystanie nauk, jakich będą mu udzielali... Doświadczenie będzie trwało dwa lata... W tym czasie ja biorę się do dzieła, wszczynam poszukiwania, umieszczam ogłoszenia w gazetach, poruszam niebo i ziemię, aby odnaleźć rodziców chłopca! Jeśli ich nie odnajdę w ciągu dwóch lat, to nie odnajdę ich nigdy!... A jeśli rodzice się znajdą — oni zdecydują, jak należy postąpić!... W przeciwnym wypadku odeślę panu Eryka! Będzie już miał piętnaście lat, pozna trochę świata; będzie to i pora, aby powiedzieć mu o jego pochodzeniu; może wówczas, biorąc pod uwagę nasze rady i zgodnie z umotywowanymi sugestiami jego nauczycieli, będzie mógł, znając całość zagadnienia, zdecydować i obrać swoją drogę życiową!...

Jeśli zechce zostać rybakiem — ja się temu nie sprzeciwię!... Zechce dalej studiować — to pewnie będzie tego godny; a ja zobowiązuję się, że umożliwię mu dokończenie nauki i ułatwię drogę w obranym przez niego zawodzie!... Czy nie wydaje się to panu rozsądne?

— Więcej niż rozsądne! Sama mądrość przemawia przez pana usta, panie doktorze — zawołał maaster Hersebom pokonany na ostatnim szajcu. — Oto jakie ma znaczenie nauka! — dodał kręcąc głową. — Łatwo się wygrywa z nie wykształconymi!... Najtrudniej będzie teraz powtórzyć to

wszystko mojej żonie!... Czy prędko zabierze pan małego?

— Jutro!... Nie mogę opóźnić choćby o jeden dzień mojego powrotu do Sztokholmu.

Maaster Hersebm westchnął tak, jakby załkał.

— Jutro... To niedługo!... — rzekł. — Ale co ma być, niech będzie!... Porozmawiam z żoną...

— Tak. I niech się pan naradzi z panem Malariusem. — Przekona się pan, że i on jest mojego zdania.

— Trochę się tego domyślam — odparł rybak ze smutnym uśmiechem.

Uścisnął dłoń, którą pan Schwaryencrona wyciągnął do niego, i odszedł zamyślony.

Wieczorem, nieco przed kolacją, doktor znowu skierował się do domu maaster Herseboma. Zastał całą rodzinę skupioną jak wczoraj wokół kominka, ale już nie w tym samym nastroju: błógiego spokoju i szczęścia. Ojciec siedział dość daleko od ognia, milczący i z beczynnymi rękami. Katrina z oczami pełnymi łez ścisnęła w swoich dłoniach ręce Eryka, który z policzkami pałającymi radością z racji jego nowego bytu, okiem zaś spochmurniałym od smutku, że musi porzucić to, co tak kochał, walczył z tymi dwoma uczuciami, nie wiedząc jakiemu z nich pozwolić wziąć górę nad drugim. Mała Wanda tuliła twarz do kolan rybaka. Widać było tylko jej srebrzystoblond warkocze, opadające ciężko na wdzięczne, smukłe ramiona. Otto żywo poruszony tym nieuniknionym rozstaniem, stał nieruchomo obok swojego przybranego brata.

— Jacyż jesteście ponurzy i zrozpaczeni — zawołał doktor zatrzymując się w progu. — Gdyby Eryk wyruszał na najdalszą i najbardziej niebezpieczną wyprawę, nie byłibyście w stanie okazywać więcej zgryzoty!... A doprawdy zapewniam was, drodzy przyjaciele, że nie ma ku temu najmniejszego powodu! Sztokholm nie leży na antypodach i chłopiec nie opuszcza was na zawsze! Będzie mógł do was pisywać i nie wątpię, że będzie to często robił. Jego los jest taki sam jak innych chłopców udających się do gimnazjum. Za dwa lata powróci do was jako rostry młodzieniec, i to młodzieniec wykształcony, wyszkolony w każdym calu! Czy to jest rzeczywiście tak wielki powód do rozpaczyny?... Doprawdy, to nierozsądne!

Katrina wstała z godnością wrodzoną chłopkom z Północy.

— Herr doktor, Bóg mi świadkiem, że jestem panu ogromnie wdzięczna za to, co pan robi dla naszego Eryka — rzekła. — Nie należy nam jednak wyrzucać tego, że się smucimy z powodu jego wyjazdu. Hersebm wytłumaczył mi, że to rozstanie jest konieczne. Poddaję się temu. Ale proszę nie wymagać ode mnie, abym nie była zasmucona!

— Mamo — zawołał Eryk — nie wyjadę, jeśli zbyt z tego powodu cierpisz!

— O nie, moje drogie dziecko — mówiła dalej tuląc chłopca w ramionach. — Wykształcenie jest dobrodziejstwem, którego nie mamy prawa ci odmawiać!... Idź, mój mały, podziękuj panu doktorowi, który pragnie ci je zapewnić, i dowiedz mu w przyszłości swoją pilnością w nauce, że oceniasz należycie jego dobroć.

— Dajcie pokój, dajcie pokój! — zachnął się doktor, którego okulary pokryły się, jak się wydawało, osobliwą mgiełką — czy i mnie chcecie rozczulić, mnie również?... Pomówmy raczej o rzeczach praktycznych. Pojęliście dobrze, iż mamy wyruszyć jutro o świcie i że wszystko musi być przygotowane? Mówiąc "wszystko" nie myślę bynajmniej o jakiejś bogatej wyprawce. Pojedziemy sankami do Bergen i tam wsiądziemy do kolei żelaznej. Eryk potrzebuje tylko trochę bielizny, a w Sztokholmie znajdzie się reszta, wszystko, co mu będzie konieczne.

— Eryk będzie gotów — powiedziała z prostotą jejmość Hersebm. — Wando — dorzuciła z istic norweską kurtuazją — pan doktor jeszcze stoi.

Dziewczynka pośpiesznie przysunęła panu Schwaryencronie wielki fotel z lakierowanego dębu.

— Muszę już iść — oświadczył doktor. — Pan Malarius czeka na mnie z kolacją... No i co *flicka*

— mówił dalej kładąc rękę na jasnej głowie dziewczęcia — czy masz do mnie wielką pretensję o to, że zabieram ci brata?

— Nie, panie doktorze — odparła z powagą dziewczynka. — Eryk będzie tam o wiele szczęśliwszy. Nie jest stworzony do tego, by zostać na wsi.

— A czy ty, moja mała, będziesz bez niego bardzo nieszczęśliwa?

— Plaża będzie pusta — odparło łagodnie dziewczątko. Mewy będą go szukać i nie znajdą. Drobnie niebieskie fale zdziwią się, że go już nie ma i dom będzie się wydawał opustoszały. Ale Eryk dozna radości, gdyż będzie miał książki i zostanie uczniem.

— A jego zacna siostrzyczka będzie się radować jego szczęściem, prawda, moje dziecko? — powiedział doktor całując dziewczynkę w czoło. — I jaka będzie z niego dumna, kiedy powróci!.., No, to załatwiliśmy tę sprawę! A teraz muszę uciekać czym prędzej! Zatem do jutra! — Panie doktorze — odezwała się nieśmiało Wanda — chcę prosić pana o jedną łaskę dla mnie...

— Mów, *flicka!*

— Powiedział pan, że odjeżdża sankami, prawda? Chciałabym, za zgodą mojego taty i mamy, aby pozwolił mi pan odwieźć się do pierwszego postoju.

— O jej... niestety poprosiłem już o to Regnildę, córkę mojego zarządcy!

— Wiem o tym od niej samej. Lecz chętnie ustąpi mi swojego miejsca, jeśli pan się na to zgodzi.

— No to musisz już tylko poprosić o zgodę swoich rodziców. — Już ją mam.

— A więc masz i moją, drogie dziecko — powiedział doktor wychodząc z domu.

Nazajutrz rano, kiedy olbrzymie sanie zatrzymały się przed domem Hersebomów, Wanda siedziała już na koźle trzymając lejce. Miała powozić do najbliższej wsi, gdzie doktor wynajmie nowy zaprząg i inną dziewczynką, i tak aż do Bergen, Woźnica całkiem nieznanego pokroju zdziwiłby na pewno obcokrajowca; ale taki właśnie zwyczaj panuje w Szwecji i w Norwegii. Mężczyźni uważaliby, że trwonią czas przy takim zajęciu, więc nierzadko powierza się tu owe ciężkie zaprzęgi dziesięcio- czy jedenastoletnim dzieciom, które kierują nimi wyśmienicie.

Doktor usadowił się już na tylnym siedzeniu pojazdu, dobrze okutany w futra. Eryk zajął miejsce obok Wandy, uściskawszy uprzednio czule ojca i brata, którzy milcząc przeżywali smutek spowodowany jego wyjazdem, i na koniec zasnęł Katrinę, o wiele bardziej wylewną.

— Żegnaj, mój synu! — mówiła wśród łez. — Nie zapomnij nigdy tego, czego cię nauczyli twoi biedni rodzice! Bądź uczciwy i dzielny! Nie kłam nigdy! Pracuj, jak najlepiej potrafisz! Opiekuj się zawsze słabszymi od siebie! A jeśli nie znajdziesz tam szczęścia godnego ciebie, wróć, by poszukać go wśród nas.

Wanda musnęła konia, który ruszył wyciągniętym kłusem potrząsając dzwoneczkami. Powietrze było zimne, droga twarda jak szkło. Tuż nad horyzontem blade słońce rozścielało złoty płaszcz nad tą ośnieżoną krainą. Po paru minutach Nora zniknęło w dali.

# ROZDZIAŁ IV

## W SZTOKHOLMIE

Doktor Schwaryencrona zajmował w Sztokholmie wspaniały pałacyk leżący na wyspie Stadsholmen. To dzielnica jedna z "naj"starszych i "naj"bardziej poszukiwanych w tej uroczej stolicy, jedna z "naj" ładniejszych i "naj" wdzięczniejszych — jedna z tych, które obcokrajowcy zwiedzaliby chętniej, gdyby moda i przesąd nie miały takiego wpływu na plany podróży zwykłego turysty, jak na kształt jego kapelusza.

Usytuowany między jeziorem Melar i Morzem Bałtyckim na ośmiu wyspach połączonych niezliczonymi mostami i obrzeżonych wspaniałymi bulwarami, ożywiany ustawicznym ruchem parowców, które pełnią służbę omnibusów, oraz wesołością pracowitej i radej ze swojego losu ludności, najgościnniejszej, najlepiej wychowanej i wykształconej w Europie, Sztokholm jest wraz ze swoimi rozległymi parkami, bibliotekami, muzeami i zakładami naukowymi prawdziwymi Atenami Północy, jak też ogromnie ważnym ośrodkiem handlowym.

Eryk tymczasem był nadal pod wrażeniem, jakie zrobiła na nim Wanda, rozstając się z nim podczas pierwszego postoju. Pożegnanie było o wiele poważniejsze, aniżeli można było się spodziewać, mając na uwadze wiek rodzeństwa, te dwa młode serca nie zdołały ukryć przed sobą głębokiego wzruszenia.

Ale kiedy pojazd, który na dworcu czekał na Eryka, zatrzymał się przed obszernym domem z czerwonych cegieł, którego podwójne okna jarzyły się światłem gazowych lamp, Eryk doznał olśnienia. Miedziana kołatka u drzwi wydała mu się złotym cackiem. Westybul wyłożony marmurowymi płytami, ozdobiony rzeźbami, świeczniki z brązu, ogromne chińskie wazy napełniły go niekłamanym podziwem. Podczas gdy kamerdyner w liberii rozdziewał swojego pana z futer, pytając o zdrowie tonem serdecznym, właściwym szwedzkiej służbie, Eryk wodził wokoło zdumionym spojrzeniem.

Jakieś głosy przyciągnęły jego uwagę ku schodom o dębowej szerokiej poręczy, przykrytych grubym dywanem. Odwrócił się i zobaczył dwie osoby, których strój wydał mu się ostatnim krzykiem elegancji.

Jedną z nich była niewysoka, siwowłosa pani, trzymająca się prościutko w czarnej, wełnianej, układanej w plisy sukni, na tyle krótkiej, że można było dostrzec czerwone pończochy z żółtymi napiętkami i czarne, zapinane na klamry pantofle. Ogromny pęk kluczy zwisał jej na metalowym łańcuszku u pasa. Głowę trzymała wysoko i spoglądała przed siebie wzrokiem przenikliwym, bystrym. Była to fru Greta-Maria, gospodyni doktora, niezaprzeczalna władczyni domu w sprawach kulinarnych i gospodarskich.

Z nią pojawiła się jedenasto- czy dwunastoletnia dziewczynka — księżniczka z bajki dla oczu Eryka. Zamiast ludowego stroju, bo takie tylko Eryk widywał dotychczas u dziewczynek w tym wieku, miała na sobie granatową aksamitną suknię, na którą opadały jedwabiste fale jej złotych loków, na nogach czarne pończoszki i pantofelki z jedwabiu, a wiśniowa kokarda na głowie niczym motyl ożywiała jaskrawym kolorem jej osobliwą, bladą twarz, na którą zielone oczy dziewczęcia rzucały fosforyzujący blask.

— Ach, jaka jestem szczęśliwa, że cię, wuju, nareszcie znów widzę!... Czy dobrą miałeś podróż? — wołała dziewczynka rzucając się doktorowi na szyję.

Ledwie raczyła musnąć spojrzeniem Eryka, który skromnie stał z boku.

Doktor odwzajemnił się dziewczynce pieszczotami, uściśnął rękę gospodyni, po czym dał znak swojemu protegowanemu, by się zbliżył.

— Proszę Kajsię i panią, pani Greto, byście okazały życzliwość Erykowi Hersebmowi, którego przywiozłem z Norwegii — rzekł. — A ty, mój chłopcze, niczego się nie bój! — dorzucił łagodnie. — Pani Greta nie jest tak surowa, na jaką wygląda, a moja bratanica Kajsa zaprzyjaźni się wkrótce z tobą!... Prawda, moje dziewczątko? — dorzucił Uszczypnąwszy leciutko małą wrózkę w policzek.

Mała wróżka odpowiedziała na to dość pogardliwym grymasem. A co do gospodyni — wydawało się, że ona również nie była zbyt zachwycona nowym gościem, którego jej właśnie przedstawiono.

— Czy mogę pana prosić, herr doktor — odezwała się wchodząc w zamyśleniu na schody — aby mi pan wyjawiał, co to za dziecko?

— Ależ oczywiście, pani Greto. Niech się pani nie obawia, opowiem o nim wszystko!... Ale, jeśli pani nie ma nic przeciw temu, chętnie byśmy najpierw coś przekąsili.

W *matsal*, czyli jadalni, przygotowano już stół, na którym pięknie się prezentowały kryształ i *snorgasy*, ustawione na białym obrusie. O takim luksusie biedny Eryk nawet nie zamarzył, gdyż chłopci norwescy nie używają bielizny stołowej, nawet talerze zaczęły się pojawiać dopiero niedawno, toteż wielu z nich jada nadal rybę na kromkach czarnego chleba i nie czuje się przez to źle. Trzeba więc było, aby doktor dwukrotnie powtórzył zaproszenie do stołu, czym zmusił chłopca do zajęcia miejsca, lecz niezręczność ruchów Eryka ściągnęła na niego niejedno ironiczne spojrzenie froken Kajsy. Jednak apetyt dopisywał podróżnym i sprawy potoczyły się dobrze. Po *snogarsach* nastąpiła wieczerza, która swoją solidnością wprawiłaby w przerażenie żołądek każdego Francuza, a dzięki obfitości zaspokoiliaby głód batalionu infanterii mającego za sobą cały dzień marszu: zupa rybna, chleb własnego wypieku, gęś faszerowana kasztanami, gotowana wołowina obłożona górą jarzyn, piramida ziemniaków, całe tuziny jaj gotowanych na twardo, pudding przybrany gronami suszonych winogron — wszystko to zostało wesoło zaatakowane i spałaszowane.

Kiedy skończono ów posilny festyn, który zresztą upłynął w całkowitym niemal milczeniu, wszyscy przeszli do bawialni, przestronnej sali wyłożonej boazerią, w której, w sześciu wykuszach okiennych zasłoniętych ciężkimi wełnianymi kotarami, paryski architekt urządziłby tyleż oddzielnych, wyposażonych kompletnie apartamentów. Doktor usadowił się w głębokim skórzanym fotelu, stojącym nie opodal kominka; Kajsa przysiadła na taborecie u kolan wuja, natomiast Eryk, onieśmielony i zakłopotany, zmierzał do okna chcąc schronić się w tym ciemnym zagłębieniu. Lecz doktor udaremnił mu to.

— Mój chłopcze, chodź no tutaj ogrzać się przy ogniu — zawołał swoim dźwięcznym głosem — i powiedz nam, co myślisz o Sztokholmie.

— Ulice są bardzo ciemne, bardzo wąskie, a domy bardzo wysokie — odparł Eryk.

— Trochę wyższe niż w Nora — roześmiał się doktor.

— Przez nie nie widać gwiazd — mówił dalej chłopiec.

— Bo jesteśmy tutaj w eleganckiej dzielnicy — wtrąciła Kajsa dotknięta krytycznymi uwagami Eryka. — Wystarczy przejść przez któryś most, żeby znaleźć się na szerszych ulicach.

— Oglądałem je jadąc z dworca, ale najładniejsza z nich nie Jest tak szeroka jak fiord w Norø! — odparował Eryk.

— Ho! Ho! Czyżbyśmy już tęsknili za swoim krajem — zażartował doktor.

— Nie — odpowiedział rezolutnie Eryk — nazbyt jestem panu wdzięczny, panie doktorze, bym choć przez chwilę żałował swojego przyjazdu. Ale pyta mnie pan, co myślę o Sztokholmie, więc odpowiadam.

— Noro musi być jakąś okropną dziurą — odezwała się Kajsa.

— Okropną dziurą! — powtórzył Eryk zgorszony. — Czyżby ci, co tak mówią, nie mieli oczu, froken Kajsa? Gdybyś mogła przynajmniej zobaczyć granitowy łańcuch skał opasujących nasz fiord, nasze góry, nasze lodowce, nasze sosnowe lasy, rysujące się czarnym konturem na jasnym niebie! A dalej wielkie morze, już to wzburzone i groźne, już to łagodne, mające, zda się, ochotę ukołysać cię. Loty mew, szybujących w powietrzu j ginących w nieskończoności, na koniec wracających po to, by musnąć cię skrzydłem!... O, to wszystko jest piękne, dużo piękniejsze od miasta!

— Ależ ja nie miałam na myśli krajobrazu, lecz domy — odparła Kajsa, — To tylko wiejskie chałupy, nieprawdaż onkel?

— Wiejskie chaty, gdzie urodził się twój ojciec i dziadek, a i ja również — powiedział z powagą doktor.

Kajsa zaczerwieniła się i umilkła.

— Są to tylko rzeczywiście drewniane domy — rzekł Eryk — ale wcale nie gorsze od innych!... Prawie każdego wieczoru, kiedy ojciec naprawia sieci, a matka przedzie na kołowrotku, siadamy we troje, Wanda, Otto i ja, na ławie, u naszych stóp zaś leży nasz wielki pies Klass, i powtarzamy chórem stare sagi, patrząc na cienie igrające po suficie. Gdy wiatr dmie na dworze, a wszyscy rybacy są już w domach, dobrze jest nam w cieple naszej chaty Jest równie dobrze, jak w takim pięknym salonie.

— To wcale nie jest największy pokój — powiedziała Kajsa z dumą. — Gdybym ci pokazała wielki salon, to dopiero byś zobaczył!

— Ale ileż tu książek! — odparował Eryk. — Czy jest ich więcej w salonie?

— Dobryś sobie!... A któżby o tym mówił? Chodzi o fotele kryte aksamitem, koronkowe firanki, wielki francuski zegar, wschodnie dywany!

Eryka, jak się wydawało, nie olśniło to wyliczanie, wodził bowiem łakomym spojrzeniem po dębowej bibliotece zajmującej jedną ze ścian bawialni.

— Możesz przyjrzeć się z bliska tym książkom i wziąć sobie tę, która cię zacieka — powiedział doktor.

Eryk nie czekał na ponowne przyzwolenie. Wybrał jeden z tomów i zasiadłszy w dobrze oświetlonym miejscu cały oddał się lekturze. Ledwie spostrzegł, że do pokoju weszli kolejno dwaj starsi panowie, wierni współtowarzysze doktora Schwaryencrony, którzy co wieczór przychodzili na partyjkę wista.

Pierwszym z nich był profesor Hochstedt — wysoki starzec o dostojnym sposobie bycia. W słowach pełnych emfazy wyraził radość, jaką sprawia mu powrót doktora. Zaledwie usadowił się w fotelu, w którym zwykle zasiadał i który z tej racji został nazwany "fotelem profesora", kiedy zadźwięczał wyraźny i zdecydowany dzwonek u drzwi.

— Oto i Bredejord! — wykrzyknęli jednocześnie obaj przyjaciele.

Wkrótce drzwi się otwarły i pojawił się w nich szczupły, żwawy mężczyzna, który wpadłszy jak podmuch wiatru do pokoju, uściśnął obie dłonie doktora, pocałował Kajsę w czoło, wymienił z profesorem serdeczne powitanie i obrzucił pokój błyszczącymi jak u myszy oczami.

Był to pan adwokat Bredejord, jedna ze znakomitości izby adwokackiej w Sztokholmie.

— Patrzenie... a kogóż tu widzimy? — powiedział nagle dostrzegłszy Eryka, — Młodego rybaka łowiącego dorsze lub raczej majtka z Bergen?... I który czyta Gibbona po angielsku!... — mówił dalej stwierdziwszy jednym rzutem oka, jaka książka była aż tak zajmująca, że mały wiejski chłopiec cały się w niej pograżył. — I to cię ciekawi, mój chłopcze? — zagadnął na koniec.

— Tak, proszę pana, bo już dawno chciałem przeczytać to, dzieło będące pierwszym tomem

"Upadku imperium rzymskiego" — odparł naiwnie Eryk.

— Psia kość! — zakrzyknął adwokat. — Wydaje się, że majtkowie z Bergen przepadają za poważnymi lekturami!... Bo jesteś na pewno z Bergen?... — dorzucił niemal natychmiast.

— Pochodzę z Norø, niezbyt odległego od Bergen — odparł Eryk.

— Ach tak!... Czy w Nora wszyscy mają, mówiąc ogólnie, takie ciemne oczy i włosy?

— O nie, proszę pana. Mój brat, moja siostra i wszyscy inni są jasnowłosi prawie tak jak panna Kajsa — mówił Eryk. — Ale oni nie ubierają się jak ona — dorzucił z uśmiechem — więc wcale nie są do niej podobni.

— Domyślam się tego — powiedział pan Bredejord. — Panna Kajsa jest wytworem cywilizacji. A tam panuje piękna natura, która za całą ozdobę ma swoją prostotę. A co masz zamiar robić w Sztokholmie, mój chłopcze. Przepraszam cię za wścibstwo.

— Pan doktor łaskawie oddaje mnie do gimnazjum.

— Ach!... Ach!... zdziwił się pan adwokat i zastukał palcami w tabakierkę.

I jego przenikliwe spojrzenie zdawało się pytać doktora o ową żywą zagadkę. Ale dostrzegłszy niemal niewidoczny znak, jaki dał mu doktor, pojął, że należy odłożyć na razie wszelkie pytania i zmienił temat rozmowy.

Omawiano więc to, co działo się na dworze, w mieście i co wydarzyło się na świecie od chwili wyjazdu doktora. Po czym pani Greta otworzyła stolik do gry, przygotowała żetony i karty. Wkrótce też zapadła cisza, podczas gdy trzej przyjaciele pogrążyli się w uczonych zawilościach wista.

Doktor miał tę niewinną słabostkę, że był najpierwszy z graczy i mniej niewinny zwyczaj, iż stawał się bezlitosny wobec błędów, jakie popełniali jego partnerzy. Nie posiadał się z radości, którą wyrażał hałaśliwie, jeśli na skutek ich błędów wygrywał, i kłął kiedy ponosił porażkę; na domiar złego po każdym robrze z wyraźną przyjemnością wyjaśniał delikwentowi, który popełnił błąd, jaką kartą powinien był zagrać po takiej lewie, a jaką powinien zachować na następne wyjście po innej. Ta wada występuje dość często u grających w wista, ale nie jest ona bynajmniej miła, kiedy przeradza się w manię i kiedy gracz wyżywa się co wieczór na tych samych ofiarach.

Na swoje szczęście doktor miał do czynienia z dwoma przy jaciółmi, którzy rozbrajali go zawsze: profesor niewzruszonym spokojem, adwokat natomiast pogodnym sceptycyzmem.

— Masz pan rację — mawiał z powagą pierwszy z nich w odpowiedzi na najostrzejsze wymówki.

— Mój drogi doktorze, wiesz pan dobrze, iż daremnie się trudzisz prawiąc mi morały! — mawiał rozbawiony pan Bredejord. — Przez całe życie będę popełniał przy wiście najcięższe grzechy i, co gorsza, wcale ich nie żałuję.

No i co tu robić z tak zatwardziałymi grzesznikami?! Doktor musiał zdławić swoje krytyczne uwagi, ale tylko na kwadrans, był bowiem niepoprawny.

Przypadek chciał, że właśnie tego wieczoru przegrywał za każdym razem, toteż jego zły humor przejawiał się w przykrych uwagach wobec profesora, wobec adwokata, a nawet wobec "dziada", kiedy owa fikcyjna postać nie miała tylu kart atutowych, jaką doktor, swoim zdaniem, powinien był u niego znaleźć.

Profesor jednak z niezmaconym spokojem układał sztony, adwokat zaś odpowiadał wyłącznie facecjami na najbardziej gorzkie wyrzuty przyjaciela.

— Dlaczego pan chcesz, żebym zmienił metodę, skoro wygrywam grając źle, a pan przegrywasz, grając wspaniale? — powtarzał doktorowi.

W ten sposób przyjaciele dotrwali do dziesiątej wieczór. Kajsa przygotowała herbatę we wspaniałym miedzianym samowarze i podała ją z miłym uśmiechem, po czym zniknęła. Wkrótce

weszła pani Greta, by zabrać Eryka do jego pokoju — małego, bielutkiego i czystego pokoiku na drugim piętrze — a trzech przyjaciele zostali sami.

— Powie nam pan wreszcie, co to za mały rybak z Nora, który czyta Gibbona w wydaniu oryginalnym? — spytał wówczas pan Bredejord, słodząc drugą już filiżankę herbaty. — A może ten temat musi być starannie ukrywany?

— Nie ma tu żadnych tajemnic i chętnie opowiem dzieje Eryka, jeżeli jesteście, panowie, zdolni zachować tę relację dla siebie — odparł doktor Schwaryencrona nie wyzbywszy się jeszcze urazy do przyjaciół.

— Och, byłem pewien, że musi w tym tkwić jakaś osobliwa historia! — zawołał adwokat rozsiadając się wygodnie w fotelu. — Słuchamy cię, drogi przyjacielu, i bądź pan pewien, że twoje zwierzenia padną na dobre podłoże!... Wyznaję, że ten chłopczyzna intryguje mnie już jako zagadnienie.

— Bo to jest żywe zagadnienie, rzeczywiście — prawił doktor, któremu pochlebiało zaciekawienie przyjaciela — zagadnienie, którego rozwiązanie, śmiem twierdzić, prawdopodobnie już znalazłem. Podam wam wszystkie, dane, a wy, panowie, powiecie mi, czy wasza konkluzja jest zgodna z moją.

Pan Schwaryencrona oparł się plecami o wielki fajansowy piec i zacząwszy od momentu, który stanowi załączek niniejszej opowieści, opowiedział, jak to się stało, że zwrócił na Eryka uwagę w szkole w Nora i dlaczego zaczął się o niego wywiadywać. Zrelacjonował wszystko, czego dowiedział się od pana Malariusza i maaster Herseboma, nie pominawszy najmniejszego szczegółu, wspomniał o kole ratunkowym noszącym nazwę "Cynthia", o ubrankach, które pokazała mu pani Katrina, o monogramie wyhaftowanym na tych dziecięcych szmatkach, o medalionie z koralu, o dewizie, wreszcie o cechach etnograficznych tak wyraziście prezentujących się u Eryka,

— Znacie teraz, moi przyjaciele, wszystkie elementy problemu, który pojawił się przede mną — ozwał się znów. — I muszę wam, panowie, od razu powiedzieć, że stopień wykształcenia chłopca, rzeczywiście wyjątkowy, ma drugorzędne znaczenie, będąc bowiem zasługą pana Malariusza nie odgrywa większej roli, choć ów stopień wykształcenia ściągnął moją uwagę na podmiot naszych dociekań i sprawił, że zacząłem wypytywać o niego. Bo i rzeczywiście, skoro stawiam pytania tak sformułowane: skąd pochodzi to dziecko? gdzie należy skierować poszukiwania, mające na celu odszukanie jego rodziny? — ta sprawa nie wnosi nic zasadniczego.

Jedyne istotne dane mogące pokierować naszymi krokami to:

1. Cechy fizyczne wskazujące na rasę dziecka;
2. Nazwa "Cynthia" widniejąca na kole ratunkowym. Jeśli idzie o główny punkt, nie istnieją żadne wątpliwości: chłopiec należy do rasy celtyckiej. Przedstawia nawet typ celtycki w całej jego piękności i czystości. Przejdźmy do drugiego punktu. "Cynthia" to na pewno nazwa statku, do którego należało koło ratunkowe. Ta nazwa może być tak samo nazwą okrętu niemieckiego, jak i angielskiego. Ale nie wypisano jej literami gotyckimi, A zatem był to statek angielski — mówiąc ściślej anglo-saksoński

Wszystko zresztą potwierdza tę hipotezę; istnieje bowiem tylko jeden okręt angielski, który płynąc bądź to do Inverness, bądź to na Orkady, ewentualnie wracając stamtąd, mógłby w czasie burzy znaleźć się w okolicach Norø. I nie zapominajcie, że ten mały rozbitek nie mógł płynąć zbyt długo, skoro oparł się zwycięsko zarówno głodowi, jak i innym niebezpieczeństwom tej trudnej żeglugi! No więc rozważywszy to wszystko, drodzy przyjaciele, jakież wysuwacie wnioski?

Ani profesor, ani adwokat nie uznali za stosowne pisać choćby słowa.

— Z pewnością nie dostrzegacie jeszcze konkluzji — mówił dalej doktor tonem, przez który



przebijała utajona nutka triumfu. — A może nawet widziecie pewną sprzeczność między tymi dwoma elementami: dziecko rasy celtyckiej i okręt anglosaksoński? Dzieje się tak po prostu dlatego, że bagatelizujecie okoliczność wielkiej wagi, a mianowicie istniejącą u boku Wielkiej Brytanii siostrzaną wyspę zamieszkaną przez ludność celtycką — Irlandię! Ja również z początku nie pomyślałem o tym, co nie pozwalało mi dojrzeć wyraźnie rozwiązania tego zagadnienia. Obecnie to rozwiązanie samo się narzuca: chłopiec jest Irlandczykiem! Czy nie jest pan takiego zdania, Hochstedt?...

Jeśli istniało na świecie coś, za czym godny profesor specjalnie nie przepadał, było to mianowicie to, że unikał wypowiedzi twierdzących na jakikolwiek temat. Musimy jednak zgodzić się z tym, że na przedstawione mu obecnie do bezstronnej oceny zagadnienie jakakolwiek opinia była co najmniej przedwczesna. Toteż ograniczył się do wykrętnego skinienia głową i do słów:

— Irlandczycy niezaprzeczalnie należą do gałęzi celtyckiej wywodzącej się z rasy aryjskiej.

Było to tylko jedno z tych twierdzeń, którego nie można otaksować jako nazbyt śmiałego.

Ale doktor Schwaryencrona nie oczekiwał nic więcej, i w zdaniu tym znalazł całkowite potwierdzenie swojej teorii.

— Sam pan widzisz! — zawołał żarliwie. — Skoro Irlandczycy są Celtami, a chłopiec ma wszelkie cechy rasy celtyckiej i skoro "Cynthia" była okrętem angielskim, wydaje mi się, że trzymamy przynajmniej w ręku nić, konieczną do odnalezienia rodziny biednego malca. Trzeba zacząć poszukiwania właśnie w Wielkiej Brytanii. Parę ogłoszeń w "Times'ie" wystarczy zapewne by naprowadzić nas na jej ślad!

Doktor rozwinąłby zapewne swój plan poszukiwań, lecz właśnie wtedy spostrzegł, że adwokat milczy uparcie i spoglądając nań z odrobiną ironii, śledzi tok jego wywodów.

— Jeśli nie podzielasz pan, drogi Bredejord, mojego zdania, powinienesz mi to powiedzieć. Wiesz pan, że nie lękam się dyskusji! — rzekł ucinającym tonem.

— Ja nic nie powiedziałem! — odparł pan Bredejord. — Hochstedt jest świadkiem, że nic nie powiedziałem...

— Rzeczywiście. Ale widzę, że nie podzielasz pan mojego zdania!... I jestem ciekaw dlaczego? — spytał doktor, którego kłótność tak wspaniale rozkwitła w czasie partyjek wista. — Czyż "Cynthia" nie jest słowem angielskim? — dorzucił zadziornie. — Jest, gdyż nie była wypisana literami gotyckimi, co wskazywałoby na to, że był to statek niemiecki... Czy Irlandczycy nie są Celtami? Oczywiście są! Słyszeliśmy przed chwilą zdanie człowieka tak kompetentnego w tej sprawie, jak nasz znakomity przyjaciel Hochstedt, zdanie wypowiedziane w naszej obecności!... Czy dziecko nie ma wszelkich cech właściwych Celtom? Mogłeś pan sam to osądzić, albowiem uderzyły cię one wcześniej, nim otworzyłem usta na ten temat! Stwierdzam tedy, że trzeba doprawdy wierutnej złej woli, by nie przyłączyć się do mojej tezy i nie uznać wraz ze mną, że chłopiec pochodzi z rodziny irlandzkiej!

— Zła wola to dość mocne sformułowanie — odparł pan Bredejord. — Jeśli odnosi się ono do mnie, to proszę zauważyć, że nie wyraziłem żadnej opinii na ten temat...

— Ale dość wyraźnie okazujesz pan, że nie podzielasz mojej!

— Kto wie, czy nie mam do tego prawa!...

— Musiałbyś pan podać mi jakieś, wyraźne racje dla poparcia twojej, przyjacielu.

— A któż ci powiedział, przyjacielu, że wyrobiłem sobie już jakąś?...

— A więc to systematyczne sprzeciwianie się, ta potrzeba ustawicznego spierania się ze mną, zupełnie taka sama jak przy wiście!

— Trudno o coś bardziej odległego moim myślom, zapewniam cię, mój drogi doktorze. Pańskie

rozumowanie po prostu nie wydaje mi się niezbite i to wszystko.

— A dlaczegoż, jeśli łaska! Bardzo chciałbym to wiedzieć!

— Długo trzeba by o tym mówić. A wybiła właśnie jedenasta! I oprzeszę na tym, że zaproponuję panu pewien zakład: postawmy pańskiego Pliniusza w wydaniu Aldo Manuce'a przeciw mojemu Kwintylianowi, princeps, edycja wenecka, że nie odgadłeś pan właściwie i że ten chłopiec nie jest Irlandczykiem!

— Wiesz pan dobrze, że nie lubię się zakładać — odparł doktor, ułagodzony wreszcie tymi niewyczerpanymi zasobami humoru. — Ale taką radość sprawi mi to, że pana upokorzę, iż przyjmuję pańskie wyzwanie.

— No proszę! I tak oto doszliśmy do porozumienia... Ile czasu potrzebujesz pan na poszukiwania?

— Wystarczyłoby parę miesięcy, mniemam, ale umówiłem się z Hersebomem na dwa lata, aby być bardziej pewny swego.

— To dobrze. Daję ci, przyjacielu, dwa lata. Hochstedt będzie nam służył za arbitra. I nie zachowamy do siebie urazy, prawda?

— Oczywiście, nie mam urazy. Ale widzę już, że pańskiemu Kwintylianowi grozi wielkie niebezpieczeństwo: przyłączy się bowiem do mojego Pliniusza — odparował doktor.

Po czym uściskawszy dłonie swoim dwóm przyjaciołom, odprowadził ich aż do drzwi.

# ROZDZIAŁ V

## TRETTEN YULE DAGE

Już od następnego dnia Eryk rozpoczął nowy tryb życia, całkiem w tych warunkach zwykły. Doktor Schwaryencrona zaprowadził go najpierw do krawca, aby odmienić chłopca w mieszkańca stolicy, a następnie przedstawił dyrektorowi jednej z najlepszych szkół w mieście. Była to szkoła o programie naszego liceum, które nazywają się w Szwecji hogre elementar larovek. Dzieci uczą się tam języków starożytnych i nowożytnych, nauk ścisłych podstawowych, na koniec wszystkiego, co trzeba wiedzieć, nim rozpocznie się naukę w szkołach wyższych. Jak w Niemczech i we Włoszech wszyscy uczniowie są eksternistami. Ci, którzy nie mają nikogo z rodziny w mieście, mieszkają u profesorów lub u kandydatów do tytułów naukowych. Czesne jest bardzo skromne; sprowadza się nawet czasem do zera, jeśli uczeń nie może go zapłacić. Wyższe klasy tych szkół średnich miały zajęcia w klubach gimnastycznych, toteż wychowanie fizyczne szło zawsze w parze z rozwojem intelektualnym.

Eryk z miejsca znalazł się na czele swojej grupy. Uczył się wszystkiego z zadziwiającą łatwością, toteż miał dużo czasu dla siebie. Z tego właśnie powodu doktor uznał bowiem, że chłopiec mógłby uczęszczać wieczorami do slodjskolan, najpoważniejszej szkoły przemysłowej w Sztokholmie, ukierunkowanej na praktyczną stronę nauk ścisłych, jak doświadczenia z fizyki i chemii, ćwiczenia konstrukcji geometrycznych, wreszcie wszystko, co w liceum można poznać wyłącznie teoretycznie. Pan Schwaryencrona słusznie sądził, że nauka w tej szkole — będącej jednym z cudów Sztokholmu — przyda zapału szybkim postępom Eryka, ale nigdy nie ośmieliłby się marzyć o takich rezultatach, jakie dało to dwutorowe kształcenie.

Rzeczywiście jego młody pupil przystosował się w mgnieniu oka do warunków, jakie narzucała mu ta nauka, i poznawał najgłębsze tajniki wiedzy. Zamiast nieokreślonych i sztucznych pojęć, jakie stanowią zdobycz większości uczniów, on magazynował zasoby zasad prawdziwych, sprecyzowanych do końca. Późniejszy ich rozkwit był tylko kwestią czasu. W przyszłości będzie mógł bez trudu i jakby bawiąc się tylko osiągnąć najwyższe stopnie wykształcenia uniwersyteckiego. Takie samo usługi, jakie pan Malarius oddał mu w zakresie znajomości języków, historii, geografii i botaniki, nakłaniając go najpierw do powolnego zgłębiania ich zasad, slodjskolan oddawał mu w dziedzinie nauk ścisłych, wpajając mu owo ABC wiedzy przemysłowej, bez czego najznakomitsze nauki teoretyczne mogą na długo pozostawać martwą literą.

Zamiast obciążać umysł Eryka wielorakość i odmienność ćwiczeń wzmocniały go ogromnie, bardziej aniżeli zdołałyby to uczynić studia specjalistyczne. Zresztą boisko gimnastyczne było zawsze w zasięgu rąk, by oddać ciału to, co umysł już przedtem otrzymał i zarówno w sali sportowej, jak i w szkolnych ławkach Eryk był na pierwszym miejscu. Ponadto w dni wolne chodził nad morze, które kochał synowską miłością; rozmawiał na brzegu z rybakami i marynarzami, przykładając czasem ręki do ich pracy, nic więc dziwnego, że wracał wtedy do domu z jakąś piękną rybą, którą pani Greta zawsze się radowała.

Powzięła ona wkrótce prawdziwy sentyment do nowego mieszkańca domu. Eryk był łagodny, grzeczny, i to w sposób całkiem naturalny, uczynny, gorliwy i jednocześnie tak szlachetny, że wydawało się niepodobieństwem, znając chłopca dobrze, nie kochać go. W ciągu tygodnia stał się ulubieńcem pana Bredejorda i profesora Hochstedta, jak był już od jakiegoś czasu sympatią doktora Schwaryencrony. Jedynie Kajsa była wobec niego bezwzględna. Albo z racji tego, że miała wróżka

uznała się zagrożona w swoim niezaprzeczalnym władztwie na terenie domu, jakim cieszyła się dotychczas; albo też miała urazę do Eryka za sarkazmy, całkiem zresztą nieszkodliwe, z powodu jej minek księżniczki oczarowujących doktora. Tak czy owak Kajsa upar cie traktowała chłopca z pogardliwym chłodem mimo jego uprzedzającej grzeczności. Na szczęście sposobności do okazywania Erykowi pogardy miała niewiele, gdyż zwykle przebywał on poza domem lub zamykał się w swoim pokoiku.

Sprawy toczyły się tedy nad wyraz spokojnie i czas upływał bez specjalnych wydarzeń. Skorzystamy z tego, by wraz z czytelnikiem przebyć dwuletni odstęp czasu i wróćmy znowu razem do Norø.

Od wyjazdu Eryka nadchodziły już po raz drugi święta Bożego Narodzenia. W Europie Środkowej i Północnej to okres długo obchodzonych uroczystości, być może spowodowanych tym, iż owe święta zbiegają się z martwym sezonem prac rolnych. W Norwegii okres ten trwa bardzo długo, bo aż trzynaście dni "Tretten Yule Dage" (trzynaście dni Bożego Narodzenia) i jest okazją do wyjątkowych uciech. Zjazdy rodzinne, uroczyste kolacje, a nawet zaręczyny odbywają się w tym właśnie okresie. Jedzenia w bród, nawet w najskromniejszych domostwach. Wszędzie hasłem dnia jest serdeczna gościnność. *Yule ol*, inaczej piwo wigilijne, napełnia po brzegi kufle. Każdy gość przyjmowany jest nalaną do pełna czarką z drewna ozdobionego złotem, srebrem lub miedzią, jakie najskromniejsze nawet rodziny od niepamiętnych czasów przekazują sobie z pokolenia na pokolenie, a należy wychylić ją stojąc i wymieniając z gospodarzami życzenia radosnych świąt i pomyślnego Nowego Roku. Na koniec właśnie w święta Bożego Narodzenia cała służba otrzymuje nowe odzienie równowarte ich uposażeniu, a woły, barany oraz dzikie ptaki mają prawo do podwójnych racji jedzenia i doświadczają wyjątkowej szczodroblewości. O biednym człowieku . mawiają w Norwegii: "Jest tak biedny, że nie może nawet poczęstować wróble świątecznym obiadem",

Z owych tradycyjnych trzynastu dni Wilia jest dniem najweselszym. Starym zwyczajem chłopcy i dziewczęta zbierają się w gromadki i na *schneec-shuhe*, czyli w butach od śniegu, wędrują po wsi, zatrzymując się przed domami i śpiewając odwieczne narodowe pieśni. Ich jasne głosy rozbrzmiewające nagle w chłodzie ciemnej nocy wśród samotnych dolin okrytych zimowym płaszczem sprawiają uroczy i zarazem osobliwy efekt. Drzwi otwierają się zaraz; gospodarze zapraszają śpiewaków i śpiewaczki do wnętrza, częstują ich ciastkami, suszonymi jabłkami i jasnym piwem, czasem domagają się, by zatańczyli. Po lej skromnej wieczerzy wesoła gromadka odlatuje jak stado mew, aby wszystko rozpocząć nieco dalej. Odległości nic nie znaczą dzięki owym *schneec-shuhe*, istnym ślizgaczom z brzozy, długości dwóch do trzech metrów, przymocowanym skórzanymi paskami do butów. Na nich to norwescy chłopcy, posługując się solidnymi kijami do odpychania i przyspieszania biegu, przebywają z cudowną szybkością wielomilowe odległości.

Tego roku u Hersebomów święta miały odbyć się w pełnym składzie rodziny. Oczekiwano Eryka. List ze Sztokholmu powiadomił o jego przyjeździe właśnie w dzień Wigilii. Toteż ani Otto, ani Wanda nie mogli usiedzieć spokojnie na miejscu. Co chwilę biegli do drzwi, żeby sprawdzić, czy go nie widać. Jejmość Katrina, łajac ich za niecierpliwość, podzielała ją jednak w pełni. Tylko maaster Hersebom palił w milczeniu fajkę szarpany, jak się wydawało, dwoma uczuciami: pragnieniem ujżenia swojego adoptowanego syna i obawą, że nie zachowa go na długo.

Kto wie, czy nie po raz setny Otto wybiegł na zwiady i nagle wrócił wołając:

— Mamo, Wando, zdaje mi się, że to on!

Wszyscy skoczyli do drzwi. W dali, na drodze wiodącej do Bergen, widać było jakiś czarny punkt.

Ten punkt powiększał się szybko i wkrótce przybrał kształt młodzieńca, odzianego w ciemny

strój, z głową nakrytą futrzaną czapką i tornistrem z lakierowanej skóry na plecach. Ślizgał się on na świeżych butach i przybliżał błyskawicznie.

Wkrótce nie było żadnej wątpliwości: podróżny ujrzawszy tych, co oczekiwali go w progu, zdjął czapkę i jął nią wymachiwać nad głową.

W dwie minuty później Eryk znalazł się w ramionach jejmość Katriny, Ottona, Wandy i maaster Herseboma, który wstał z fotela i pojawił się w progu domu.

O mało nie uduszono Eryka nadmiarem uścisków, o mało nie zadławiono pieścizotami, a zachwytom na temat jego dobrego wyglądu nie było końca. Zwłaszcza jejmość Katrina dawała upust radości.

Jak to! A więc to jej drogie dziecko, które wykołysała na własnych kolanach!... Ten młodzieniec o śmiałej i otwartej twarzy, o szerokich ramionach, eleganckiej sylwetce, chłopiec, którego górna warga ocieniała się już meszkiem wąsów?... Czy to możliwe?...

Zacną kobietę przepełnił rodzaj respektu dla dawnego niemowlaka. Była z niego dumna, dumna przede wszystkim z łez szczęścia widocznych w jego ciemnych oczach. Bo on również był ogromnie wzruszony.

— Mamo, a więc to ty! — mówił. — Nareszcie znów cię widzę i trzymam w uścisku!... Jakie długie wydały mi się te dwa lata!... Czy brakowało wara mnie, jak was mi brakowało?...

— Oczywiście! — rzekł poważnie maaster Hersebom. — Nie było dnia, żebyśmy cię nie wspominali!... Wieczorem po pracy lub rano przy stole twoje imię wciąż pojawiało się na naszych ustach. Ale czy ty, chłopcze, nie zapomniałeś o nas przebywając w wielkim mieście?... Czy jesteś rad, że wróciłeś w swoje strony, do swojego starego domu?

— Chyba o tym nie wątpicie! — powiedział Eryk ściskając wszystkich czule. — Wciąż o was myślałem. Zwłaszcza kiedy wiatr dał w czasie burzy, myślałem o tobie, ojcze!... Zadawałem sobie pytania: Gdzie on jest? Czy przynajmniej wrócił? Czy schronił się w porę do domu?... A wieczorami czytywałem biuletyn meteorologiczny w gazecie doktora, aby dowiedzieć się, czy pogoda była taka sama na naszym wybrzeżu, jak i na szwedzkim. I dowiadywałem się, że wy mieliście o wiele więcej huraganowych wiatrów, nadlatujących z kontynentu amerykańskiego i rozbijających się o nasze góry!... Ach, jak pragnąłem w takich chwilach być z tobą, ojcze, w barce, pomagać ci w ustawianiu żagla, walczyć z wszelkimi trudnościami!... Kiedy było ładnie, wydawało mi się że jestem uwięziony w tym wielkim mieście, między trzypiętrowymi domami! Tak! Oddałbym wtedy wszystko, by przez godzinę znajdować się na morzu i tak jak dawniej czuć się wolnym i rozradowanym wśród podmuchów bryzy!

Uśmiech rozjaśnił ogorzałą twarz rybaka.

— Książki go nie zepsuły! — powiedział z głęboką satysfakcją. — Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku, mój chłopcze! — dorzucił. — Siadajmy do stołu! Wieczera czeka tylko na ciebie!

Usiadłszy na dawnym miejscu, po prawej ręce jejmość Katriny, Eryk mógł nareszcie rozejrzeć się wokół i przekonać, jakie zmiany zaszły w jego rodzinie przez te dwa lata. Otto był teraz roslym, dobrze zbudowanym młodzieńcem i choć miał tylko szesnaście lat, wyglądał na dwadzieścia. A co do Wandy — wyrosła również i osobiwie wyładniała. Jej śliczna twarzyczka stała się bardziej subtelna. Wspaniałe włosy popielatoblond, opadające jej na plecy ciężkimi warkoczami, tworzyły nad jej czołem srebrzysty obłoczek. Skromna i łagodna jak zawsze zajmowała się w sposób niemal niedostrzegalny każdym z biesiadników bacząc, by nic mu nie brakowało.

— Wanda stała się dużą dziewczynką — powiedziała z dumą matka. — A gdybyś wiedział Eryku, jaka jest grzeczna i jak przykłada się do nauki od czasu twojego wyjazdu! Uczy się najlepiej

ze wszystkich dzieci w szkole. Pan Malarius mówił często, że tylko ona jest zdolna go pocieszyć po stracie takiego ucznia jak ty.

— Och, nasz drogi pan Malarius, będzie bardzo szczęśliwy, gdy go znów uściskam! — zawołał Eryk. — A więc Wanda stała się aż tak wielką uczoną — zagadnął z zainteresowaniem, a panienska rumieniła się po końce włosów słysząc przesadne pochwały matki.

— Uczy się również grać na organach — dorzuciła jejmość Katrina — a pan Malarius twierdzi, że ma najładniejszy głos ze wszystkich chórzystek!

— Ależ to świetnie ułożona młoda dama — zawołał Eryk ze śmiechem, aby rozproszyć zakłopotanie siostry. — Będzie musiała popisać się swoimi uzdolnieniami koniecznie już jutro!

I w sposób naturalny skierował rozmowę na temat różnych mieszkańców Norø, wypytując o nowiny, wywiadując się o swoich kolegów, o wszystko, co wydarzyło się od chwili jego wyjazdu, o przygody rybaków, o szczegóły dotyczące życia wsi. Potem on z kolei musiał zaspokoić ciekawość całej rodziny, opowiedzieć o swoim trybie życia w Sztokholmie, opisać panią Gretę, Kajkę i dorzucić trochę wiadomości o doktorze.

— To mi przypomniało, że mam dla ciebie, ojcze, list — powiedział, wyjmując pakiecik z wewnętrznej kieszeni swojej kurtki. — Nie wiem, co on zawiera, ale doktor powiedział, żebym baczył na niego, gdyż on mnie dotyczy.

Maaster Hersebm sięgnął po zagiętą i zapieczętowaną kartę i położył ją przy sobie na stole.

— No cóż, nie przeczytasz nam tego listu? — zapytał Eryk.

— Nie — odparł lakonicznie rybak.

— Ale skoro on mnie dotyczy!... — nalegał chłopiec.

— Zaadresowany jest jednak do mnie — powiedział maaster Hersebm, podnosząc do oczu pakiecik. — Tak!... Przeczytam go w odpowiedniej porze.

Synowskie posłuszeństwo jest bazą norweskich rodzin.

Eryk pochylił głowę. Wszyscy wstali od stołu, a dzieci siadłszy na ławeczce pod piecem tak, jak to dawniej robiły, rozpoczęły jedną z owych osobistych rozmów, kiedy opowiada się to, co inni pragną wiedzieć, i kiedy powtarza się wciąż to, co się mówiło już ze sto razy.

Tymczasem jejmość Katrina kręciła się po izbie przywracając wszystkiemu porządek, chciała bowiem, aby Wanda tym razem "grała wielką damę", to znaczy, aby nie zajmowała się tego wieczora gospodarstwem.

Co do maastera Herseboma — siadł w wielkim fotelu i palił fajkę w milczeniu. Dopiero gdy skończył tę ważną czynność, postanowił otworzyć list od doktora.

Przeczytał go nie rzekłszy nawet słowa, złożył na powrót i wsunął do kieszeni, po czym napchał po raz drugi fajkę i wypalił ją w milczeniu jak pierwszą. Przez cały wieczór był zaabsorbowany własnymi myślami.

Choć nigdy nie był zbyt rozmowny, to milczenie wydawało się wszystkim dość osobliwe. Jejmość Katrina, która skończyła swoje prace, usiadła też przy kominku i ze dwa razy zagadywała do męża. Ale czując się tak, jakby została odepchnięta, wkrótce zapadła w głęboki smutek i nawet dzieci, nagadawszy się do utraty tchu, zaczęły się czuć skrępowane melancholijnymi nastrojami rodziców.

Już ze dwadzieścia razy wdzięczne dziecięce głosy rozbrzmiewały pod drzwiami i wносиły pewne urozmaicenie do tej ogarniętej smutkiem rodziny. Gromada rozradowanych uczennic i uczniów wpadła na pomysł, by powitać Eryka.

Zaproszono ich czym prędzej, ofiarowano tradycyjny poczęstunek, a oni tłocząc się wokół dawnego kolegi wyrażali radość, że go znów widzą. Eryk ogromnie wzruszony tą niespodzianą

wizytą przyjaciół z dzieciństwa, oświadczył, że będzie im towarzyszył, gdy zaczęli znów mówić o kontynuowaniu wigilijnej włości. Otto i Wanda zapragnęli również wziąć w niej udział. Jejmość Katrina poleciła im, aby się zbytnio nie oddalali i odprowadzili z powrotem brata, który zapewne potrzebował już odpoczynku.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, zacna kobieta podeszła do męża.

— No i co, czy doktor się czegoś dowiedział? — spytała z niepokojem.

Maaster Hersebm dobył z kieszeni list, otworzył go i zaczął czytać na głos, wahając się czasem przy wymawianiu niektórych słów, obcych dla niego.

*"Mój drogi Hersebmie — pisał doktor — wkrótce miną dwa lata, jak powierzyłeś mi swoje drogie dziecko i od tamtej pory każdego dnia doznawałem radości stwierdzenia u niego postępów rozmaitego rodzaju. Jego inteligencja jest żywa i lotna, a serce szlachetne. Eryk należy do wybranych natur i rodzice, którzy utracili takiego syna, mieliby prawo oplakiwać go tym bardziej, poznaawszy cały bezmiar straty. Ale to wątpliwe, że jego rodzice żyją jeszcze dziś. Jak się umówiliśmy, nie zaniedbałem niczego, by odnaleźć ich ślady. Napisałem do bardzo wielu osób w Wielkiej Brytanii, poleciłem specjalnej agencji rozpoczęcie poszukiwań, dałem ogłoszenia w dwudziestu dziennikach angielskich, irlandzkich i szkockich. Najśłabsze światło nie tylko nie rozjaśniło tajemnicy, lecz otrzymane do dnia dzisiejszego informacje raczej pogłębiły jej mrok.*

*Nazwa "Cynthia" jest istotnie bardzo pospolita w angielskiej żegludze. Biuro Lloyda podało mi około siedemnastu okrętów najrozmaitszego tonażu, noszących tę nazwę. Jedne z tych statków należą do angielskich portów, inne do portów Szkocji, a jeszcze inne — Irlandii. Moje domniemanie o narodowości chłopca jest potwierdzone w całej pełni i coraz oczywistsza wydaje mi się hipoteza, że Eryk należy do rodziny irlandzkiej. Nie pamiętam, czy wspomniałem ci, przyjacielu, o tej konkluzji, ale po powrocie do Sztokholmu podzieliłem się nią z moimi dwoma bliskimi przyjaciółmi. Wszystko na razie zmierza do jej umocnienia.*

*Bądź rodzina irlandzka całkowicie zniknęła, bądź też ukrywanie się leży w jej interesie, bo faktycznie nie dała żadnego znaku życia.*

*A teraz następna okoliczność osobliwa i jeszcze, moim zdaniem, bardziej podejrzana: ani jedno z zatonięć zarejestrowanych przez Lloyda lub kompanie ubezpieczeń morskich nie zgadza się z datą pojawienia się dziecka przy naszym wybrzeżu. To prawda, że dwie "Cynthia" uległy katastrofie w tym stuleciu, ale jedna z nich na Oceanie Indyjskim przed trzydziestu dwu laty, a druga nie opodal Portsmouth lat temu osiemnaście.*

*Musimy wyciągnąć z tego wniosek, że dziecko nie padło ofiarą zatonięcia okrętu. Z pewnością zostało rozmyślnie opuszczone na fale!... To tłumaczyłoby, dlaczego wszystkie moje ogłoszenia nie dały rezultatu.*

*Jakkolwiek by nie było, wypytawszy wszystkich armatorów lub właścicieli okrętów noszących miano "Cynthia", wyczerpawszy wszystkie możliwości poszukiwania, sądzę, że mogę wyrazić pogląd, iż nie istnieje już żadna szansa odnalezienia rodziny Eryka.*

*Musimy teraz, zwłaszcza pan, mój drogi Hersebm, zadać sobie pytanie, co możemy zrobić dla chłopca i co mu powiedzieć.*

*Gdybym był na twoim miejscu, oświadczam to panu z całą szczerością, powiadomiłbym go od razu o wszystkim, co go dotyczy i pozwoliłbym mu podjąć decyzję. Pamięta pan, że postanowiliśmy obrać taką linię postępowania, jeśli moje poszukiwanie okaże się bezowocne. Nadszedł moment dotrzymania słowa. Pragnę powierzyć panu trud opowiedzenia Erykowi tego, co go dotyczy. Wrócił do Norø nie wiedząc, że nie jest pańskim synem i nie wie również, czy wróci do Sztokholmu, czy też pozostanie przy was. To pan musi zabrać głos.*

*Pomyśl pan o tym, że jeżeli nie wykonasz tego obowiązku, Eryk może się zdziwić tym pewnego dnia. Musi pan też pamiętać, że chłopiec ma zadziwiającą inteligencję i nie sposób skazać go nieodwołalnie na szare i pozbawione dopływu szerszych myśli życie. Taki wyrok byłby już przed dwoma laty niezasłużony; a dziś, kiedy odniósł lak świetne sukcesy w Sztokholmie, byłby całkiem nie usprawiędliwiony.*

*Ponownie tedy składam moją propozycję. Ułatwię mu ukończenie studiów i dołożę starań, aby osiągnął w Uppsali stopień doktora medycyny; w dalszym ciągu będzie wychowywany jak mój syn i będzie mógł kroczyć szeroką drogą, która zaprowadzi go do zaszczytów i fortuny.*

*Wiem, że zwracając się do pana i najlepszej przybranej matki, pozostawiam jego los w dobrych rękach. Żadne osobiste względy, jestem tego pewien, nie powstrzymają was od przyjęcia mojej propozycji. Poradźcie się Malariusza. Czekać na pańską odpowiedź, mój drogi Hersebm, ściskam pańską dłoń i proszę o przekazanie pańskiej żonie i dzieciom wyrazów mojej żywej i serdecznej pamięci.*

*R. W. Schwaryencrona, M.D."*

Gdy Hersebm skończył czytać, jejmość; Katrina, która słuchała listu płacząc, zapytała męża, co zamierza uczynić.

— To całkiem oczywiste — wyznać chłopcu wszystko — rzekł.

— I ja tak myślę; należy z tym skończyć, gdyż nie będziemy mieli ani chwili spokoju! — szepnęła ocierając oczy.

I oboje umilkli.

Minęła już północ, kiedy dzieci wróciły ze swojej wyprawy. Z policzkami pałającymi od ostrych powiewów na szerokiej przestrzeni, oczami lśniącymi radością, zajęły znów miejsca przy ogniu i szykowały się do zakończenia wesołego wieczoru wigilijnego, chrupiąc ciasteczka w blasku ogromnego, polana, które zamieniało się w płonącą żagiew.



# ROZDZIAŁ VI

## POSTANOWIENIE ERYKA

Nazajutrz rybak wezwał Eryka i w obecności jejmość Katriny, Wandy i Ottona powiedział do niego:

— Eryku, list doktora Schwaryencrony dotyczy rzeczywiście ciebie Doktor potwierdza, że zadowoliliś wszystkich nauczycieli i proponuje, że pokryje koszty twojej dalszej nauki, jeśli będziesz ją kontynuował. Ale domaga się w swoim liście, żebyś ty sam zdecydował, poznawszy całą sprawę, czy odmienisz definitywnie warunki swojego życia, czy też pozostaniesz z nami w Norø, co byłoby dla nas przyjemniejsze, o czym chyba nie wątpisz!... I w związku z tym muszę powierzyć ci pewną tajemnicę, wielką tajemnicę, którą twoja matka i ja wolelibyśmy zachować dla siebie!

W tej chwili jejmość Katrina, niezdolna nadal powstrzymywać łez, wybuchła łkaniem, chwyciła rękę Eryka i przycisnęła ją do serca, protestując jakby przeciw temu, co młodzieniec miał zaraz usłyszeć.

— Owa tajemnica — ciągnął Hersebm głosem, któremu wzruszenie nadawało ton coraz silniejszego wzburzenia — to fakt, że jesteś tylko naszym adoptowanym synem!... Znalazłem cię na morzu, mój drogi chłopcze, kiedy miałeś osiem, a może dziewięć miesięcy, i przygarnąłem cię do nas. Bóg mi świadkiem, że nie zamierzałem ci tego nigdy wyznać i że zarówno twoja matka, jak i ja nie robiliśmy nigdy najmniejszej różnicy między tobą a Ottonem i Wandą!... Ale doktor Schwaryencrona domaga się tego!.. Zapoznaj się więc z tym, co mi pisze!

Twarz Eryka pokryła się nagle śmiertelną bladością. Otton i Wanda wstrząśnięci tym, co usłyszeli, wydali okrzyki zdumienia. I niemal natychmiast uczynili to samo, co ich matka. Objąwszy rękami za szyję tulili Eryka do siebie ciasno, jedno z lewej, drugie z prawej strony, po czym Eryk sięgnął po list, i nie starając się ukryć wzruszenia, jakim ta lektura go napawała, przeczytał pismo do końca.

Wtedy maaster Hersebm powtórzył szczegółowo opowieść, jaką przedstawił doktorowi. Wyjaśnił, jak pan Schwaryencrona wbił sobie do głowy obowiązek odszukania rodziny Eryka i jak to się stało, że w rezultacie on, Hersebm, nie tak najgorzej myślał, nie troszcząc się wcale o wyjaśnienie tego nierozwiązanego problemu. Następnie jejmość Katrina wstała, podbiegła do dębowego kufra, dobytego stamtąd ubranko, jakie miało na sobie dziecko, pokazała cacko zawieszane na jego szyjce. Naturalną siłą rzeczy opowieść nabrała dla trojga dzieci akcentów dramatycznych, co usunęło z niej całą gorycz. Oczarowane oglądały koronki i aksamity, złote cacko i dewizę wyrytą na nim, prawie tak jakby asystowały przy urzeczywistnianiu się jakiejś czarodziejskiej bajki. Niepodobieństwo uzyskania za pomocą tych drobiazgów jakiegokolwiek praktycznego rezultatu, co skonstatował doktor, czyniła je dla nich jakby świętymi.

Eryk patrzył na nie jak we śnie, a jego myśl ulatywała ku tej nieznannej matce, która sama odziała go na pewno w to ubranko i niejedną raz potrzasała grzechotką przed oczyma dziecka, chcąc sprowadzić na jego usta uśmiech. Gdy dotykał tych przedmiotów, wydawało mu się, że jest z nią w bezpośrednim kontakcie poprzez przestrzeń i czas!... A jednak gdzie jest owa matka?... Żyje jeszcze, czy też zginęła? Opłakuje swojego syna, czy to on musi uznać ją za straconą na zawsze?...

Kiedy od paru minut siedział tak z głową opuszczoną na piersi pochłonięty swoimi myślami, głos jejmość Katriny sprawił, że ją podniósł.

— Eryku, zawsze pozostaniesz naszym synem!... — zawołała zaniepokojona owym milczeniem.

Oczy młodzieńca obejmujące spojrzeniem otoczenie, napotkały drogie, kochające twarze, macierzyńskie oblicze zacnej kobiety, otwarte maaster. Herseboma, bardziej przyjazne niż zazwyczaj Ottona i Wandy poważne, zasmucone. Odczytując w nich miłość i niepokój Eryk odczuł, że, jak mawiają, serce w nim topnieje. Powrócił nagle do strony uczuciowej jego obecnej sytuacji, powtórnie ujrzał scenę, którą ojciec mu opowiedział — kołyskę zdaną na łaskę fal, znaną przez prostego rybaka i zwyczajnie zanieśioną żonie, tych ludzi jakże skromnych i biednych, nie wahających się, czy przyjąć obce dziecko, adoptujących je, pieszczących na równi z własnymi, nie wymawiających na ten temat ani słowa przez czternaście lat — i teraz przywierających wzrokiem do jego ust, jakby mieli usłyszeć wyrok życia lub śmierci.

To wszystko poruszyło nim tak głęboko, że nagle z oczu popłynęły mu łzy. Nieodparte uczucie wdzięczności i miłości przeniknęło całą jego istotę. Zawładnęło nim pragnienie, aby poświęcić się dla nich, zwrócić tym zacnym ludziom odrobinę ślepej czułości, którą go obdarzali; odmówić porzucenia ich, wiążąc się w ten sposób z Nora na zawsze i zadowolając się ich skromnymi warunkami bytowania!

— Mamo — powiedział rzucając się w ramiona Katriny — czyż sądzisz, że mógłbym wahać się teraz, kiedy wiem wszystko?... Napiszemy do doktora, podziękujemy mu za jego dobroć i powiemy, że zostaję tutaj!... Będę rybakiem tak jak i wy, o mój ojciec i ty Ottonie!... Skoro zrobiliście mi miejsce przy swoim ognisku domowym; proszę teraz, żebyście pozwolili mi je zachować!... Skoro wykarmiliście mnie dzięki pracy waszych rąk, domagam się tego, bym mógł zwrócić wam na stare lata to wszystko, co daliście mi, gdy byłem dzieckiem.

— Bogu niech będą dzięki! — zawołała jejmość Katrina tuląc Eryka do serca w przyplwywie czułości i rozradowania.

— Wiedziałem, że chłopiec będzie wolał morze od wszystkich swoich książek! — rzekł z prostotą maaster Hersebm nie zdając sobie sprawy z rozmiarów poświęcenia, jakiego wymagała decyzja, którą podjął Eryk. — No proszę... sprawa jest załatwiona!... Nie mówmy już więcej o tym wszystkim i starajmy się spędzić wesoło święta Bożego Narodzenia!

Wszyscy uścisnęli się i z oczami wilgotnymi od łez szczęścia przyrzekli sobie, że już nigdy się nie rozstaną.

Kiedy Eryk został sam, choć nie zdołał stłumić westchnienia na myśl o swoich marzeniach o pracy i sukcesach, z czego musiał teraz zrezygnować, to przynajmniej odnalazł w tym poświęceniu cierpką radość, w której zasmakował.

Skoro taka jest wola moich przybranych rodziców — myślał — co mnie może obchodzić cała reszta? Muszę z niej zrezygnować i pracować dla nich w tej dziedzinie, w jakiej ich poświęcenie i los mnie uplasowały!... Jeśli niekiedy śnił mi się wspanialszy los i fortuna, czy nie chciałem, aby były one ich udziałem? Skoro jednak są radzi ze swojej sytuacji i niczego więcej nie pragną, muszę się tym zadowolić i swoim przykładnym zachowaniem i pracą przyczynić się do ich zadowolenia! Żegnajcie zatem książki i niech żyje morze!

Idąc tym tokiem myśli dotarł do tego, czego się ostatnio dowiedział. Jął rozważać, skąd właściwie przybył, kiedy Hersebm znalazł go jako małe dziecko unoszone na grzywach fal; jaka jest jego ojczyzna i kim byli jego rodzice!... Czy żyli jeszcze?... Czy w jakimś odległym zakątku ma może siostry lub braci, których nigdy nie pozna?

Tak samo w Sztokholmie, u doktora Schwaryencrony, Boże Narodzenie stało się okazją do świętowania aż do nadzwyczaj późnej pory. Pamiętamy z pewnością, że na jeden z tych dni została wyznaczona data rozstrzygnięcia zakładu między panem Bredejordem i jego wybitnym przyjacielem, a sędzią w owym sporze miał być profesor Hochstedt.

W ciągu ostatnich dwóch lat ani jedno słowo nie padło z żadnej z owych zwaśnionych stron na temat przedmiotu zakładu. Doktor cierpliwie dokonywał swoich poszukiwań w Wielkiej Brytanii, pisywał do agencji morskich, wznawiał ogłoszenia w dziennikach, ale strzegł się wyjawienia, że jego trudy pozostają właściwie daremne. Natomiast pan Bredejord unikał z rezerwą w najlepszym guście sprowadzania rozmowy na ten temat i zadowalał się, gdy okazja nadarzyła się po temu, dyskretną aluzją: wychwalał urodę tomu Pliniusza wydanego u Aldo Manuce'a, tomu, który olśniewał go stojąc w bibliotece doktora.

Wystarczało zaobserwować szyderczy sposób, w jaki stukał koniuszkami palców w tabakierkę, by odgadnąć jego myśli. Oto Pliniusz, który wyglądałby nie najgorzej między moim Kwintylianiem w pierwszym wydaniu weneckim i moim Horacym o sze rokich marginesach, wydrukowanym u braci Elzewir na chińskim papierze.

Bądź co bądź doktor w taki właśnie sposób interpretował zazwyczaj ową pantomimę, która w sposób osobliwy działała mu na nerwy. Toteż tego wieczoru okazał się szczególnie bezlitosny przy wiście i niczego nie przebaczał swojemu nieszczęsnemu partnerowi.

A tymczasem godziny mijały i nadeszła wreszcie pora, by poddać znaną nam kwestię bezstronnemu osądowi profesora Hochstedta.

Doktor Schwaryencrona zrobił to z całkowitą szczerością. Zaledwie Kajsa zostawiła go samego z dwoma przyjaciółmi, wyznał im, tak samo jak wyznał listownie Hersebomowi, że jego poszukiwania spełzły na niczym. Nic nie rozjaśniło tajemnicy, która spowiła pochodzenie Eryka, i doktor z całą otwartością musiał przyznać, że owa tajemnica, jak się wydaje, nie może być rozwikłana.

— Jednakże — mówił — byłbym niesprawiedliwy wobec siebie, gdybym nie oświadczył z taką samą szczerością, iż, moim zdaniem, bynajmniej nie przegrałem zakładu. Nie odnalazłem rodziny Eryka, to prawda; ale wskazówki, jakie zebrałem, potwierdzają raczej moje domniemania, aniżeli im przeczą. "Cynthia" jest lub była na pewno okrętem angielskim, gdyż przynajmniej siedemnaście o takim mianie jest zarejestrowanych u Lloyda. A jeśli idzie o cechy etnograficzne Eryka, są one nadal nie mniej celtyckie, niż były w przeszłości. Moja hipoteza dotycząca pochodzenia Eryka, mogę to oświadczyć, wyszła zwycięsko z tej próby. Bardziej niż kiedykolwiek jest dla mnie obecnie pewne, że chłopiec jest Irlandczykiem, tak zresztą jak to przeczuwałem. Nie mogę oczywiście zmusić rodziny, żeby się pojawiła, jeśli ma powody, żeby tego nie zrobić, albo jeśli zginęła... To wszystko, mój drogi Hochstedcie, co miałem do powiedzenia. To ty musisz się teraz wypowiedzieć, czy Kwintylianie naszego przyjaciela Bredejorda nie powinien być słusznie przeniesiony do mojej biblioteki.

Na te słowa, które wywołały przemożną ochotę do śmiechu u adwokata, nasz mecenas odchylił się do tyłu w fotelu poruszając jakby w geście protestu lekko ręką; po czym wlepił swoje małe, świecące oczka w profesora Hochstedta, ciekaw, jak ów uczonec wywiąże się z trudnego zadania.

Profesor Hochstedt nie okazał takiego zakłopotania, jakiego można było się spodziewać. Byłby oczywiście skrępowany, gdyby jakiś niezbity argument padł ze strony doktora i postawił go wobec smutnej konieczności opowiedzenia się za jedną ze zwaśnionych stron. Jego ostrożność skłaniała go zawsze i we wszystkim do niezdecydowanych sądów. Celował w przedstawianiu dwóch stron zagadnienia i pływał w niejasnościach jak ryba w wodzie. Toteż i tego wieczora stanął na wysokości zadania.

— Niezaprzeczalnie — powiedział kiwając głową — że w owej liczbie siedemnastu okrętów noszących miano "Cynthia" kryje się bardzo poważna wskazówka, przemawiająca, za twierdzeniem, które wypowiedział nasz znakomity przyjaciel. Owa wskazówka zestawiona z cechami etnograficznymi podmiotu z pewnością wiele znaczy i nie waham się powiedzieć, że wydaje się ona prawie decydująca. Muszę nawet wyznać, że gdybym miał wyrazić moją osobistą opinię na temat

narodowości Eryka, Owa opinia byłaby następująca: prawdopodobieństwo przemawia na korzyść narodowości irlandzkiej... Ale inną rzeczą jest prawdopodobieństwo, a inną pewność i śmiem powiedzieć, że chcąc rozstrzygnąć zakład musimy mieć pewność. Prawdopodobieństwo przemawiające za opinią doktora może być nawet bardzo wielkie, ale Bredejord może stwierdzić, że nie ma na to istotnego dowodu. Nie widzę więc wystarczającego powodu, by orzec, iż doktor wygrał Kwintyliana, tak jak go nie widzę, by osądzić, że Pliniusz został stracony!... Z mojego punktu widzenia zagadnienie nie zostało rozstrzygnięte, a więc i zakład powinien być anulowany i chyba byłoby to najszcześniejszym w tym wypadku rozwiązaniem.

Jak wszystkie wyroki ustawiające zwaśnionych plecami do siebie, decyzja profesora Hochsteda nie mogła zadowolić żadnej ze stron.

Doktor wydał wargi dość znacząco. Natomiast pan Bredejord skoczył na równe nogi i zakrzyknął: — Pięknie, pięknie, mój drogi profesorze ale niech pan zważy, że skoro Schwaryencrona, powiadasz pan, nie udowodnił dostatecznie istnienia pewnego faktu, który wydaje się panu prawdopodobny, cóż byś powiedział, gdybym w tej chwili udowodnił wam, że "Cynthia" nie była bynajmniej okrętem angielskim?

— Cóż bym na to powiedział? — odparł profesor nieco zmieszany tym nagłym atakiem. — Na honor, nie mam pojęcia!... Zastanowiłbym się, zbadał sprawę pod rozmaitymi kątami widzenia...

— A więc badaj sobie tę sprawę, ile zechcesz! — zakrzyknął adwokat wkładając prawą rękę do wewnętrznej kieszeni redingota, by wyjąć z niej portfel, skąd dobył list w jasnożółtej kopercie, zdradzającej już na pierwszy rzut oka pochodzenie amerykańskie. — Oto dokument, któremu nie będziesz mógł pan zaprzeczyć — dodał podtykając przed oczy doktorowi ów list, który został głośno odczytany:

Do Pana

Mecenasa Bredejorda, w Sztokholmie

Nowy Jork, 27 października.

*Szanowny Panie,*

*W odpowiedzi na pańskie pismo z dnia 5 bieżącego miesiąca, spieszę poinformować pana o następujących faktach:*

*1. Okręt zwany "Cynthią", pod dowództwem kapitana Bartona, własność Genetalnej Kompanii Transportu Morskiego w Kanadzie, zatonął wraz z osobami i rzeczami akurat czternaście lat temu na wysokości Wysp Owczych.*

*2. Ów okręt był ubezpieczony w General Steam Nawigation Insurance Company w Nowym Jorku na sumę trzech milionów ośmiuset dolarów.*

*3. Zniknięcie "Cynihii" pozostało nie wytłumaczone, a przyczyny katastrofy nie wydały się dość jasne Towarzystwu Asekuracyjnemu, wobec czego przeprowadzono proces, który przegrali właściciele okrętu.*

*4. Przegranie owego procesu pociągnęło za sobą rozwiązanie Kanadyjskiego Towarzystwa Transportowego, które nie istnieje już od jedenastu lat wskutek likwidacji.*

*Oczekując dalszych poleceń przekazujemy panu wyrazy naszego szczerego szacunku.*

*Jeremiasz Smith, Walker i Spół. Agencja Morska*

— No i cóż pan powiesz o tej sztuce? — spytał pan Bredejord, kiedy doktor ukończył lekturę. — Ten dokument ma swoją wagę, musi pan przyznać.

— Przyznaję, oczywiście — zgodził się doktor. — Ale skąd u diabła pan to wytrzasnąłeś?

— W sposób najzwyczajniejszy w świecie. Tego dnia, kiedy powiedziałeś mi pan, że "Cynthia" na

pewno była statkiem angielskim, pomyślałem, że zanadto pan zawężasz pole swoich poszukiwań i że mógł to być również okręt amerykański. Widząc, że czas mija, a pan do niczego jeszcze nie doszedłeś, bo poinformowałeś mnie o tym, postanowiłem napisać do Nowego Jorku. Trzeci mój list dał taki właśnie rezultat. To wcale nie było skomplikowane! Czy nie sądzisz pan, że list ów zapewnia mi niezaprzeczalnie posiadanie pańskiego Pliniusza?

— Pańska konkluzja nie wydaje mi się lak oczywista! — mruknął doktor w milczeniu czytając ponownie list, zupełnie jak gdyby poszukiwał w nim jakichś argumentów wspierających jego tezę.

— Jak to nie jest oczywista? — zakrzyknął adwokat. — Dowiodłem panu, że był to statek amerykański i że zatonął na wysokości Wysp Owczych, to znaczy w pobliżu norweskich wybrzeży dokładnie w tym czasie, kiedy znaleziono dziecko — i jeszcze nie jesteś pan przekonany o swoim błędzie?

— Ani trochę! Zauważ, drogi przyjacielu, że nie podważam bynajmniej ogromnej wartości tego dokumentu. Znalazłeś to, czego ja nie potrafiłem: prawdziwą "Cynthię", która zniknęła u wybrzeży norweskich w określonym czasie!... Ale pozwól zwrócić ci, mój drogi, uwagę na to, że to odkrycie potwierdza właśnie moją teorię. Skoro okręt był kanadyjski, to znaczy angielski, a ludności irlandzkiej było w Kanadzie niemało, tym bardziej mam rację, że chłopiec pochodzi z rodziny irlandzkiej!

— A więc to właśnie wyczytałeś, przyjacielu, w moim liście! — zakrzyknął pan Bredejord bardziej urażony, niż chciał to okazać. — I z pewnością upierasz się nadal, że nie straciłeś pan swojego Pliniusza?

— Z całą pewnością.

— A może masz niejakię prawo do mojego Kwintyliana?

— Mam przynajmniej nadzieję, że potwierdzą moje prawa do niego właśnie dzięki pańskiemu odkryciu, o ile tylko dasz mi trochę czasu i przesuniesz datę wygaśnięcia zakładu!

— Zgoda! Niech tak będzie. Ile czasu pan potrzebujesz?

— Załóżmy, że dwa lata i rozstrzygnięcie zakładu ustalmy na drugie Boże Narodzenie licząc od obecnego!

— Przystaję na to! — odparł pan Bredejord. — Ale zapewniam cię, mój drogi doktorze, że lepiej zrobisz odsyłając mi już teraz mojego Pliniusza!

— O nie, na honor! Będzie bardzo pięknie wyglądał w mojej bibliotece ustawiony obok twojego Kwintyliana.

# ROZDZIAŁ VII

## OPINIA WANDY

Na początku Eryk, oddając się obowiązkom, jakie narzucały Wymogi jego poświęcenia, skoczył bez opamiętania w wir życia rybaka, starając się z całą dobrą wolą zapomnieć o tym, że znał już innego Wstawał zawsze pierwszy, pierwszy również przygotowywał barkę przybranego ojca, zabiegał o wszystko tak, by maaster Hersebom mógł od razu sięść za sterami i wyruszyć. Jeśli wiatru nie było, chwycił ciężkie wiosła, wiosłował zapamiętale, zdawał się szukać najbardziej wyczerpujących i męczących zajęć. Nic go nie zniechęcało, nawet długie pobyty w beczce o podwójnym dnie, gdzie trzeba czekać, aż ryba chwyci przynętę, ani inne zabiegi towarzyszące jej pojmaniu i sprawieniu przed soleniem a więc odcięcie języka, najlepszego kęsa. potem głowy i filetowanie ryby. Eryk wykonywał każdą pracę nie tylko sumiennie, ale i z rodzajem pasji. Zdziwił łagodnego Ottona swoim staraniem o najdrobniejsze szczegóły związane z ich zawodem.

— Jak tyś musiał cierpieć w mieście! — mawiał do Eryka z całą naiwnością ten poczciwy chłopak. — Wydaje się, że znajdujesz się w swoim żywiole dopiero wówczas, kiedy z fiordu wypływamy na pełne morze!

Prawie zawsze, kiedy rozmowa zaczynała się w ten sposób, Eryk milkł zawzięcie. Ale niekiedy sam rozpoczynał pogawędkę na ten temat, starając się przekonać Ottona, albo inaczej — przekonać samego siebie, że nie istnieje tryb życia wspanialszy od tego, jaki wiedli.

— I jak tak myślę — powiadał drugi chłopiec ze swoim spokojnym uśmiechem.

A biedny Eryk odwracał się, aby stłumić westchnienie.

Bo naprawdę cierpiał straszliwie z racji porzucenia dalszej nauki oraz z powodu skazania się wyłącznie na pracę rąk. Kiedy nasuwały mu się takie myśli, spręzał się cały i stawał im naprzeciw, by tak rzec, twarzą w twarz. Ale mimo to czuł, że wzbiera w nim gorycz i głęboki żal. Za nic w świecie nie przyznałby się nikomu do owego zniechęcenia. Krył je w sobie i cierpiał tym mocniej. Katastrofa, która wydarzyła się na początku wiosny, wzmogła i jakby zaostrzyła jego troski.

Tego dnia było mnóstwo pracy w baraku, gdzie należało ułożyć w stosy solone dorsze. Maaster Hersebom powierzył Erykowi i Ottonowi tę pracę, a sam wypłynął na łowisko. Było pochmurno i duszno: dziwna pogoda na tę porę roku. Dwaj młodzieńcy pracując zaciekle, nie mogli się nadziwić, że ten trud wydaje im się wyjątkowo ciężki. Rzekłbyś, wszystko wokół nich ciążyło bardziej niż kiedykolwiek, powietrze zresztą również.

— To dziwne, czuję szum w uszach, jakbym znajdował się w balonie na wysokości czterech lub pięciu tysięcy metrów — ozwał się Eryk.

I niemal natychmiast krew zaczęła mu płynąć z nosa. Otton odczuwał podobne symptomy, choć nie umiał ich tak dokładnie określić.

— Myślę, że barometr spadł bardzo nisko! — mówił dalej Eryk. — Gdybym miał czas, pobiegłbym do pana Malariusza, żeby spojrzeć na ten przyrząd.

— Idź, przecież zdązysz — odparł Otton. — Już prawie wszystko skończone, i jeśli nawet trochę dłużej zabawisz, sam ułożę resztę.

— No dobrze, to biegnę — odparł Eryk. — Nie mam pojęcia, dlaczego ta atmosfera mnie tak niepokoi!... Wolałbym, żeby ojciec był już w domu.

Biegając do szkoły spotkał po drodze pana Malariusza.

— O, jesteś, Eryku! — ucieszył się nauczyciel. — Nie wypłynąłeś na morze!... Miałem właśnie

iść zapytać! Barometr spadł tak nisko w ciągu ostatniej pół godziny!... Nigdy jeszcze czegoś takiego nią widziałem. Ustawiony jest teraz na 718 milimetrach. Pogoda na pewno zmieni się gwałtownie.

Pan Malarius jeszcze nie wymówił do końca tych słów, kiedy rozległ się odległy grzmot i rodzaj posępnego świstu rozdarł powietrze. Niebo przysłonięte od zachodu atramentową plamą zanosło się całe z błyskawiczną szybkością, po czym niespodzianie, po chwili zupełnej ciszy, liście, żdzbla słomy, piasek i żwir zostały rozmięcione po ziemi nagłym porywem wiatru. Nadciągał huragan.

Był niesłychanie gwałtowny. Kominy, okiennice, w wielu miejscach całe dachy pofrunęły jak piórka. Domy się zapadały. Wszystkie bez wyjątku szopy zostały uniesione w powietrze i roztrzaskane. Na fiordzie zwykle tak spokojnym jak studnia, podczas najsroźszej nawet burzy na otwartym morzu, tworzyły się ogromne fale i rozbijały o brzeg z ogłuszającym łoskotem.

Cyklon szalał przez całą godzinę, po czym, zatrzymany przez wysokie szczyty Norwegii, odchylił się ku południowi Europy, by tam siać zniszczenie. W meteorologicznych annałach figuruje jako jeden z najdziwniejszych i najbardziej niszczycielskich wśród tych, które kiedykolwiek nawiedziły Atlantyk. Te wielkie przemieszczenia atmosferyczne są dziś zapowiadane, a nawet wyprzedzane dzięki telegrafowi. Większość portów europejskich uprzedzonych depeszami zdołała na szczęście zapowiedzieć nawałnicę okrętom wychodzącym w morze lub źle zakotwiczonym. Zniszczenia były zatem mniejsze. Ale na nie uczęszczanych częściach wybrzeża, w wioskach rybackich i na otwartych wodach liczba zatoneń uszła wszelkim obliczeniom. Tylko Veritas we Francji i Lloyd zarejestrowały przynajmniej siedemset trzydzieści katastrof.

Pierwsza myśl całej rodziny Herseboomów poszybowała tego tragicznego dnia, jak myśli tysięcy rybackich domów, ku tym, którzy byli na morzu. Maaster Herseboom wypływał zazwyczaj na zachodnie wybrzeże sporej wyspy, położonej mniej więcej w odległości dwóch mil od wejścia do fiordu — tej samej, w pobliżu której znalazł Eryka. Można było mieć nadzieję, biorąc pod uwagę porę, kiedy burza się rozszalała, że zdążył się schronić, choćby osadzając barkę na płaskim, piaszczystym brzegu. Ale niepokój nie pozwolił Erykowi i Ottonowi czekać do wieczora, by sprawdzić, czy ich przypuszczenie było słuszne.

Zaledwie fiord po przejściu huraganu odzyskał swój spokojny jak zwykle wygląd, pożyczili łódź od sąsiada, żeby udać się na rekonesans. Pan Malarius nalegał, by towarzyszyć młodzieńcom w tej wyprawie. Wypłynęli tedy we trzech, odprowadzani zatroskanymi spojrzzeniami jejmość Katriny i jej córki.

Wiatr niemal zupełnie nie omiatał już fiordu, ale ciągnął od zachodu i chcąc dotrzeć do wąskiego wejścia do portu, należało posługiwać się wiosłami. Zabrało im to przeszło godzinę.

Kiedy tam przybyli, natknęli się na nieoczekiwaną przeszkodę. Burza nadal szalała nad oceanem i fale, które rozbijały się o brzegi wysepki, zamykającej fiord Nora, tworzyły dwa prądy, łączące się za wysepką i spływające gwałtownie w przesmyk, jak w lejek. Nie sposób było przebyć owego gardła w tych warunkach; okręt parowy z trudem by się precisnął a co mówić o wątej barce, popychanej wiosłami, przy stojącym wietrze.

Trzeba było wrócić do Norø i czekać.

Nadeszła pora powrotu z łowów, ale maaster Herseboom się nie pojawił. Nie powrócili również inni rybacy, którzy wypłynęli tego dnia. Można było się jeszcze łudzić, że jakaś wspólna przeszkoda nie pozwoliła im powrócić do fiordu, a nie osobista klęska. Wieczór upływał wszystkim w ogólnym smutku, tam gdzie kogoś brakowało przy domowym ognisku. I w miarę, jak upływał czas, a rybacy nie powracali, niepokój rósł. U Herseboomów nikt się nie położył. Cała rodzina spędzała długie godziny bolesnego oczekiwania, siedząc w milczeniu wokół ognia.

Na tej szerokości geograficznej świt późno rozbłyska w marcu. Ale przynajmniej pojawił się

jasny i lśniący. Wiatr od lądu dął w kierunku pełnego morza; zaświtała nadzieja, że uda się przebyć wąski przesmyk. Inna flotylla barek, utworzona przez tych, co pozostali w Nora, szykowała się do wypłynięcia na poszukiwania, gdy nagle zasygnalizowano zbliżanie się od wejścia do fiordu wielu barek, które wkrótce pojawiły się nie opodal wsi.

Były to te, które wyszły w morze poprzedniego dnia, przed cyklonem, wszystkie, z wyjątkiem łodzi Herseboma.

Nikt nie umiał nic o nim powiedzieć. Fakt, że nie wrócił wraz z innymi, czynił ów wyjątek bardziej niepokojącym, gdyż wszystkim rybakom groziło wielkie niebezpieczeństwo. Jednych zaskoczył cyklon i rzucił na brzeg, na którym ich łodzie osiadły. Inne zdołały na czas schronić się w małej zatoczce osłoniętej od nawałnicy. Tylko niewielu rybaków znajdowało się na lądzie w krytycznym momencie.

Postanowiono, że flotylla przygotowana do wyruszenia w morze popłynie na poszukiwanie zaginionego. Pan Malarius znowu zapragnął wziąć udział w wyprawie, towarzysząc Erykowi i Ottonowi. Wielki żółty pies, który dawał wyraz niezwykłemu podnieceniu, także został zabrany na morze. Był to Klaas, grenlandzki owczarek, którego maaster Hersebom przywiózł kiedyś z wyprawy na Przylądek Farvela.

Wypłynąwszy z przesmyku łodzie się rozproszyły, jedna skierowała się na lewo, inne w prawo, by zbadać wybrzeża niezliczonych wysepek, rozsianych nie opodal fiordu Norø, jak i wzdłuż całego wybrzeża Norwegii.

Kiedy stawili się około dwunastej godziny, jak to było ustalone, na południowym krańcu przesmyka, okazało się, że nikt nie natrafił na ślady Herseboma. Ponieważ, poszukiwania były prowadzone nad wyraz sprawnie, wszyscy zdecydowali, że nie pozostaje, niestety, nic innego, jak wrócić.

Ale Eryk nie chciał uznać się za pokonanego ani zrezygnować z wszelkiej nadziei. Oświadczył, że zbadawszy wyspy leżące na południe od fiordu, chce teraz zbadać północne. Pan Malarius i Otto poparli jego zamiary. Wobec tego zrobiono, tak, jak chciał. Powierzono mu małą jolkę, łatwą do kierowania, aby przystąpili do ostatnich poszukiwań; po czym rybacy rozstali się z nimi.

Ten upór miał zostać nagrodzony. Około drugiej, kiedy łódeczka opływała małą wysepkę blisko lądu, Klaas zaczął wściekle ujadać, po czym, nim zdołano go powstrzymać, skoczył do wody i popłynął ku przybrzeżnej rafie.

Eryk i Otton wiosłowali ile sił w tym samym kierunku. Wkrótce zobaczyli psa na brzegu wyspy skaczącego i wyjącego wokół czegoś, co przypominało ludzkie ciało, rozpostarte na szarej skale.

Oni z kolei przybili do brzegu.

Leżał tam mężczyzna — i tym mężczyzną był Hersebom!... Cały okrwawiony, blady i zimny, bez życia — może nawet martwy. Klaas skomląc lizał mu ręce. Wiedziony pierwszym odruchem Eryk padł na kolana obok tego zlodowaciałego ciała i przyłożył ucho na wysokości serca rybaka.

— Żyje!... Usłyszałem bicie!... — zawołał.

Pan Malarius ujął ręką Herseboma i szukał pulsu, po czym pokręcił ze smutkiem głową; ale nie chciał zaniechać wszelkich środków, jakie są zalecane w podobnych wypadkach. Odwinąwszy szeroki, wełniany pas, którym owijał sobie nerki, przedarł go na trzy części, po jednym kawałku dał swoim młodym przyjaciółom i zaczął nacierać energicznie, a chłopcy wraz z nim, ręce, pierś i nogi rybaka.

Okazało się niebawem, że ten prosty środek daje dobry rezultat, przywracając krążenie krwi. Bicie serca wzmocniło się, pierś się unosiła i słaby oddech rozwierał usta rozbitka... Na koniec maaster Hersebom ocknął się z omdlenia i obecni usłyszeli jego cichy jęk.



Pan Malarius i obaj młodzieńcy podnieśli go z ziemi i skierowali się do łodzi. Ułożyli go na dnio na posłaniu zrobionym z żagli; wtedy Herseboom otworzył oczy.

— Pić! — powiedział słabym głosem.

Eryk przysunął mu do ust butelkę brandy. Herseboom przełknął łyk trunku i zdało się, iż rozumie, co się z nim dzieje — o tyle, o ile można się było domyślić po jego pełnym wdzięczności i bardzo serdecznym spojrzeniu. Ale zmęczenie wzięło natychmiast nad nim górę i zapadł w sen, który przypominał letargiczne uśpienie.

Sądząc nie bez racji, że nie mogą zrobić nic lepszego, aniżeli wrócić jak najszybciej, chwycili za wiosła i popłynęli chyżo ku przesmykowi. Wkrótce tam się znaleźli, a sprzyjająca bryza sprawiła, że po krótkim czasie stanęli w Norø.

Maaster Herseboom został przeniesiony do łóżka, gdzie obłożono go kompresami z arniki, napojono filiżanką bulionu i szklaneczką piwa, co doprowadziło go ostatecznie do przytomności. Nie doznał żadnych poważniejszych obrażeń prócz złamania przedramienia, drobnych kontuzji i nacięć na całym ciele. Nie mniej pan Malarius zażądał, aby ranny pozostał w zupełnym spokoju i nie męczył się mówieniem. Zasnął tedy spokojnie.

Dopiero nazajutrz pozwolono mu otworzyć usta i opowiedzieć w paru słowach, co mu się przydarzyło.

Zaskoczony przez cyklon w momencie, kiedy stawiał żagle, by wrócić do Norø, Herseboom wpadł na rafy otaczające wysepkę i jego łódź rozbiła się w drzazgi, uniesione natychmiast przez nawałnicę. On zaś skoczył do wody na moment przed katastrofą, by uniknąć straszliwego uderzenia. Ale mało brakowało, a byłby sam rozbił się o skały i z niesłychanym trudem dowlókł się do miejsca, gdzie nie docierały fale. Wyczerpany wysiłkiem, ze złamaną ręką, pokryty na całym ciele siniakami, pozbawiony sił, nie wiedział właściwie, w jaki sposób przeżył te dwadzieścia cztery godziny oczekiwania, zdany na pastwę stanów wysokiej zapewne gorączki na przemian z omdleniami.

Teraz to wszystko było już poza nim, ale niebawem zaczął rozpaczać z powodu straty barki i złamania ręki, którą mu unieruchomiono dwiema deseczkami. Co się z nim stanie, jeśli nawet po ośmiu, a może dziesięciu tygodniach spoczynku będzie mógł posługiwać się tą ręką? Łódź była jedynym majątkiem rodziny i owa majątność zniknęła za podmuchem wiatru! Pracować u kogoś, to w jego wieku nie mały trud! Poza tym, czy znajdzie pracę? Było to co najmniej wątpliwe, bo nikt w Nora nie zatrudniał najemników, a fabryka i tak już musiała zmniejszyć swój personel.

Takie oto żalosne myśli nawiedzały Herseboma leżącego na łożu bóleści, a zwłaszcza kiedy zaczął wstawać i siadał w fotelu z ręką zawieszoną na temblaku.

Oczekując całkowitego wyzdrowienia zacnego rybaka, jego rodzina żyła dzięki drobnym oszczędnościom i solonym rybam, które miała jeszcze w magazynie. Ale przyszłość jawiła się czarna i nikt nie wiedział, jakby mogła się ona rozjaśnić.

Ta przeogromna troska nadała wkrótce nowy tok myślom Eryka, gdy minęły dwa lub trzy dni wypełnione uczuciem szczęścia z powodu ocalenia życia Herseboomowi — jego dążenie do poświęcenia się zostało należycie uhonorowane. Czyż nie powinien być dumny widząc, jak w oczach jejmość Katany i Wandy, wilgotnych od wzruszenia, dostrzegał wdzięczność tak wielką, że zdawała się mówić:

— Drogi Eryku, ojciec dobył cię z morza, a ty z kolei jego wydarłeś śmierci!...

Z pewnością była to najpiękniejsza rekompensata, o jakiej mógł marzyć, za zaparcie się siebie, którego dał dowód skazując się na życie rybaka. Jakaż to podnosząca na duchu i słodka myśl, że za jednym razem zwrócił przybranej rodzinie wszystkie jej dobrodziejstwa!

Ale ta rodzina, która tak szczerze dzieliła się z nim owocami swojej pracy, stała teraz na progu

głodu. Czy mógł być dla niej ciężarem? Czy nie powinien spróbować przyjść jej z pomocą?

Eryk miał świadomość, że jest to jego obowiązek. Rozmyślał jedynie o sposobie, jaki należało obrać, już to dumając o wyprawieniu się do Bergen i zaciągnięciu się na jakiś okręt jako marynarz, już to marząc o jakichś innych możliwościach okazania się natychmiast użytecznym.

Pewnego dnia podzielił się swoimi rozterkami z panem Malariuszem, który wysłuchał jego racji, poparł je, ale wzbraniał Erykowi zaciągnięcia się na okręt.

— Rozumiałem — powiedział — oplakując to jednocześnie, że poświęciłeś swoje życie, zostając tutaj, by dzielić los twoich przybranych rodziców. Ale nie rozumiem tego, że chcesz skazać się na zawód bez przyszłości, i to z dala od nich, podczas gdy Schwaryencrona chce ci otworzyć drogę do zaszczytnej kariery! Zastanów się, mój chłopcze, zanim podejmiesz taką decyzję!

Ale pan Malarius nie przyznał się, że napisał już do Sztokholmu, aby powiadomić doktora o sytuacji, w jaką cyklon z 3 marca wpędził rodzinę Eryka. Nie zdziwił się tedy, gdy w trzy dni później otrzymał list, z którego treścią natychmiast zaznajomił Hersebomów. Brzmiał on tak:

*Sztokholm, 17 marca*

*Mój drogi przyjacielu,*

*Dziękuję ci serdecznie, że zawiadomiłeś mnie o katastrofalnych konsekwencjach, które cyklon z 3 marca sprowadził na szanownego Herseboma. Jestem szczęśliwy i dumny, dowiedziawszy się, że w tych okolicznościach Eryk zachował się jak zazwyczaj, jako młodzieniec odważny i oddany syn. Znajdziesz załączone do tego listu 500 koron, które zechcesz mu przekazać ode mnie, powiedz mu też, że jeśli nie ma w Bergen dość łodzi, by zakupić najlepszy jak to możliwe kuter rybacki, niech mnie o tym bezwzględnie powiadomi. Nada tej barce miano "Cynthia" i ofiaruje ją Hersebomowi jako upominek synowski. Kiedy to zrobi, przyjedzie, jeśli mi ufa, do mnie do Sztokholmu i będzie kontynuował naukę. Jego miejsce w moim ognisku domowym jest nadal wolne; i jeśli mu trzeba jakiegoś ważnego argumentu, by tu wrócić, dodam tylko, że mam teraz pewne dane i nadzieję, że rozwikłam tajemnicę jego pochodzenia.*

*Mój drogi przyjacielu, wierz mi, że pozostaję zawsze ci wierny i oddany*

*R. W. SCHWARYENCRONA, M.D.*

Łatwo się domyślić, z jaką radością list został przyjęty. Doktor przekazując ten podarunek Erykowi, dał dowód, że dobrze zna charakter starego rybaka. Gdyby barka została ofiarowana jemu osobiście, maaster Hersebom najprawdopodobniej by jej nie przyjął. Ale w jaki sposób mógłby odmówić swojemu przybranemu synowi, zwłaszcza że kuter miał się zwać "Cynthia", co zawsze będzie przypominać rybakowi, w jaki sposób Eryk wszedł do rodziny!

Odwrotną stroną medalu była obawa, że Eryk znów wyjedzie. Nikt nie ośmielał się nawet o tym napomknąć, chociaż wszyscy myśleli o rozstaniu. Nawet Eryk, opuszczający teraz często gło wę na piersi, był rozdarty dwoma sprzecznymi pragnieniami: naturalną chęcią realizowania planów doktora, zgodnych jednocześnie z utajonymi życzeniami swojego serca, a chęcią nie mniej naturalną oszczędzenia smutku swoim przybranym rodzicom.

Wanda postanowiła tedy przełamać lody.

— Eryku — powiedziała swoim poważnym, słodkim głosem — nie możesz odmówić doktorowi po tym wspaniałym liście! Nie możesz, gdyż byłoby to okazaniem niewdzięczności wobec niego i grzechem przeciw samemu sobie! Twoje miejsce jest między uczonymi, a nie między rybakami. Już od dawna o tym myślą! Skoro nikt nie ośmiela się powiedzieć ci o tym, ja ci to mówią!...

— Wanda ma rację — zawołał Malarius z uśmiechem.

— Wanda ma rację! — powtórzyła jejmość Katrina ocierając łzę.  
W taki oto sposób ponowny wyjazd Eryka został postanowiony.

# ROZDZIAŁ VIII

## PATRICK O'DONOGHAN

To, o czym dowiedział się doktor Schwaryencrona, nie miało wielkiego znaczenia, ale naprowadzało go na określony ślad.

Znał nazwisko byłego dyrektora Kanadyjskiej Kompanii Transportowej, niejakiego pana Joshuę Churchilla.

Co prawda nie wiadomo, co się z nim stało po zlikwidowaniu Towarzystwa. Poszukiwania zwrócono oczywiście w tym kierunku. Jeśli doktor odnajdzie pana Joshuę Churchilla, może uda się dzięki niemu dotrzeć do starych rejestrów Kompanii, a może nawet listy pasażerów "Cynthii". Otóż dziecko powinno być tam zarejestrowane wraz z rodziną lub osobami mającymi nad nim pieczę. I wówczas pole poszukiwań znacznie się skurczy. Oto rada solicitora, który niegdyś miał owe rejestry w rękę likwidując Towarzystwo, ale który co najmniej przed dziesięciu laty całkowicie stracił z oczu pana Joshuę Churchilla.

W pewnej chwili doktor Schwaryencrona odczuł zwodniczą radość, stwierdziwszy, że gazety amerykańskie mają zwyczaj publikować listy pasażerów odpływających do Europy. Wydało mu się, że wystarczy odwołać się do składów starych gazet, by odnaleźć listę pasażerów "Cynthii". Ale ta hipoteza okazała się przy sprawdzaniu mylna, gdyż zwyczaj ten wprowadzono dopiero niedawno, zaledwie przed paroma laty. Nie mniej stare gazety okazały się użyteczne, podano w nich bowiem dokładną datę wypłynięcia "Cynthii" w dniu 3 listopada w kierunku Hamburga bynajmniej nie z któregoś z portów kanadyjskich, jak początkowo mniemano, lecz z Nowego Jorku.

A zatem najpierw w Nowym Jorku doktor zaczął zasięgać in formacji, po czym kontynuował poszukiwania w całych Stanach Zjednoczonych.

W Hamburgu prawie niczego się nie dowiedział. Depozytariusze Kanadyjskiej Kompanii Transportowej nic nie wiedzieli

o pasażerach "Cynthii" i mogli tylko wymienić wysokość jej ubezpieczenia, co już było znane doktorowi.

Minęło właśnie pół roku od chwili, kiedy Eryk znalazł się znowu w Sztokholmie, gdy nadeszła z Nowego Jorku wiadomość, że były dyrektor Joshua Churchill oddał ducha siedem lat temu w jednym ze szpitali na Dziewiątej Alei, nie pozostawiając spadkobierców ani też spadku. Natomiast rejestry Kompanii dawno temu zostały prawdopodobnie sprzedane jako papier i przerobione na rożki przez kupców tytoniu w Nowym Jorku.

Ślad nie doprowadził zatem nigdzie i jedynym rezultatem tych długich poszukiwań były bolesne dla miłości własnej doktora, choć całkiem nieszkodliwe sarkazmy, których, pan Bredejord nie szczędził przyjacielowi.

Dzieje Eryka stały się teraz rzeczą powszechnie znaną w domu doktora. Nie krępowano się już mówić o nich otwarcie i wszystkie fazy dociekań były omawiane przy stole lub w salonie. Wydaje się, iż doktor przez pierwsze dwa lata lepiej postępował, kiedy trzymał te okoliczności w sekrecie, gdyż teraz dały one powód do pogawędek pani Grety i Kajsy, jak też do dumań samego Eryka. A owe dumania stawały się coraz bardziej melancholijne.

Nie znać swoich rodziców, jeśli żyli jeszcze, mówić sobie, że nie pozna się może nigdy tajemnicy swojego urodzenia, rzecz ta była sama w sobie bardzo bolesna. Ale jeszcze smutniejsze było to, że nie wiedział, jaki kraj jest jego ojczyzną.

Najbiedniejszy ulicznik, najuboższy chłop zna przynajmniej nazwę swojego kraju i wie, do jakiej wielkiej rodziny ludzkiej należy! — myślał dumając o tych sprawach. — Ja natomiast nie wiem! Jestem na ziemskim globie jak rozbitek, jak ziarnko piasku unoszone wiatrem i nie mające pojęcia, skąd nadleciało! Nie mam korzeni ani tradycji, ani przeszłości! Ziemia, gdzie moja matka się urodziła, gdzie spoczywają jej doczesne szczątki lub spoczną, jest może zbeszczeszczona przez obcych, zdeptana przez nich, a mnie nie jest nawet dane stanąć w jej obronie, przelać dla niej swoją krew!

Myśl ta zasmucała biednego Eryka. W takich chwilach daremnie powiadał sobie, że znalazł matkę w osobie jejmość Katriny, rodzinny dom u Herseboma, ojczyznę w Norø i choć przysięgał sobie, że stokrotnie spłaci wszelkie wyświadczone mu dobro, że będzie zawsze dla Norwegii jednym z najbardziej oddanych jej synów — czuł się w sytuacji całkiem wyjątkowej.

Dostrzegał nawet teraz różnice fizyczne między sobą a otoczeniem, inny kolor oczu i skóry, co uchwycone przelotnie w lustrze lub szybie wystawowej, w każdej chwili naprowadzało go na te bolesne myśli. Czasem zastanawiał się, jaką wybrałby na tym świecie ojczyznę, gdyby miał prawo wyboru. Wychodząc z tego szczególnego punktu widzenia studiował pilnie historię i geografię, przesuwał przed własnymi oczyma rozmaite cywilizacje i narody. Znajdował rodzaj pocieszenia w tym, że mógł wmawiać w siebie pochodzenie celtyckie, i w książkach szukał potwierdzenia tezy doktora.

Lecz kiedy ów uczony powtarzał Erykowi, że w jego mniemaniu jest on Irlandczykiem, chłopiec odczuwał ucisk w sercu. Jak to! Czy ze wszystkich ludów celtyckich trzeba było wybrać mu najbardziej uciemniony? Gdyby przynajmniej istniał na to bezwzględny dowód, kochałby tę nieszczęsną ojczyznę na równi z najwspanialszymi i wspaniałymi! Ale tego dowodu nie było! Czemu więc na przykład nie uznać, że jest Francuzem?... We Francji również istnieli Celtowie!... Oto właśnie ojczyzna, jakiej by pragnął, z wielkimi tradycjami, z jej dramatyczną historią i z jej płodnymi zasadami, które rozsiała po świecie! Och, z jaką pasją kochałby taką ojczyznę, z jakim poświęceniem by jej służył!... Jaką dumę by odczuwał należąc do niej! Jaka synowska miłość przepajałaby go całego, gdy studiowałby jej chwalebne annały, czytałby książki pióra jej pisarzy, podziwiałby dzieła jej artystów!... Ale niestety! Ten właśnie delikatny rodzaj wzruszeń był na zawsze przed nim zamknięty!...

Dobrze wiedział, że zagadnienie jego pochodzenia nigdy nie zostanie rozstrzygnięte, skoro po tylu poszukiwaniach nic nie odnaleziono!

A jednak wydawało się Erykowi, że gdyby mógł osobiście dotrzeć do źródła posiadanych już wiadomości, sam stąpać po dawnych śladach, wyszukiwać nowe, które przecież można by znaleźć, kto wie, czy nie uzyskałby lepszych rezultatów? To, czego płatni agenci nie zdołali dokonać, może dzięki jego osobistej ruchliwości wyszłoby na jaw? Czyż nie włożyłby w to całego swojego zapału i woli zwycięstwa?

Ta obsesyjna myśl podziałała niespostrzeżenie na jego pracę i od samego początku nadała jej specjalny kierunek. Jakby o było rzeczą z góry ustaloną, że ma podróżować, zaczął uczyć się pilnie kosmografii, geografii, sztuki żeglarstwa, słowem, całego programu szkół morskich.

Pewnego dnia — myślał — zostanę, po złożeniu egzaminu, kapitanem długich rejsów i wtedy będę mógł na własny koszt udać się do Nowego Jorku i rozpocząć jeszcze raz dociekania dotyczące "Cynthii".

Naturalną siłą rzeczy w jego rozmowach odbijały się ślady projektu osobistych poszukiwań i Eryk dawał temu upust z całą szczerością.

Doktor Schwaryencrona, pan Bredejord i profesor Hochstedt przejęli się tymi projektami do tego

stopnia, że odnieśli je do samych siebie; sprawa pochodzenia Eryka jawiła się zrazu w ich oczach jako nadzwyczaj ciekawe zagadnienie, lecz z czasem zaczęła ich coraz mocniej pasjonować. Widzieli, jak ta sprawa leży Erykowi głęboko na sercu, a że szczerze go lubili, postanowili uczynić wszystko, by rzucić nieco światła na ową tajemnicę.

Tak oto narodził się pewnego pięknego wieczora pomysł, żeby wszyscy razem wyjechali podczas wakacji na wycieczkę do Nowego Jorku i rozejrzeli się na miejscu, czy nie da się dowiedzieć czegoś nowego na interesujący ich temat.

Kto pierwszy sformułował ten projekt? Ten punkt pozostał na zawsze niejasny i długo służył za temat sprzeczek między doktorem a panem Bredejordem; każdy z nich przypisywał sobie pierwszeństwo. Zapewne powzięli go jednocześnie, gdyż Eryk kultywując ową myśl, stwarzał sprzyjającą atmosferę. Następnie nadano mu kształt i ostatecznie ustalono, że we wrześniu następnego roku trzech przyjaciele, a z nimi Eryk, zaokrętują się w Christianii, by podążyć do Nowego Jorku.

W dziesięć dni później znaleźli się w Nowym Jorku i nie zwlekając nawiązali stosunki z firmą Jeremiasz Smith, Walker i Sp., skąd nadeszły pierwsze wiadomości.

Wówczas pojawił się i wszedł w grę nowy czynnik, którego potęgi nikt się na razie nie domyślał. Tym czynnikiem była osobista energia i ruchliwość Eryka. Ani w Nowym Jorku, ani w całych Stanach Zjednoczonych, wśród tylu nowych dla niego widoków nie dostrzegał nie co nie miałoby związku z przedmiotem jego poszukiwań. Na nogach już od świtu, biegł do portu, maszerował po nabrzeżach, podchodził do statków stojących w przystani, szukając i kolekcjonując bez wytchnienia najdrobniejsze wskazówki.

— Czy znał pan Kanadyjską Kompanię Transportową? Czy mógłby mi pan podać nazwisko oficera, pasażera, marynarza, kogokolwiek, kto pływał kiedyś na "Cynthii"? — rozpytywał na wszystkie strony.

Dzięki doskonałej znajomości języka angielskiego, łagodnej i poważnej twarzy, obznajomieniu we wszystkim, co tyczyło morza, wszędzie był dobrze przyjmowany. Wskazywano mu kolejno paru byłych oficerów, marynarzy lub urzędników Kanadyjskiej Kompanii Transportowej. Czasem udawało mu się ich odnaleźć. Innym razem ślady po nich bezpowrotnie się zacierały. Ale nikt nie potrafił przekazać mu użytecznych informacji o ostatniej podróży "Cynthii". Potrzebował dwóch tygodni marszrut, powrotów, nieustannych poszukiwań, aby dotrzeć do wiadomości, która swoją precyzją przecinała splątana masę sprzecznych informacji, jakie Eryk mógł dotychczas zebrać. Prawdę rzekłszy ta informacja była na wagę złota.

Zapewniano Eryka, że pewien marynarz, niejaki Patrick O'Donoghane, uszedł z życiem z katastrofy i później nawet kilkakrotnie odwiedzał Nowy Jork. Ów Patrick O'Donoghane służył podobno jako chłopiec okrętowy na pokładzie "Cynthii" podczas ostatniej podróży tego okrętu. Był przydzielony do służby kapitanowi i według wszelkiego prawdopodobieństwa musiał znać pasażerów pierwszej klasy, którzy jadali zawsze przy stole na rufie. Otóż, jeśli można było sądzić po wykwinnym ubranku, dziecko przywiązane do koła ratunkowego "Cynthii" bez wątplenia należało do tej właśnie kategorii osób. A zatem odnalezienie tego marynarza mogło być sprawą ogromnej wagi.

Taka była konkluzja doktora i pana Bredejorda, kiedy Eryk wróciwszy na obiad do hotelu przy Piątej Alei powiadomił ich o swoim odkryciu. Ale rozmowa potoczyła się natychmiast w innym kierunku, doktor bowiem zapragnął wydobyć z tego nowego elementu dowód na poparcie swojego ulubionego twierdzenia.

— Trudno o nazwisko bardziej irlandzkie aniżeli Patrick O'Donoghane!... A przecież zawsze twierdziłem, że w sprawie Eryka pachnie Irlandią!

— Do tej pory bynajmniej tego nie widzę! — odparł z uśmiechem pan Bredejord. — Obecność

na pokładzie okrętu irlandzkiego chłopca o niczym jeszcze nie świadczy, i trudniej chyba byłoby znaleźć amerykański statek, gdzie wśród załogi nie zobaczyłbyś jakiegoś syna zielonego Erynu!

Było się nad czym rozwodzić przez dwie lub trzy godziny i nie omieszkało tego zrobić. Od tego dnia Eryk skoncentrował swoje wysiłki w tym jednym kierunku: odnaleźć Patricka O'Donoghana.

Co prawda akurat w tym mu się nie wiodło; ale tak długo rozpytywał wszystkich i tak długo szukał, że natknął się na Hudson Street na marynarza, ktadziro znał niegdyś owego człowieka. Patrick O'Donoghana był rzeczywiście Irlandczykiem urodzonym w hrabstwie Cork. Był trzydziestotrzy-, a może trzydziestopięcioletnim mężczyzną średniego wzrostu, o rudych włosach i czarnych oczach, nos zaś miał zmiażdżony w jakimś wypadku.

— Chłop, którego można rozpoznać z odległości dwudziestu mil — powiedział marynarz. — Dobrze go pamiętam, chociaż nie widziałem go od siedmiu, a może ośmiu lat.

— Czy spotykał go. pan zwykle w Nowym Jorku?

— W Nowym Jorku i gdzie indziej. Ale ostatni raz spotkałem go rzeczywiście w Nowym Jorku.

— Czy nie zna pan kogoś, kto mógłby wiedzieć, co się z nim teraz dzieje?

— Na honor, nie... a może właściciel oberży "Red Anchor" w Brooklynie!. Patrick O'Donoghana, mieszkał tam zwykle przyjeżdżając do Nowego Jorku!... Niejaki pan Bowles, były marynarz!... Jeśli ten nic nie będzie wiedział, nie mam pojęcia, kto mógłby powiedzieć, gdzie się podziewa O'Donoghana!

Eryk czym prędzej wskoczył na jeden z tych parowych promów, które obsługują żeglugę na East River, i po dwudziestu minutach stanął w Brooklynie.

W drzwiach "Red Anchor" napotkał nad wyraz schludną kobietę, bardzo zajęętą obieraniem ziemniaków.

— Czy zastałem pana Bowlesa? — zapytał Eryk, kłaniając się grzecznie zgodnie z obyczajem jego przybranej ojczyzny.

— Tak, jest w domu — odpowiedziała kobieta, obrzucając rozmówcę zaciekawionym spojrzeniem — ale teraz właśnie drzemie. — Jeśli ma mu pan coś do powiedzenia, mogę mu powtórzyć... Jestem jego żoną.

— Ach, proszę pani, zapewne pani będzie mogła poinformować mnie tak, jakby to zrobił sam pan Bowles — odparł Eryk. — Chciałbym się dowiedzieć, czy państwo znacie pewnego marynarza o nazwisku Patrick O'Donoghana, a może jest on właśnie u państwa albo też moglibyście mi powiedzieć, gdzie go szukać.

— Patrick O'Donoghana? Tak, znam go! Ale nie było go tu już z pięć, może sześć lat!... A co do tego, żeby powiedzieć, gdzie się teraz może znajdować, no cóż, byłabym w wielkim kłopotcie.

Na twarzy Eryka pojawił się wyraz tak wielkiego rozczarowania, że stara kobieta spostrzegła to; najwyraźniej poczuła się tym poruszona.

— Tak bardzo potrzebuje pan Patricka O'Donoghana?

— Bardzo go potrzebuję, proszę pani — odparł młodzieniec ze smutkiem. — Tylko on mógłby podać rozwiązanie zagadki, którą przez całe życie będę starał się wyświecić!

Przez trzy tygodnie pogoni za informacjami Eryk nabrał pewnego życiowego doświadczenia. Spostrzegł, że ciekawość mistress Bowles została żywo poruszona, a zatem nie było rzeczą niestosowną porozmawiać z tą kobietą. Zapytał ją, czy nie znalazłaby trochę gazowanej wody, aby mógł ugasić pragnienie, i po jej twierdzącej odpowiedzi, wszedł do oberży.

Niska salka, w której się znalazł, była zastawiona stołami z lakierowanego drewna i wyplatany słomą krzesłami, ale nie zastał w niej żywego ducha. Ta okoliczność dodała odwagi Erykowi, toteż gdy kobieta wróciła z piwnicy z małą krzemionkową butelką, zaczął z nią pogawędkę.

— Zastanawia się pani zapewne, czego mógłbym chcieć od Patricka O'Donoghana — rzekł łagodnie. — Chodzi o to: Patrick O'Donoghana był podobno ha "Cynthii", amerykańskim okręcie, który rozbił się u wybrzeży Norwegii jakieś siedemnaście lat temu!... A ja, ten, który z panią rozmawia, zostałem znaleziony przez norweskiego rybaka, gdy miałem około dziewięciu miesięcy, w kołysce przywiązanej do koła ratunkowego "Cynthii! Szukam O'Donoghana, żeby dowiedzieć się, czy nie mógłby podać mi nazwiska mojej rodziny lub przynajmniej nazwy kraju, z którego pochodzę!...

Okrzyk, jaki wydała mistress Bowles, przeciął wyjaśnienia Eryka.

— Na kole ratunkowym, powiada pan?... Był pan przywiązany do koła ratunkowego!

I nie czekając na odpowiedź, pobiegła w kierunku schodów.

— Mężu... Mężu... zjedź szybko! — zawołała donośnie. — Na kole ratunkowym! Jest pan "dzieckiem z koła ratunkowego"!... Któż by się spodziewał czegoś podobnego! — paplała wracając do Eryka, który bladł ze zdumienia i budzącej się w nim nadziei.

Czyżby miał poznać tajemnicę, którą próbował wyjaśnić od tak dawna?

Ciężkie kroki zadudniły na drewnianych schodach i niski staruszek, cały różowy i okrągłutki, ubrany w niebieskie płócienne odzienie, z twarzą ujętą w ramę puszystych siwych bokobrodów, ze złotymi kołami w uszach, pojawił się w progu niskiej salki.

— Co?... O co chodzi?... Co się dzieje? — pytał przecierając oczy.

— Chodzi o to, że cię potrzebujemy! — oświadczyła ostro mistress Bowles. — Usiądź tutaj i posłuchaj tego pana, który powtórzy ci to, co mnie powiedział.

Pan Bowles usłuchał bez protestu. Eryk zrobił to, co on. Powtórzył mniej więcej to samo, co powiedział zacnej kobiecie. Na te słowa twarz pana Bowlesa przybrała kształt księżyca w pełni, usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu — i zaczął popatrywać na żonę zacierając ręce. Ona również wydawała się nie mniej uradowana.

— Czy mogę przypuszczać, że znacie państwo moje dzieje? — spytał Eryk z bijącym sercem.

Pan Bowles skinął głową potakująco, podrapał się za uchem i zdecydował się wreszcie mówić.

— Znam je i nie znam — rzekł wreszcie — i moja żona również dobrze je zna! Często o tym rozmawialiśmy, nic właściwie nie rozumiejąc.

Eryk blady, z zaciśniętymi zębami, spijał te słowa, spodziewając się jakiegoś wyjaśnienia. Ale wyjaśnienie kazało na siebie czekać. Pan Bowles nie był elokwentny ani nie miał daru wyślawiać się jasno. Być może, iż jego myśl nie ocknęła się jeszcze ze snu. Po drzemce, żeby dojść do siebie, potrzebował zazwyczaj, dwóch albo trzech kieliszków trunku uhonorowanego nazwą "Pick me up", wściekle przypominającego dżin.

Dopiero kiedy jego żona postawiła przed nim butelkę i dwa kieliszki, ten czcigodny człowiek zdecydował się mówić.

Rozpoczął wtedy bardzo splątaną relację, w której zaledwie parę faktów pływało na powierzchni nieskończonej ilości błahych szczegółów. Ta relacja zabrała przynajmniej dwie godziny. Potrzebna była biednemu Erykowi skupiona uwaga oraz gorące zainteresowanie sprawą, żeby cokolwiek wydobyć z tego chaosu. Ale dzięki pytaniom i naleganiom oraz pomocy mistress Bowles, osiągnął w końcu cel.



# ROZDZIAŁ IX

## PIĘCSET FUNTÓW SZTERLINGÓW NAGRODY

Patrick O'Donoghan, o ile Eryk mógł to pojąć na podstawie przemilczeń i dygresji pana Bowlesa, nie był bynajmniej wzorem cnoty. Właściciel oberży "Red Anchor" znał go, gdy tamten był majtkiem, potem chłopcem okrętowym, wreszcie marynarzem, zarówno przed, jak i po zatonięciu "Cynthii". Aż do tej chwili O'Donoghan był biedny, jak wszyscy ludzie morza. Po katastrofie wrócił z Europy z grubym plikiem banknotów, twierdząc, że otrzymał spadek z Irlandii — co wydawało się dość nieprawdopodobne.

Pan Bowles nigdy nie uwierzył w ten spadek. Sądził nawet, że ta nagła fortuna musiała wiązać się w jakiś sposób, zapewne raczej wstydlivy, z zatonięciem "Cynthii". Bo to było pewne, że Patrick O'Donoghan był wówczas na tym okręcie i wbrew obyczajom marynarzy, którzy znaleźliby się w podobnych okolicznościach, wyraźnie wzbraniał się o tym mówić; dość niezręcznie odwracał rozmowę, kiedy tylko schodziła ona na ów temat. Umknął nawet pośpiesznie, odbył długi rejs w momencie, kiedy rozpoczął się cywilny proces wytoczony przez Kompanię Ubezpieczeniową właścicielom "Cynthii", aby nie zostać wmieszany w to choćby jako świadek. Takie zachowanie wydało się tym bardziej podejrzane, że Patrick O'Donoghan był jedynym znanym członkiem załogi, który przeżył katastrofę. Pan Bowles nigdy nie poznał rozwiązania tej zagadki. Ale i on, i jego żona uważali sprawę za wielce podejrzaną.

Rzecz wydawała się tym osobliwsza, że Patrick podczas swoich pobytów w Nowym Jorku nie odczuwał nigdy braku pieniędzy. A nie przywoził ich bynajmniej ze swoich podróży. Dopiero w parę dni po przyjeździe miał zawsze sporo złota i banknotów, a kiedy się upił, co często mu się przytrafiało, chwalił się, że zna jakąś tajemnicę, wartą fortunę. W jego bredzeniach przewijało się ustawicznie "dziecko z koła ratunkowego".

— Dziecko na kole ratunkowym, panie Bowles! — powtarzał waląc w stół. — Dziecko na kole ratunkowym jest na wagę złota!...

I rechotał wielce z siebie rad. Ale nie można było z niego wydobyć wytłumaczenia tych słów, które na całe lata pozostały dla państwa Bowles przedmiotem nie kończących się domysłów.

Patrick O'Donoghan, który przez ponad piętnaście lat zatrzymywał się w "Red Anchor", gdy tylko był w Nowym Jorku, nie pokazał się tu już od około czterech lat. I w tym, zdaniem pana Bowlesa, kryło się coś tajemniczego. Pewnego wieczoru jakiś mężczyzna złożył Irlandczykowi wizytę; zamknęli się w pokoju na przeszło godzinę, po czym Patrick O'Donoghan, wyraźnie poruszony i spieszący się nagle, zapłacił bezzwłocznie rachunek, zabrał swoją marynarską torbę i wyszedł.

Nigdy już potem go nie widziano.

Państwo Bowles nie znali oczywiście przyczyn tego nagłego odjazdu. Ale wciąż myśleli, że musiał się on łączyć z zatonięciem "Cynthii" i historią "dziecka na kole ratunkowym". Ich zdaniem gość Patricka przyszedł go uprzedzić, że czyha na niego jakieś poważne niebezpieczeństwo, w rezultacie Irlandczyk uznał, iż ostrożność nakazuje mu natychmiast opuścić Nowy Jork. Państwu Bowles wydawało się, że nie pojawił się w mieście od tamtej pory. Gdyby Patrick zatrzymał się gdzie indziej, dowiedzieliby się o tym od innych bywalców oberży, którzy dziwiliby się temu.

Taką mniej więcej opowieść udało się Erykowi uzyskać. Pilno mu było przekazać ją swoim przyjacielom. Z pośpiechem poprosił tedy swoich gospodarzy, by pozwolili mu udać się do nich.

Jego raport został naturalnie przyjęty na Piątej Alei z zainteresowaniem, na jakie zasługiwał. Po

tylu poszukiwaniach po raz pierwszy natrafiono na ślad człowieka, który wielokrotnie czynił aluzje do "dziecka na kole ratunkowym". To prawda, że nikt nie wiedział, gdzie jest ów człowiek, ale można było mieć nadzieję, że któregoś dnia zostanie on odnaleziony. Nie wyda rzyło się dotychczas nic o tak wielkim znaczeniu. Sprawa wydała się na tyle poważna, że postanowiono zatelegrafować do mistress Bowles, by przygotowała obiad dla sześciu osób. Pan Bredejord zaproponował ten manewr, pozwalający jego zdaniem na wydobywanie od tych zacnych ludzi wszystkiego, co tylko wiedzieli; czterej panowie udadzą się do państwa Bowles, zaproszą ich do swojego stołu i rozpoczną pogawędkę,

Eryk zupełnie nie miał nadziei, że dowiedzą się czegoś nowego, ale nie brał pod uwagę doświadczenia, jakie miał pan Bredejord w wypytywaniu świadków na rozprawach sądowych i wydobywaniu z ich odpowiedzi nawet tego, czego sami często się nie domyślali.

Mistress Bowles przeszła samą siebie. Nakryła stół w swoim najpiękniejszym pokoju na pierwszym piętrze i zaimprovizowała w niecałą godzinę wspaniały obiad. Bardzo pochlebiona tym, że wraz z mężem ma przy nim zasiąść, sposobiła się z najlepszą wolą do przesłuchiwanie przez znakomitego adwokata. W ten sposób zebrano nieco faktów, mających niejakie znaczenie.

Przede wszystkim Patrick O'Donoghane powiedział w chwili wszczęcia procesu przez towarzystwo ubezpieczeniowe, że wyjeżdża — i tu jego własne słowa — "by nie zostać powołanym jako świadek" Oczywisty dowód na to, że mało mu zależało na tym, by tłumaczyć się z okoliczności towarzyszących zatonięciu "Cynthii", co potwierdzało zresztą jego zachowanie się.

Ponadto właśnie w Nowym Jorku lub okolicach znajdowało się źródło jego podejrzanych dochodów. Przyjeżdżał do miasta zawsze bez grosza i po spędzeniu kilku godzin z dala od oberży miał pełne kieszenie złota.

Miało to prawdopodobnie związek z jakimś sekretem. Nie sposób było wątpić, że ów sekret dotyczyć "dziecka na kole ratunkowym", gdyż sam wielokrotnie to powtarzał.

Patrick O'Donoghane próbował widać rozliczyć się ostatecznie za posiadanie tego sekretu i próba ta spowodowała kryzys. Istotnie, w dniu poprzedzającym jego nagły wyjazd twierdził, że ma już dosyć żeglarstwa; nie chciał więcej wyruszać w morze, lecz osiąść na stałe w Nowym Jorku i żyć tu jako rentier.

Na koniec indywiduum, które odwiedziło Patricka O'Donoghana, życzyło sobie widocznie, żeby marynarz wyjechał, gdyż nazajutrz nieznajomy przyszedł do "Red Anchor" i zapytał o Irlandczyka, a nie zastawszy go, wydał się ogromnie tym uradowany. Pan Bowles sądził, że zdołałby rozpoznać to indywiduum, które z racji wyglądu i sposobu bycia wydało mu się "detektywem" lub jednym z owych agentów policji, jakich pełno w wielkich miastach.

Pan Bredejord wywnioskował z tych okoliczności, że Patrick musiał być systematycznie straszony przez osobę, od której wyłudzał pieniądze podczas swoich pobytów w Nowym Jorku i która nasłała na niego owego detektywa, aby zagrozić mu dochodzeniem karnym. Tylko to mogło sprawić, że Irlandczyk wyjechał tak pośpiesznie zaraz po owej wizycie i nigdy już się nie pojawił.

Ważne było tedy, żeby nasi przyjaciele mieli rysopisy detektywa, jak też Patricka O'Donoghana, Państwo Bowles podali je bardzo dokładnie. Przejrzawszy swoją książkę rachunkową mogli też ustalić rzeczywistą datę wyjazdu Irlandczyka, odległą, jak się okazało, o trzy lata i dziewięć miesięcy.

Doktor Schwaryencrona spostrzegł od razu, że data wyjazdu, a zatem i wizyty detektywa, pokrywała się dokładnie z datą pierwszych ogłoszeń, jakie zamieścił w dziennikach angielskich o poszukiwaniu tych, co ocaleli z katastrofy okrętu. Zbieżność tych faktów była uderzająca.

Wydawało się więc, że można się teraz rozejrzeć trochę lepiej w sytuacji. Opuszczenie Eryka na

morskie fale w kole ratunkowym było rezultatem zbrodni, której świadkiem lub współwinowajcą był chłopiec okrętowy O'Donoghane, zaokrętowany podówczas na "Cynthii". Znał zbrodniarza, który mieszkał w Nowym Jorku lub w okolicach tego miasta, i przez długi czas ciągnął zyski z posiadania tej tajemnicy. Nadszedł jednak dzień, kiedy ów człowiek znużony wymaganiami Irlandczyka lub za sprawą ogłoszeń umieszczonych w gazetach wystarczająco nastraszył Patricka, aby ten czmychnął.

W każdym razie, dopuszczając nawet przypuszczenie, że dedukcje nie były wystarczająco uzasadnione, występowały w tym wszystkim elementy uprawniające do wszczęcia poważnego dochodzenia karnego. Eryk i jego przyjaciele opuścili tedy "Red Anchor" żywiąc zdecydowanie nadzieję, że niebawem osiągną dobre rezultaty.

Już następnego dnia pan Bredejord poprosił ambasadora Szwecji, aby przedstawił go superintendentowi policji nowojorskiej, któremu przekazał znane sobie fakty. Jednocześnie nawiązał kontakt z solicitorami towarzystwa ubezpieczeniowego, którzy występowali przeciw właścicielom "Cynthii" i zdołał ekshumować akta owego procesu, które od wielu lat spoczywały w zakurzonych tekturowych pudłach. Ale owe papierzyska nie ujawniły żadnego ważnego dokumentu. Żadna ze stron ani rusz nie mogła przedstawić świadka

katastrofy. Cała rozprawa potoczyła się jako kwestia prawna odnośnie zbyt wysokiego ubezpieczenia, niezgodnego z wartością realną okrętu oraz ładunku. Armatorzy "Cynthii" nie potrafili uzasadnić swoich twierdzeń i swojej dobrej wiary ani też wyjaśnić, w jakich okolicznościach nastąpiła katastrofa. Ich obrona wypadła słabo i sąd rozstrzygnął rzecz na korzyść strony przeciwnej. Natomiast towarzystwo ubezpieczeniowe musiało wypłacić wiele odszkodowań za utratę życia spadkobiercom ofiar, to jest pasażerów. Ale nigdzie, ani w procesie, ani w tych transakcjach nie odnaleziono śladu dziewięćmiesięcznego dziecka.

Badanie tych dokumentów trwało wiele dni. Zakończyło się wtedy, gdy pan Bredejord otrzymał wezwanie, by stawił się u superintendenta policji, który oświadczył mu, że nic nie znalazł. Nikt w Nowym Jorku nie znał detektywa oficjalnie zarejestrowanego lub pracującego prywatnie, którego rysopis odpowiadałby temu, jaki podał pan Bowles. Nikt nie potrafił podać jakiegokolwiek wskazówki dotyczącej owego indywiduum, w którego interesie leżało pozbycie się Patricka O'Donoghana. A co do tego marynarza — wydawało się, że nie postawił stopy w Stanach Zjednoczonych już od czterech przynajmniej lat. Ponadto jego rysopis został zanotowany i posłuży być może w stosownej chwili. Ale superintendent nie potrafił ukryć przed panem Bredejordem, że dochodzenie wydaje mu się pogrzebane. Fakty dotyczyły zresztą czasów tak odległych i oskarżenia były tak bliskie wygaśnięciu wskutek przepisu o przedawnieniu po upływie lat dwudziestu, że nawet gdyby Patrick O'Donoghane wrócił natychmiast, było co najmniej wątpliwe, by sąd zajął się ponownie tą sprawą.

W sumie owo rozwiązanie, które Eryk miał jakby w ręku, spaliło na panewce i wymknęło mu się być może bezpowrotnie.

Nie pozostało nic innego, jak wrócić do Szwecji przez Irlandię, aby przekonać się, czy przypadkiem Patrick O'Donoghane nie zakopał się w rodzinnej wsi. Tak właśnie uczynili doktor Schwaryencrona i jego przyjaciele, pożegnawszy się uprzednio z państwem Bowles.

Parowce zdążające z Nowego Jorku do Liverpoolu zatrzymują się zawsze w Cork i nasi podróżni obrawszy tę drogę znaleźli się w odległości zaledwie paru mil od Inishannon. Dowiedzieli się tam, że Patrick O'Donoghane nie powrócił w swoje strony rodzinne od dwunastego roku życia ani też nie przekazał o sobie żadnych wiadomości.

— Gdzie go teraz szukać? — pytał doktor Schwaryencrona, kiedy znaleźli się na pokładzie okrętu płynącego do Londynu, skąd mieli popłynąć do Szwecji.

— Oczywiście w portach morskich, z wyjątkiem amerykańskich — odparł pan Bredejord. — Zapamiętajcie bowiem ten ważny moment: marynarz, dawny chłopiec okrętowy, nie rezygnuje ze swego zawodu w wieku lat trzydziestu pięciu, gdyż innego nie zna. Patrick tedy pływa. I tylko na okrętach krążących od portu do portu można by, jak sądzę, odnaleźć człowieka morza. Co pan, Hochstedt, myślisz o tym?

— Rozumowanie wydaje się prawidłowe, choć może trochę bezwzględne — odparł profesor ze swoją zwykłą ostrożnością.

— Przypuśćmy, że takie jest — ciągnął, dalej pan Bredejord. — Skoro wiadomo, że Patrick O'Donoghane wyjechał prawdziwie przerażony i prawdopodobnie pod groźbą karnego dochodzenia, lęka się na pewno ekstradycji. Istnieją tedy szanse, że stara się, by nie zostać rozpoznany i w związku z tym unika spotkania z dawnymi kolegami. Będzie więc zawijał do portów, które oni omijają... To tylko hipoteza, wiem o tym dobrze; ale przypuśćmy prowizorycznie, że ugruntowana — liczba portów, gdzie Amerykanie nie mają interesów, nie jest aż tak wielka, by nie dało się sporządzić ich listy. Myślę, że można by od tego zacząć i wywiedzieć się w nich, czy nikt nie mógłby udzielić wiadomości o pewnym indywiduum, odpowiadającym rysopisowi O'Donoghana.

— A dlaczego nie uciec się do ogłoszeń? — spytał pan Schwaryencrona.

— Gdyż Patrick O'Donoghane nie zechce na nie odpowiedzieć, jeśli się ukrywa — gdybyśmy nawet przypuścili, że ogłoszenie może dotrzeć do marynarza.

— A co stałoby na przeszkodzie, abyśmy uczynili je jak najbardziej uspokajającym, zapewnili go, że i tak chroni go ustawa o przedawnieniu i że poinformowanie nas byłoby dla niego korzystne?

— Może to i prawda. Ale przypomnę jeszcze raz moją obiekcję: obawiam się, że ogłoszenie nie dotrze do prostego marynarza.

— Może by jednak spróbować, ofiarowując nagrodę Patrickowi O'Donoghane albo temu, kto pomoże go odnaleźć. Co o tym myślisz, Eryku?

— Wydaje mi się, że takie ogłoszenie musiałyby pojawić się w wielu dziennikach, żeby dać pożądany rezultat. Będą kosztowały bardzo drogo i mogłyby przstraszyć Patricka O'Donoghana, choć byłyby zachęcające, w wypadku gdyby uważał, że musi się ukrywać. Czy nie lepiej powierzyć komuś sprawę osobistego poszukiwania w rozmaitych portach, gdzie jak przypuszczamy mógłby znajdować się ten człowiek?

— Doskonale, lecz gdzie znaleźć kogoś zaufanego, kto mógłby przeprowadzić tego rodzaju dochodzenie?

— Ależ jest on pod ręką, mój drogi mistrzu — odparł Eryk. — To ja.

— Ty, moje drogie dziecko?... A twoje studia?...

— Będę się starał je kontynuować w czasie podróży... Ponadto muszę panu wyznać, doktorze, że znalazłem sposób, by podróżować za darmo.

— Jak to? — spytali jednocześnie pan Schwaryencrona, pan Bredejord i pan Hochstedt.

— Po prostu przygotowałem się do egzaminu na kapitana długich rejsów. Mogę go złożyć choćby jutro, jeśli zajdzie potrzeba. Gdy będę miał ów dyplom — cóż łatwiejszego, jak zaokrętować się jako porucznik do pierwszego lepszego portu.

— Jakże to? Zrobiłeś to nie powiedziawszy mi o tym ani słowa? — zakrzyknął doktor trochę zirytowany, podczas gdy adwokat i profesor zaśmiewali się z całego serca.

— Doprawdy nie wydaje mi się, aby moja zbrodnia była bardzo wielka, skoro ograniczyła się, do zebrania materiałów do egzaminu i wyuczenia się ich — odparł Eryk. — Nie przystąpiłbym do egzaminu, nie zapytawszy pana o pozwolenie i w tej właśnie chwili ubiegam się o nie.

— Daję ci je, niedobry chłopcze! — powiedział doktor ułagodzony tymi argumentami. — Ale

żebym miał pozwolić ci wyjechać już teraz, i to samemu — o, to całkiem inna sprawa!. Zaczekamy z tym do twojej pełnoletności.

— Ach, przecież i ja tak to rozumiem! — odparł Eryk, a w jego głosie brzmiała wdzięczność i poddanie tak silne, że omylić się co do tego nie było można.

Jednakże doktor nie chciał zrezygnować ze swojego pomysłu. Jego zdaniem poszukiwania osobiste w rozmaitych portach są tylko środkiem zastępczym, natomiast ogłoszenie dotrze jednocześnie wszędzie. Jeśli Patrick O'Donoghane nie ukrywał się, co w końcu było możliwe, ten sposób przywiódłby go do nich bezpośrednio. A jeśli się ukrywał, ogłoszenie mogłoby pomóc go odnaleźć. Rozważywszy wszystko dokładnie, zreagowano ostatecznie tekst, który, przetłumaczony na siedem czy osiem języków, miał wkrótce poszybować ku pięciu częściom świata na skrzydłach stu dzienników najbardziej rozpowszechnionych:

Patcick O'Donoghane, marynarz nieobecny w Nowym Jorku od czterech lat. Sto funtów szterlingów nagrody temu, kto go odnajdzie. Pięćset liwrów szterlingów dla niego samego, jeśli skontaktuje się z niżej podpisanym. Żadnych obaw, pewne fakty uległy przedawnieniu.

Dr Schwaryencrona, Sztokholm".

Dwudziestego października doktor i jego towarzysze podróży znaleźli się znów w swoich penatach. Nazajutrz owo ogłoszenie zostało złożone w Głównej Agencji Informacyjnej w Sztokholmie, a w trzy dni później ukazało się w wielu dziennikach. Czytając je Eryk nie zdołał stłumić westchnienia i przeczucia całkowitej porażki.

A co do pana Bredejorda — oświadczył wprost, że było to największe szaleństwo na świecie i że uważa obecnie sprawę za całkowicie zaprzepaszczoną.

Eryk i pan Bredejord mylili się, a potwierdzi to dalszy ciąg wydarzeń.

# ROZDZIAŁ X

## TUDOR BROWN, ESQUIRE

Pewnego majowego ranka doktor przebywał właśnie w swoim gabinecie, kiedy służący przyniósł mu czyjś bilet wizytowy. Na tym bilecie malutkich rozmiarów, takim, jakie drukują w Anglii, widniało nazwisko: Tudor Brown, a zamiast adresu: on board the Albatros, co oznacza: na pokładzie Albatrosa.

— Pan Tudor Brown? — zastanowił się doktor szukając w pamięci kogoś o tym nazwisku.

— Ten pan chciałby zobaczyć się z panem doktorem — powiedział służący.

— Czy nie mógłby przyjść w porze moich przyjęć? — Mówi, że przyszedł w sprawie osobistej.

— Wprowadź go więc — rzekł doktor z westchnieniem. Podniósł głowę czekając, aż otworzą się drzwi i popatrzył ze

zdumieniem na osobliwą postać noszącą dystygowane imię Tudor i bardzo plebejskie nazwisko Brown.

Wyobraźcie sobie takiego mężczyznę około pięćdziesiątki: czoło pokryte mnóstwem loczków "a la Titus", koloru marchewki, które przy bliższych oględzinach wydawały się zwinięte nie z włosów, lecz z surowego jedwabiu; na haczykowatym nosie para złotych okularów o przydymionych szklach; zęby długie jak u konia; policzki bez zarostu tonące w olbrzymim sztywnym kołnierzu, skąd dobywał się pod brodą pędzelek włosów również rudych; głowa o osobliwym kształcie nakryta cylindrem, który zdawał się do niej przyśrubowany, gdyż jego właściciel nawet nie udał, że sięga doń ręką — i to wszystko spoczywające na wysokim, chudym korpusie, kanciastym, z grubsza ociosanym, od stóp do głów odzianym w wełniany materiał, tkany w szaro zieloną kratą. Szpilka do krawatu z brylantem wielkości orzecha, łańcuch od zegarka wijący się między fałdami kamizelki zapiętej na ametystowe guziki, tuzin pierścionków na palcach o kostkach obrzmiałych jak u szympansa uzupełniały całość najbardziej dziwaczną i groteskową, jaką można by zobaczyć.

Ta osobistość weszła do gabinetu doktora, tak, jakby mogła wejść na dworzec kolejowy, nie pozorując nawet ukłonu. Jegomość zatrzymał się, by rzec głosem poliszynela — jednocześnie gardłowym i nosowym.

— To pan jest doktorem Schwaryencrona?

— Tak, to ja — odpowiedział doktor zdumiony tymi manierami.

Zastanawiał się, czy nie powinien zadzwonić na służącego i poprosić o wyprowadzenie tej ordynarnie zachowującej się osoby, ale następne zdanie obcego mężczyzny ucięło natychmiast tę chętkę.

— Widziałem pańskie ogłoszenie dotyczące Patricka O'Donoghana — powiedział przybysz — i pomyślałem, że będzie pan rad dowiedzieć się tego, co o nim wiem.

— Niech pan będzie łaskawy usiąść — miał właśnie powiedzieć doktor, ale spostrzegł, że przybysz nie czekał na zaproszenie. Wybrawszy sobie fotel najwygodniejszy jego zdaniem, toczył się właśnie w kierunku doktora; po czym rozsiadł się wygodnie, wsadził ręce w kieszenie, uniósł nogi do góry i oparł o najbliższe okno oba obcasy, wreszcie z zadowoloną miną zapatrzył się w swego rozmówcę.

— Pomyślałem — mówił dalej — że przyjmie pan owe szczegóły z radością, skoro ofiarowujesz pan pięćset funtów szterlingów za to, aby je poznać! Dlatego właśnie przyszedłem do pana.

Doktor skłonił się bez słowa.

— Na pewno — ciągnął nowo przybyły nosowym głosem — zastanawia się pan, kim ja jestem. A więc powiem to panu. Z mojego biletu wizytowego dowiedział się pan, że nazywam się Tudor Brown, poddany brytyjski.

— A może jest pan Irlandczykiem? — spytał doktor z zainteresowaniem.

Nieznajomy wyraźnie tym zaskoczony, zawahał się na chwilę, po czym rzekł:

— Nie, Szkotem. Wiem, że nie wyglądam na to i że wszyscy biorą mnie raczej za Jankesa. Ale to nie szkodzi, jestem Szkotem.

I podkreślając to twierdzenie patrzył na doktora Schwaryencronę, jakby chciał powiedzieć:

— Może pan sobie myśleć, co się panu podoba. Jest mi to całkiem obojętne.

— Czy z Inverness? — sugerował doktor wracając do swojego konika.

Nieznajomy znów się trochę zawahał.

— Nie, z Edynburga — odpowiedział. — Ale to nie ma znaczenia i w żaden sposób nie łączy się ze sprawą!... Jestem niezależny, mam majątek, nic nie jestem nikomu winny. Mówię panu, kim jestem, bo to sprawia mi przyjemność, ale nic mnie do tego nie zmusza!

— Pozwoli mi pan na uwagę, że wcale pana o to nie pytałem — powiedział doktor z uśmiechem.

— Nie. No cóż, niech mi pan więc nie przerywa, gdyż nigdy nie dotrzemy do końca. Zamieszcza pan ogłoszenia, żeby dowiedzieć się, co się stało z Patrickiem O'Donoghaniem, prawda?

A zatem potrzebuje pan tych, którzy to wiedzą!... A ja, pański rozmówca, wiem.

— Pan to wie? — spytał doktor przysuwając swój fotel do fotela nieznajomego.

— Wiem! Ale nim panu to powiem, muszę się dowiedzieć, jakie są motywy pańskich poszukiwań.

— Słusznie! — odparł doktor.

W paru słowach opowiedział dzieje Eryka, a gość doktora słuchał tego z ogromnym zainteresowaniem.

— I ten chłopiec żyje? — spytał Tudor Brown.

— Ależ tak! Zdrowie mu dopisuje, a w październiku rozpocznie studia medyczne na uniwersytecie w Uppsali.

— Oho, ho, ho — zakrzyknął nieznajomy, który zdawał się nad czymś zastanawiać. — Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy nie dysponuje pan innymi środkami, które mogłyby doprowadzić do wyświetlenia tajemnicy, spowijającej jego pochodzenie, aniżeli zwrócić się do Patricka O'Donoghana?

— Nie znam innych — odparł doktor. — Po długich poszukiwaniach doszedłem do tego punktu, że ów O'Donaghan znał tajemnicę i tylko on mógłby mi ją wyjawić, dlatego więc szukam go za pomocą ogłoszeń. Nie żywię zresztą wielkiej nadziei, by mi się tym sposobem powiodło.

— A to dlaczego?

— Gdyż przypuszczam, że O'Donaghan ma poważne racje, żeby się ukrywać. W konsekwencji jest mało prawdopodobne, żeby odpowiedział kiedykolwiek na moje ogłoszenia. Toteż zamierzam uciec się w niedalekiej przyszłości do innego sposobu. Mam jego rysopis, wiem, do jakich portów najchętniej zawija, i mam zamiar poszukiwać go w nich przez specjalnych agentów.

Doktor Schwaryencrona nie mówił tego bez zastanowienia. Mówił o tych sprawach z wyraźną intencją przekonania się, jakie wrażenie wywrą one na człowieku, którego miał przed sobą. Toteż zorientował się doskonale, mimo flegmatyczności pozorowanej przez nieznajomego, że powieki zadrżały mu, a kąciki ust ściągnęły się nagle na tej twarzy pozbawionej zarostu. Ale opanował się natychmiast.

— No cóż, doktorze — powiedział — jeśli pan nie posiadasz innych możliwości zdobycia

informacji co do odnalezienia Pa tricka O'Donoghana, to nigdy się nic nie dowiesz!... Patrick O'Donoghana nie żyje.

Choć ta wiadomość boleśnie ugodziła doktora, powieki nawet mu nie drgnęły i nadal bacznie obserwował swojego gościa, który mówił dalej:

— Martwy i pogrzebany, a raczej należy powiedzieć martwy i utopiony na głębokości trzydziestu sążni! Przypadek zrzucił, że ów człowiek, którego przeszłość wydaje mi się dość tajemnicza i na którego z tej właśnie racji zwróciłem uwagę, był przez trzy lata zatrudniony jako strażnik na bocianim gnieździe na moim jachcie "Albatros". Muszę panu powiedzieć, że mój jacht jest solidny i podróżuje na nim często przez siedem lub osiem miesięcy. Otóż jakieś trzy lata temu, kiedy staliśmy na trawersie Madery, strażnik z bocianiego gniazda Patrick O'Donoghana spadł do morza. Kazałem natychmiast spuścić na wodę łódź i szukano go tak dobrze, że w końcu odnaleziono. Otoczono go na pokładzie wszelkimi możliwymi staraniami. Ale było to daremne. O'Donoghana nie żył. Trzeba było zwrócić morzu zdobycz, którą próbowaliśmy mu wydrzeć!... Protokół tego wydarzenia został, rzecz naturalna, sporządzony w dzienniku pokładowym. Sądząc, że ten akt mógłby dla pana być użyteczny, kazałem sporządzić poświadczony odpis i przyniosłem go panu.

Mówiąc to pan Tudor Brown wyjął portfel, a z niego ćwiartkę papieru z ostemplowanymi znaczkami i podał ją doktorowi.

Ów przebiegł szybko wzrokiem ten dokument. Był to rzeczywiście wyciąg z dziennika pokładowego "Albatrosa" — którego właścicielem jest Tudor Brown — stanowiący akt zgonu marynarza Patricka O'Donoghana na trawersie wyspy Madery, poświadczony pod przysięgą przez dwóch wiarygodnych świadków jako zgodny z oryginałem i zarejestrowany w Londynie, w Somerset House, co uczynili komisarze jej królewskiej mości.

Ten akt miał rzeczywiście charakter dokumentu autentycznego. Ale sposób, w jaki docierał do rąk doktora, był tak osobliwy, że pan Schwaryencrona nie mógł powstrzymać się ze sformułowaniem głośno zdziwienia, które odczuwał. Zrobił to ze swoją zwykłą kurtuazją:

— Pozwoli pan, że zadam jedno pytanie, całkiem proste — rzekł do swojego gościa.

— Niech pan mówi, doktorze.

— Jak to się dzieje, że ma pan w kieszeni taki akt, gotowy, poświadczony jak należy i zalegalizowany?... I dlaczego pan mi go przyniósł?

— Jeśli się nie mylę, zadał mi pan dwa pytania — odparł Tudor Brown. — Odpowiem więc na każdy punkt osobno. Mam w kieszeni ten akt, gdyż spostrzegłszy dwa miesiące temu pańskie ogłoszenie i mogąc dostarczyć panu informacji, których pan potrzebuje, chciałem to zrobić w sposób kompletny i akuratywny na tyle, na ile to leży w moich możliwościach. Przyniosłem go panu, gdyż odwiedzając te okolice na pokładzie mojego żaglowca, uznałem za naturalne wręczyć panu ten świstek, żeby zaspokoić jednocześnie i pańską, i moją ciekawość.

Trudno było cokolwiek zarzucić temu rozumowaniu, toteż doktor nawiązał do konkluzji, jedynej, jaką powinien z tego wyciągnąć.

— Jest pan tu tutaj z "Albatrosem" — spytał żywo.

— Bez wątplenia.

— A czy ma pan na pokładzie jakichś marynarzy, którzy znali Patricka O'Donoghana?

— Nawet wielu.

— Czy pozwoli pan, abym z nimi porozmawiał?

— Tak długo, jak pan zechce! Czy chce pan pójść zaraz na pokład mojego okrętu?

— Jeśli pan nie ma co do tego zastrzeżeń?

— Żadnych! — powiedział nieznajomy wstając z miejsca. Pan Schwaryencrona dotknął dzwonka



i kazał podać sobie

podbitą futrem pelisę, laskę, kapelusz i wyszedł z Tudorem Brownem. Po pięciu minutach znaleźli się na nabrzeżu, gdzie był przycumowany "Albatros".

Przywitał ich stary wilk morski o czerwonej twarzy, szpakowatych bokobrodach i szczerym, lojalnym spojrzeniu.

— Panie Ward, oto dżentelmen, który pragnie zostać poinformowany o losie Patricka O'Donoghana — rzekł Tudor Brown podchodząc do marynarza.

— Patrick O'Donohan!... — powtórzył stary marynarz. — Los powierzył jego duszę Bogu! Zadał nam spoxo trudu, kiedy na trawersie wyspy Madera wyławialiśmy go z wody. I to daremnie, skoro i tak trzeba go było zwrócić rybom!

— Czy pan znał go od dawna? — spytał doktor.

— Tego rekina?... Na honor, o nie. Od roku, a może dwóch! Wydaje mi się, że najęliśmy go w Zanzibarze. Prawda, Tomie Duff?

— Kto mnie woła? — spytał młody marynarz ogromnie zajęty polerowaniem mosiężnej gałki przy poręczy schodów.

— To ja! — odkrzyknął stary. — Prawda, że to w Zanzibarze zwerbowałeś Patricka O'Donoghana?

— Patricka O'Donoghana? — powtórzył marynarz, jakby pamięć mu nie dopisywała. — A tak, przypominam sobie... To ten majtek, który wpadł do wody na trawersie Madery! Tak, panie Ward, to prawda, że przyszedł do nas w Zanzibarze!

Doktor Schwaryencrona poprosił, aby opisano mu wygląd Patricka O'Donoghana, który, jak się okazało, był identyczny z rysopisem, jaki znał Wszyscy ci ludzie wydawali się uczciwi i szczerzy, Na ich twarzach malowała się otwartość i naiwność. Ich identyczne, w treści odpowiedzi mogły wydawać się czymś osobliwym i ukartowanym. Ale koniec końcem czyż nie były one konsekwencją pewnych faktów? Znając Patricka O'Donoghana najwyżej rok przypominali sobie tylko jego wygląd i jego śmierć, nie mogąc tedy wiele o nim wiedzieć, mówili tylko to, co wiedzieli.

Ponadto "Albatros" był doskonale utrzymany i gdyby miał parę armat, mógłby uchodzić za okręt wojenny. Wzorowa czystość panowała na pokładzie. Ludzie z załogi doskonale wyglądali, byli dobrze ubrani i wyjątkowo zdyscyplinowani, mogli bowiem jednym susem znaleźć się na lądzie zamiast trwać na posterunku. Krótko mówiąc, wszystko to budziło zaufanie i oddziaływało na umysł doktora.

Oświadczył więc, że jest całkowicie usatysfakcjonowany i ulegając chęci poświęcenia się czy też nawykowi gościnności nie odszedł nie zaprosiwszy wprzód na uroczysty obiad pana Tudora Browna, który przechadzał się po mostku kapitańskim, pogwizdując znaną tylko jemu melodię.

Ale pan Tudor Brown nie uznał za stosowne przyjąć zaproszenia. Odmówił w ten oto kurtuazyjny sposób:

— Nie, nie da rady... Nie jadam nigdy w mieście!

Nie pozostało więc panu Schwaryencronie nic innego jak odejść. Tak też uczynił, ale jego osobliwy gospodarz nie raczył nawet uchylić kapelusza na znak pożegnania.

Pan Schwaryencrona uznał za najpilniejsze opowiedzieć tę przygodę panu Bredejordowi, który wysłuchał relacji nie pisnąwszy ani słowa, przyobiecując wszakże sobie w duchu przeprowadzić dochodzenie na własną rękę.

Lecz kiedy spróbował jeszcze tego samego dnia je rozpocząć wraz z Erykiem, który dowiedział się o tym wszystkim wróciwszy ze szkoły na obiad, natknął się na przeszkodę. "Albatros" opuścił Sztokholm, nie oznajmiwszy nikomu, gdzie się udaje, ani nie pozostawiwszy adresu pana Tudora

Browna.

Jedyną rzeczą, jaka pozostała po tej całej sprawie, był akt zgonu Patricka O'Donoghana, poświadczony należycie.

Czy ten akt miał jakąś rzeczywistą wartość? Pan Bredejord pozwalał sobie w to wątpić mimo zapewnień angielskiego konsula generalnego w Sztokholmie co do autentyczności pieczęci i podpisów złożonych na dokumencie. Kazał tedy zasięgnąć informacji w Edynburgu, gdzie, jak się okazało, nikt nie znał Tudora Browna, co wydało się podejrzane.

Ale faktem niezaprzeczalnym, wobec którego wszelki sprzeciw musiał stopniowo wygasnąć było to, że nikt już ani nie wspomniał o Patricku O'Donoghane, a następne ogłoszenia nie dały żadnego rezultatu.

Otóż skoro Patrick O'Donoghane zniknął na zawsze, nie ostała się najmniejsza nadzieja, by przyjaciele Eryka zdołali przedrzeć się przez mroki tajemnicy spowijającej jego narodziny. On sam na to przystał i uznał za konieczne zrezygnować z dalszych, bezprzedmiotowych już poszukiwań. Toteż najbliższej jesieni nie stawiał już żadnego oporu przed rozpoczęciem studiów medycznych w Uppsali, czego życzył sobie doktor. Pragnął jedynie zdać przedtem egzamin na kapitana długich rejsów. A to wystarczająco potwierdzało, że nie zrezygnował bynajmniej z dalekich podróży.

Bo też w jego sercu zagościła troska, troska dopiekająca, na którą nie potrafił znaleźć innej rady aniżeli ruch i podniecenie towarzyszące wielkim przygodom. Doktor ani się domyślał, że Eryk pragnął znaleźć pretekst umożliwiający mu opuszczenie obecnego jego domu, gdy tylko ukończy studia, a tego pretekstu nie mógł znaleźć gdzie indziej niżli w zaplanowanych z góry podróżach. Przyczyną tego pragnienia była coraz wyraźniejsza niechęć froken Kajsy, bratanicy doktora, która nie pomijała żadnej sposobności, by mu ją okazać, a Eryk za żadną cenę nie pozwoliłby się tego domyślić doktorowi o złotym sercu.

Jego stosunki z młodą panią zawsze były bardzo osobliwe. W oczach Eryka zarówno pierwszego dnia po jego przybyciu do Sztokholmu, jak i teraz, po siedmiu latach, mała wróżka pozostała wzorem najwyższej elegancji i wszelkich doskonałości życia światowego. Darzył ją bezgranicznym zachwytem i czynił bohaterskie wysiłki, by zostać jej przyjacielem. Lecz Kajsa nigdy nie przywykła do obecności "intruza" — jak go nazywała — w domu doktora, do tego, że traktowano go tu jak przybranego syna i że stał się ulubieńcem trzech przyjaciół. Sukcesy szkolne Eryka, jego dobroć, łagodność zamiast zyskać u niej łaskę, stawały się powodami do zazdrości. W gruncie rzeczy Kajsa nie mogła wybaczyć młodzieńcowi, że jest tylko rybakiem i chłopem. Wydawało jej się, że to spychało dom i ją samą z wysokiego stopnia drabiny społecznej, na jakim się z upodobaniem znajdowała.

Ale kiedy dowiedziała się, że Eryk był czymś jeszcze lichszym od chłopca — mianowicie znajdują — rzeczy potoczyły się jeszcze inaczej. Uznała to po prostu za rzecz monstrualną i sromotną. Była bliska tego, by uznać, że dziecko znalezione zajmuje w hierarchii istot miejsce jeszcze pośledniejsze od kota lub psa. I te uczucia przejawiały się u niej atakami najbardziej pogardliwych spojrzeń, najbardziej upokarzającego milczenia, obelgami najokrutniejszymi. Gdy zaproszono Eryka na spotkanie młodzieży w zaprzyjaźnionym domu — odmawiała stanowczo tańczenia z nim. Przy stole nie odpowiadała na jego słowa i zupełnie się z nim nie liczyła. Ileż to zadawała sobie trudu, żeby go upokorzyć przy każdej sposobności!

Biedny Eryk odgadł przyczyny tego niemiłosiernego zachowania się. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego to nieszczęście, które go spotkało, że nie znał ani swoich rodziców, ani ojczyzny, mogło się stać zarzutem przeciw niemu. Pewnego dnia próbował o tym pomówić z Kajsą, przedstawić jej niesprawiedliwość i okrucieństwo tego rodzaju przesądów; ale nie chciała go nawet wysłuchać. Im

bardziej dorastali, tym bardziej powiększała się dzieląca ich przepaść. W osiemnastym roku życia Kajsza została wprowadzona w świat. Rozpieszczano ją w przekonaniu, że jest zrobiona z innej mąki aniżeli zwykli śmiertelnicy.

Eryk początkowo ogromnie zmartwiony tą pogardą, zaczął się na Kajsę na koniec oburzać i przysięgać sobie, że zatryumfuje nad panną. Świadomość, że doznaje stale upokorzeń, miała nawet ogromny wpływ na jego zaciekłość w nauce. Marzył o tym, że dzięki pracy pozyska tak ogromny szacunek, iż każdy będzie musiał przed nim się skłonić. Ale przyrzekał też sobie, że wyjedzie przy pierwszej nadarzającej się sposobności i nie pozostanie pod tym dachem, pod którym każdy dzień słał mu nowe upokorzenia. Chodziło jednak o to, aby zacny doktor nie domyślił się przyczyn odjazdu. Trzeba było, aby przypisywał wyjazd Eryka wyłącznie zamiłowaniu do podróży i właśnie dlatego Erk mówił często, że ukończywszy studia weźmie udział w jakiejś ekspedycji naukowej. Dlatego również kształcąc się w Uppsali na uczelni medycznej, przygotowywał się ciężkimi pracami i ćwiczeniami do życia pełnego trudów i niebezpieczeństw, będących udziałem wielkich podróżników.

# ROZDZIAŁ XI

## PISZĄ NAM Z "VEGI"

Był to grudzień roku 1878. Eryk osiągnął dwudziesty rok życia i był już po pierwszym egzaminie doktoranckim. Jedyną sprawą najżywiej zajmującą uwagę całej Szwecji naukowej, a nawet, rzekłbym, uczonych całego świata, była wielka arktyczna wyprawa żeglarza Nordenskjölda. Przygotowawszy swoją wyprawę wieloma podróżami w regiony polarne, przestudiowawszy do głębi wszelkie dane dotyczące tego problemu, Nordenskjöld próbował jeszcze raz odkryć północną drogę morską z zachodu na wschód, z Atlantyku na Pacyfik, co od trzech stuleci okazywało się daremne mimo wysiłków wszystkich potęg morskich.

Program tej ekspedycji szwedzki nawigator nakreślił w rozprawie magisterskiej, gdzie uzasadnił przesłanki, które skłaniały go do twierdzenia, że północna droga morska z zachodu na wschód była latem przejezdna, podał też środki, dzięki którym miał nadzieję zrealizować owo desideratum geograficzne. Rozumna hojność dwóch armatorów skandynawskich i pomoc rządu szwedzkiego pozwoliły mu zorganizować ekspedycję w warunkach obiecujących sukces.

21 lipca Nordenskjöld opuścił Tromsø na pokładzie "Vegi", zamierzając dotrzeć do Cieśniny Beringa od strony północnej Rosji i Syberii. Porucznik Palanders z marynarki szwedzkiej dowodził okrętem, na pokładzie którego znajdował się oprócz dowódcy i inspiratora wyprawy cały sztab botaników, geologów, lekarzy i astronomów. "Vega" specjalnie przystosowana do wyprawy według planów samego Nordenskjölda, niedawno zbudowana w Bremie, była okrętem pięciusettyśięcznotonowym, za opatrzonym w motor o sile sześćdziesięciu koni, Trzy frachtowce na węgiel miały jej towarzyszyć aż do kolejnych, określonych z góry miejsc na wybrzeżu syberyjskim. Wszystko było przewidziane na dwuletnią wyprawę, gdyby się okazało, że wypadnie zimować w drodze. Ale Nordenskjöld liczył, opierając się na swych pomiarach, że przed nastaniem jesieni dotrze do Cieśniny Beringa, a cała Szwecja podzielała jego nadzieje.

Wyruszywszy z portu położonego w najbardziej północnym punkcie Norwegii, "Vega" dotarła 29 lipca do Nowej Ziemi, 1 sierpnia do Morza Karskiego, 6 sierpnia do ujścia Jeniseju, 9 sierpnia opłynęła przylądek Czeluskm, czyli północno-wschodni punki starego kontynentu najdalej wysunięty na północ, którego żaden jeszcze okręt nie dosięgnął. 7 września zarzuciła kotwicę przy ujściu Leny i rozstała się z ostatnim frachtowcem węglowym, a 16 października depesza nadana w Irkucku przez ten właśnie okręt obwieszczała światu powodzenie pierwszej części wyprawy.

Łatwo się domyślić, z jaką niecierpliwością liczni przyjaciele wielkiego szwedzkiego podróżnika oczekiwali szczegółów tej wyprawy. Owe szczegóły nadeszły dopiero w pierwszych dniach grudnia. Listy z "Vegi", nadane wraz z depeszą w Irkucku, wędrowały przeszło sześć tygodni do Sztokholmu. Ale dotarły w końcu tutaj i począwszy od 5 grudnia jeden z wielkich dzienników szwedzkich publikował korespondencję dotyczącą pierwszej części podróży, którą zawdzięczamy pióru pewnego młodego lekarza, biorącego udział w ekspedycji.

Tego właśnie dnia pan mecenas Bredejord jedząc śniadanie przeglądał z żywym zainteresowaniem szczegóły podane na czterech kolumnach, kiedy jego oczy spoczęły na pewnym akapicie, od którego treści aż cały drgnął. Przeczytał go jeszcze raz uważnie i jeszcze raz, po czym zerwawszy się nagle skoczył po futro, i kapelusz, i jednym susem znalazł się u doktora Schwaryencrony.

— Czy przeczytałeś, przyjacielu, korespondencję z "Vegi"? — zakrzyknął wpadając jak huragan

do matsal, gdzie doktor jadł z Kajsą śniadanie.

— Zacząłem dopiero czytać — odpowiedział doktor — i zamierzałem dokończyć artykuł za chwilę, dmuchając w fajeczkę.

— A więc nie widziałeś pan, co zawiera ta korespondencja? — ciągnął pan Bredejord bez tchu.

— Nie — odpowiedział doktor Schwaryencrona z całkowitym spokojem.

— A więc posłuchaj pan tego — powiedział pan Bredejord podchodząc do okna... — To dziennik jednego z pańskich kolegów, przyrodnika znajdującego się na pokładzie "Vegi"... Posłuchaj pan:

"30—31 lipca. Wchodzimy w cieśninę Jugorski Szar i rzucaamy kotwicę w pobliżu samojedzkiej wsi zwanej Chabarowo. Schodzimy na ląd. Badamy paru tubylców, by sprawdzić za pomocą metody Holmgrena rozległość ich świadomości koloru. Stwierdzamy tę ujemną zdolność jako normalnie u nich rozwiniętą... Kupujemy od samojedzkiego rybaka dwa wspaniałe łososie".

— Przepraszam — powiedział z uśmiechem doktor. — Czy to jakaś szarada? Wyznaję, że te szczegóły mnie specjalnie nie interesują.

— Nie interesują cię, przyjacielu! — zakrzyknął pan Bredejord tryumfalnym tonem. — No cóż, poczekaj trochę, a zobaczysz...

"Kupujemy od samojedzkiego rybaka dwa wspaniałe łososie, nie opisanego dotychczas gatunku, które mimo protestów naszego kucharza (mistrza patelni) przeznaczyłem do kadzi z alkoholem. Wypadek: ten rybak wpada do wody opuszczając okręt w momencie, kiedy mieliśmy ruszyć. Wyłowiono go prawie uduszonego, sztywnego od mrozu jak żelazna sztaba i ponadto z raną na głowie. Przeniesiono go nadal nieprzytomnego do infirmerii "Vegi", rozebrano i położono: wtedy okazało się, że ten rybak samojedzki jest Europejczykiem. Ma rude włosy, nos zmiądzony w jakimś wypadku, a na piersi, na wysokości serca ma wytatuowane na tarczy następujące słowa: Patrick O'Donoghon, "Cynthia"..."

W tym momencie doktor Schwaryencrona wydał okrzyk zdumienia.

— Zaczekaj, mój drogi, oto dalszy ciąg — powiedział pan Bredejord.

I czytał dalej:

"Pod działaniem energicznego masażu wrócił do życia, ale nie sposób było go przetransportować na ląd w tym stanie. Zatrzymaliśmy go. Ma gorączkę i bredzi. Oto nasze doświadczenia w sprawie rozpoznawalności kolorów u Samojedów osobliwie obrócone wniwecz.

3 sierpnia. Rybak ze wsi Chabarowo całkiem powrócił do sił. Wydał się zdziwiony tym, że znajduje się na pokładzie "Vegi" zdążającej do przylądka Czeluskin, ale wkrótce się z tym pogodził. Jego znajomość języka samojedzkiego mogła się nam przydać, namówiliśmy go więc, by opłynął wraz z nami wybrzeża Syberii. Mówi po angielsku z nosowym akcentem Jankesów, utrzymuje, że jest Szkotem i że nazywa się Johny Bowles. Przybył na Nową Ziemię wraz z rosyjskimi rybakami i zamieszkuje od dwunastu lat te okolice. Nazwisko wytatuowane na jego piersi, powiada, to nazwisko przyjaciela z dzieciństwa zmarłego już bardzo dawno temu".

— Jest to oczywista nasz człowiek! — zawołał doktor pod wpływem ogromnej emocji.

— A więc naprawdę nie może tu być wątpliwości — wtrącił mecenas. — Nazwisko, okręt, rysopis — wszystko tu jest. Także wybór pseudonimu — Johny Bowles, a nawet skwapliwe potwierdzenie faktu, że Patrick O'Donoghon jest martwy — czyż to nie nadmiar dowodów!

I obaj zamilkli zastanawiając się nad konsekwencjami, jakie mogłyby wyniknąć z owej relacji.

— Jak po niego jechać tak daleko? — ozwał się wreszcie doktor.

— Istotnie, to bardzo trudne — odparł pan Bredejord. — Ale skoro wiemy, że on istnieje i w jakiej części świata się znajduje — to już jest coś! Ponadto należy liczyć na przypadek... Kto wie,

czy do końca nie pozostanie na pokładzie "Vegi" i nie przywiezie nam do samego Sztokholmu wyjaśnień, jakich pragniemy! W przeciwnym razie może prędzej czy później znajdziemy sposobność porozumienia się z nim? Podróże do Nowej Ziemi staną się częstsze w następstwie wyprawy Nordenskjölda. Armatorzy rozprawiają już o tym, że co rok będą wysyłać okręty do ujścia Jeniseju.

Rozmowa na ten temat mogła nie mieć końca. Dwaj przyjaciele omawiali go jeszcze, gdy o drugiej Eryk wrócił z Uppsali. On też przeczytał wielką nowinę i wszedł do pociągu nie zwlekając ani chwili. Ale, rzecz osobliwa, zamiast odczuwać radość, Uległ dręczącemu go niepokojowi

— Czy wiecie, panowie, czego się teraz obawiam? — rzekł do doktora i pana Bredejorda. — Boję się, że jakieś nieszczęście przytrafiło się "Vedze". Jeśli pomyślimy, że mamy już 5 grudnia, a dowództwo ekspedycji liczyło na to, że przed upływem października .."Vega" dotrze do Cieśniny Beringa!... Gdyby te przewidywania spełniły się, wiedzielibyśmy już teraz o tym,

gdyż okręt znajdowałby się od dawna w Japonii albo przynajmniej w Pietropawłowsku Kamczatskim czy u wybrzeży Wysp Aleuckich lub też na jakimś postoju na Oceanie Spokojnym, skąd nadeszłyby do nas wiadomości!... Otóż depesze i listy.

z Irkucka są datowane 7 września, czyli już od pełnych trzech miesięcy nie wiadomo, co się stało z "Vegą"... To znaczy, że nie dotarła ona do Cieśniny Beringa..., że podzieliła los wszystkich wypraw podejmowanych od trzech stuleci dla odkrycia szlaku wodnego północno-wschodniego! Taką oto konkluzja mi się narzuca!

— "Vega" może musiała zimować wśród lodów, jak przewidywano z góry — zaprotestował doktor.

— Oczywiście, ale to nie najpomyślniejsza z hipotez; takie zimowanie jest tak niebezpieczne, że niemal równoznaczne z zatonięciem. W każdym razie jedno jest pewne: nie uzyskamy nowin z "Vegi" przed nadejściem lata.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że jeśli nawet "Vega" nie zatонуła, jest obecnie ujęta w okowy lodu i nawet w najlepszym wypadku nie będzie mogła wyruszyć dalej przed nadejściem czerwca lub lipca.

— To prawda — wtrącił pan Bredejord.

— Jaki wniosek wysnuwasz z tego rozumowania, — spytał doktor, zaniepokojony urywanymi zdaniem, które wypowiedział Eryk.

— Wniosek jest taki, że nie mogę czekać do lata na wiadomość tak wielkiej dla mnie wagi!...

— Co zamierzasz uczynić? Trzeba podporządkować się temu, co nieuniknione!....

— Nie wtedy, kiedy owa nieuniknioność jest tylko pozorna! — odparł Eryk. — Listy przybyły tutaj arktycznym szlakiem poprzez Irkuck! Czemuż ja nie miałbym wyruszyć tą samą drogą!... Będę płynął wzdłuż wybrzeży Syberii!... Będę się starał wywiedzieć u tubylców, czy nie słyszeli o zatopionym lub uwięzionym w lodach okręcie! Może odnajdę Nordenskjölda... i Patricka O'Donoghana!... To przedsięwzięcie, na które warto się pokusić!

— W środku zimy?

— A czemu nie? To pora stosowna do podróżowania sankami na tej szerokości geograficznej.

— Zapominasz jednak o tym, że nie znajdujesz się jeszcze na tych szerokościach geograficznych, a wiosna nadejdzie tam szybko.

— To prawda — rzekł Eryk zmuszony uznać moc tego za strzeżenia.

I trwał nieruchomo z bezami wbitymi w podłogę, pogrążony w swoich myślach.

— No cóż, to bez znaczenia! — powiedział nagle. — Nordenskjöld, a wraz z nim Patrick O'Donoghana, muszą zostać odnalezieni!... I zostaną, jeśli to tylko będzie zależało ode mnie!...

Pomysł Eryka był bardzo prosty. Należy zamieścić w sztokholmskich dziennikach nie podpisaną

własnym imieniem notatkę o prawdopodobnym losie "Vegi": albo okręt zatonął; albo uwiązł w lodach. We wniosku wspomnieć należało o konieczności wszczęcia poszukiwań.

Zainteresowanie wyprawą Nordenskjölda było tak powszechne, że młody student ze Sztokholmu mógł być pewien reakcji na tę zwięzłą informację. Ale rezultat zamieszczenia tej notatki przeszedł jego oczekiwania. Wszystkie dzienniki komentowały ją i popierały. Grono uczonych oraz cała ludność wzięły ją sobie do serca. Opinia publiczna wypowiedziała się z niebywałą jednomyślnością na rzecz zorganizowania ekspedycji ratunkowej. Utworzyły się komitety, rozprzestrzeniły się subskrypcje zmierzające do jej przygotowania. Handel, przemysł, szkoły, sądownictwo, wszystkie klasy społeczne chciały uczestniczyć w tym przedsięwzięciu. Pewien bogaty armator postanowił wyekwipować na własny koszt okręt, który popłynąłby śladami "Vegi" i który nazywałby się "Nordenskjöld".

Entuzjazm wzrastał w miarę, jak upływały dni pozbawione wiadomości od Nordenskjölda. Pod koniec grudnia wpłacane sumy osiągnęły znaczną wartość. Doktor Schwaryencrona oraz pan Bredejord znaleźli się na czele listy ofiarowując po dziesięć tysięcy kronerów. Weszli też w skład dyrekcji komitetu, który wybrał Eryka na sekretarza.

Stał się on jego duszą. Zapał, skromność, kompetencja Ujawniająca się we wszystkich zagadnieniach, które dotyczyły przedsięwzięcia, a które studiował i badał bez wytchnienia, zapewniły Erykowi niebawem decydujący wpływ. Już od pierwszego dnia rozpowszechniał wieść o swoim marzeniu, że pragnie wziąć udział w ekspedycji, choćby jako prosty marynarz, gdyż leży to w wielkiej wagi jego interesie osobistym; to wszystko przydało znaczenia znakomitym pomysłom, jakie Eryk podsuwał organizatorom przedsięwzięcia, osobiście też kierował wszelkimi pracami przygotowawczymi.

Najpierw ustalono, że do "Nordenskjölda, zostanie dołączony drugi okręt, aby poszukiwania były pełne, i że okręt ten będzie parowcem tak jak "Vega". Sam Nordenskjöld udowodnił, że główną przyczyną dotychczasowych niepowodzeń było używanie do tych ekspedycji okrętów żaglowych. Podróżnicy arktyczni, zwłaszcza w czasie wypraw badawczych, nie powinni być uzależnieni od wiatru, trzeba, żeby mogli liczyć na średnią szybkość, a w razie potrzeby przyspieszyć ją w celu przebycia niebezpiecznych przestrzeni, na koniec by zawsze było możliwe wypływanie na wody wolne od lodu, gdziekolwiek by się one znajdowały — słowem wszystko to, co nie jest dostępne dla żagli.

Ustaliwszy ten zasadniczy punkt zdecydowano ponadto, że okręt zostanie oszalowany deskami z wiązowca, grubymi na sześć cali, i podzielony na oddzielne pomieszczenia, co uchroni go od awarii, jakie mogą spowodować uderzenia lodu; że będzie miał małe zanurzenie; że zostanie urządzony tak, aby mógł pomieścić stosunkowo dużą ilość węgla.

Spośród ofert, jakie złożono komitetowi, wybrano szkuner pięćsetczterdziestotonowy, zbudowany dopiero co w Bremie, który osiemnaście osób załogi mogło z łatwością obsłużyć. Ten szkuner oprócz omasztowania miał maszynę parową o mocy osiemdziesięciu koni oraz śrubę umocowaną tak, aby można było ją wciągnąć na pokład, gdyby kry lodowe jej zagroziły. Palenisko jednego z kotłów zostało przystosowane do spalania oliwy lub tłuszczu, w który łatwo można się zaopatrzyć w regionach arktycznych, gdyby zabrakło węgla. Rufa osłonięta oszalowaniem dębowym została jeszcze wzmocniona poprzecznymi belkami, aby mogła stawić większy opór naciskowi lodu. Na koniec dziób okrętu został opancerzony blachą i uzbrojony stalową klingą, która miała ułatwić mu torowanie sobie drogi nawet poprzez lodowe ławice, jeśli ich grubość nie będzie przekraczała głębokości zanurzenia okrętu.

Szkuner, kupiony i odstawiony do warsztatu okrętowego otrzymał nazwę "Alaska", z racji

kierunku jego pierwszego rejsu. Postanowiono bowiem, iż "Nordenskjöld" wyruszający tą samą drogą, jaką obrała "Vega", spotka się z "Alaską", która opłynie świat dookoła kursem przeciwnym, by dotrzeć do Morza Wschodniosyberyjskiego przez Alaskę i Cieśninę Beringa. Szanse odnalezienia szwedzkiej ekspedycji, jeśli popadła w tarapaty, lub jej śladów, gdyby statek uległ katastrofie, będą w ten sposób niejako podwojone, ponieważ pierwszy z okrętów popłynie śladem "Vegi", drugi zaś wyjdzie jej niejako naprzeciw.

Eryk, któremu zawdzięczano ten znakomity pomysł, zastanawiał się wielokrotnie, której z dwóch dróg dać pierwszeństwo, i w końcu opowiedział się za drugą.

"Nordenskjöld" — pomyślał — podąży tą samą drogą co "Vega". Jest zatem nieodzowne, żeby dopisywało mu takie samo szczęście jak "Vedze" w pierwszej części jej trasy, choćby na tyle, by zdołać opłynąć przylądek Czeluskin, a nic nie świadczy o tym, że zdoła dotrzeć aż tak daleko, taki bowiem rezultat osiągnięto dopiero raz. Z drugiej zaś strony według ostatnich doniesień "Vega" znajdowała się najwyżej o dwieście lub trzysta mil od Cieśniny Beringa, a zatem najwięcej szans spotkania jej będzie miał ten, kto popłynie naprzeciw temu okrętowi. "Nordenskjöld" będzie być może płynął za nią przez wiele miesięcy, nie mogąc do niej dotrzeć, jeśli nawet rzeczy przybiorą najlepszy obrót. Ci co podążą w przeciwnym kierunku, muszą ją spotkać, jeśli jeszcze istnieje, gdyż opływa ona wybrzeża Syberii.

Otóż dla Eryka najważniejszą sprawą było spotkanie "Vegi" jak najwcześniej, aby zetknąć się z Patrickiem O'Donoghaneem również jak najszybciej.

Doktor i pan Bredejord zaakceptowali w całości te argumenty, które zostały im przedstawione.

Tymczasem prace nad przygotowaniem "Alaski" do podróży posuwały się wyraźnie naprzód: zaopatrzenie, żywność, odzież wybrano zgodnie z zasadami usankcjonowania przez doświadczenie; załoga składała się z doborowych marynarzy, nawykłych do chłodu dzięki połowom w pobliżu Islandii lub Grenlandii. Wreszcie dowódcą okrętu został obrany przez komitet oficer szwedzkiej marynarki, obecnie będący w służbie jednej z agencji morskich i szeroko znany z racji swoich podróży na morza Arktyki, porucznik Marsilas. Jego pierwszym oficerem miał zostać Eryk, przeznaczony na to stanowisko dzięki energii, z jaką organizował przedsięwzięcie, oraz jako kapitan długich rejsów; drugim i trzecim oficerem wybrano dwóch doświadczonych marynarzy, panów Bosewitza i Kjellquista.

"Alaska" miała zabrać w drogę materiały wybuchowe, by w razie potrzeby rozsadzać lód, oraz obfite zapasy konserw antyszkorbutowych, aby skutecznie walczyć z chorobami panującymi w rejonach arktycznych. Zaopatrzone ją w kaloryfer, aby można było utrzymać na każdej szerokości geograficznej łagodną i jednakową temperaturę, oraz owo przenośne obserwatorium, zwane bocianim gniazdem, które wciąga się na wierzchołek wielkiego masztu w rejonach pływającej kry, by otrzymywać sygnały zbliżania się gór lodowych. Na propozycję Eryka owo obserwatorium wyposażono w silną latarnię, zasilaną elektrycznością przez maszynę okrętu, oświetlającą w nocy drogę "Alaski". Na okręcie umieszczono siedem dodatkowych łodzi, w tym dwie wielorybnicze i jeden parowy kuter, oraz cztery armatki Gattlinga, trzydzieści fuzji dwustrzałowych i stosowną amunicję, a także sześć sani i po parze butów na śnieg dla każdego członka załogi.

Przygotowania dobiegły końca, kiedy maaster Hersebom i jego syn Otto, którzy przybyli z Nora wraz z ich wielkim psem

Klaasem, poprosili o zaszczyt przyjęcia na pokład "Alaski" jako marynarzy. Dowiedzieli się z listu Eryka, że podróż ta była dla niego sprawą osobistą i postanowili dzielić z nim wszelkie niebezpieczeństwa. Maaster Hersebom podkreślał swoją znajomość okolic Grenlandii oraz użyteczność psa jako dowódcy zaprzęgu sań. Otto mógł jedynie wychwalać swoje znakomite



zdrowie, herkulesową siłę i oddanie sprawie. Dzięki poparciu doktora i pana Bredejorda wszyscy trzej zostali przyjęci przez komitet. Z początkiem 1879 roku wszystko było gotowe. "Alaska" miała całe pięć miesięcy czasu na dotarcie do Cieśniny Beringa pod koniec czerwca, w okresie najbardziej sprzyjającym tej ekspedycji poszukiwawczej. Miała się tam zresztą udać najprostszą drogą, to znaczy przez Morze Śródziemne, Kanał Sueski, Ocean Indyjski, morza opływające wybrzeża Chin, zatrzymując sidr kolejno dla załadowania węgla w Gibraltarze, Adenie, Kolombo na Cejlonie, Singapurze, Hongkongu, w Jokohamie i w Pietropawłowsku Kamczatskim.

Ze wszystkich tych postojów "Alaska" miała telegrafować do Sztokholmu; ustalono również, iż gdyby w tym czasie otrzymano tam jakieś wieści z "Vegi", zostałyby one przekazane jak najszybciej na "Alaskę".

Podróż "Alaski", przewidziana jako wyprawa arktyczna, miała jednak rozpocząć się przebywaniem mórz tropikalnych i opływaniem kontynentów najbardziej uprzywilejowanych, jeśli idzie o słońce. Taki program nie został wytyczony dla przyjemności; był rezultatem bezwzględnej konieczności, gdyż należało dotrzeć do Cieśniny Beringa drogą najkrótszą, pozostając jak najdłużej w stałej komunikacji telegraficznej ze Sztokholmem.

Ale pewna trudność groziła opóźnieniem wyjazdu. Tak starannie wyposażono okręt, że brak zasobów pieniężnych zagrażał przedsięwzięciu samej ekspedycji. Należało oczywiście liczyć się z koniecznością zakupu poważnych ilości węgla oraz innymi kosztami. Ogłoszono nowy apel do społeczeństwa; drugiego lutego komitet został ogromnie poruszony dwiema poleconymi przesyłkami, które nadeszły jednocześnie.

Pierwsza pochodziła od pana Malariusza, nauczyciela szkoły w Nora, laureata nagrody Towarzystwa Botanicznego. Zawierała banknot opiewający na sto koron i prośbę o przyjęcie na pokład "Alaski" w charakterze pomocnika botanicznego.

Druga zawierała czek na dwadzieścia pięć tysięcy koronerów i ową lakoniczną notatkę:

"Na podróż «Alaski»

Od pana Tudora Browna, pod, warunkiem, że zostanie on przyjęty jako pasażer",

# ROZDZIAŁ XII

## NIEPRZEWIDZIANI PASAŻEROWIE

Prośba pana Malariususa miała charakter nazbyt wzruszający, by nie została przyjęta jak najłaskawiej przez dyrekcję komitetu. Została tedy przegłosowana z entuzjazmem i czcigodny nauczyciel, którego sława jako botanika była o wiele bardziej rozpowszechniona, niżeli sam Się tego domyślał, został mianowany pomocnikiem-przyrodnikiem ekspedycji.

Jeśli zaś idzie ó warunek postawiony przez Tudora Browna na odwrocie owych dwudziestu pięciu tysięcy kronerów, doktor Schwaryencrona i pan Bredejord mieli z początku wielką ochotę go odrzucić. Ale kiedy przyszła wyjawić motywy ich niechęci, poczuli się wielce zakłopotani. Jaki powód podać komitetowi, by odrzucił wpłatę aż tak poważną? Drugiej takiej nie było. Tudor Brown przyniósł wprawdzie akt zgonu. Patricka O'Donoghana, a teraz okazało się, że Patrick O'Donoghana żyje, ale gdzie dowód, że Tudor Brown uczynił to w złej wierze — o to właśnie komitet zapyta, i słusznie, zanim odrzuci tak potrzebną sumę. Tudor Brown może twierdzić, że działał w dobrej wierze. Jego obecny postępek" wydawał się tego dowodzić. Kto wie, czy jego celem nie było wyłącznie sprawdzenie, jakim sposobem Patrick O'Donoghana, który, jak był tego pewien, utopił się na trawersie Madery, znajdował się teraz na syberyjskim wybrzeżu. Podejrzewając nawet, że Tudor Brown ma jakieś inne projekty, lepiej było mieć na niego oko, poznać go, mieć go stałe pod ręką. Z dwóch rzeczy jedna tylko mogła być pewna albo nie miał on nic wspólnego z dochodzeniem, którym od tak dawna zajmowali się przyjaciele Eryka, i wówczas nie należało go mieć za przeciwnika; albo też, przeciwnie, był on zaangażowany osobiście w tę tajemniczą sprawę i wówczas o wiele lepiej było patrzeć, jak sobie poczyna, by tym łatwiej go pokonać.

Doktor i pan Bredejord zaczęli więc od tego, że nie sprzeciwili się zaokrętowaniu Tudora Browna, po czym stopniowo ogarniała ich chęć przyjrzenia się osobiście temu dziwnemu mężczyźnie. Zapragnęli dowiedzieć się, dlaczego ma zamiar wziąć udział w podróży "Alaski". No a jak do tego dojść nie wsiadłszy również na ten okręt? Rejs "Alaski" był nad wyraz pociągający, przynajmniej w swojej pierwszej części. Krótko mówiąc doktor Schwaryencrona, wielki amator podróży, poprosił, aby przyjęto go na pokład jako pasażera, choćby tylko po to, by towarzyszyć ekspedycji aż na Morze Południowochińskie, zapłaciwszy za ta tyle, ile komitet uzna za słuszne.

Jego przykład podziałał z nieprzepartą siłą na pana Bredejorda, który od dawna marzył o podróży do ciepłych krajów. I on również poprosił o kabinę na tych samych warunkach.

Cały Sztokholm był teraz pewien, że profesor Hochstedt postąpi tak samo, zarówno przez ciekawość naukowca, jak też dlatego, że nie zdoła się obejść bez przyjaciół przez tak długie miesiące. Ale oczekiwania Sztokholmu spełzły na niczym. Jakkolwiek profesor miał ogromną chęć na tę podróż, tak długo rozważał wszystkie za i przeciw, że nie umiał podjąć ostatecznej decyzji. Zagrał więc w orła i reszkę, i los kazał mu zostać.

Odjazd był wyznaczony nieodwołalnie na 10 lutego. W przeddzień tego Eryk oczekiwał przybycia pana Malariususa. Doznał przyjemnej niespodzianki, kiedy dostrzegł również jejmość Katrinę i Wandę, które przyjechały pociągiem, aby pożegnać się z Erykiem. Zatrzymały się skromnie w którejś z miejskich oberż, ale doktor uparł się, by mieszkały u niego, ku wielkiej irytacji Kajsy, która uważała, że tacy goście nie są wystarczająco dystyngowani.

Wanda była teraz wysoką panią, której uroda przeszła wszelkie oczekiwania. Dopiero co zdała z powodzeniem w Bergen bardzo trudne egzaminy, które pozwoliły jej objąć funkcję

nauczycielki w szkole średniej. Ale chciała pozostać w Nora, przy swojej matce i miała zastępować pana Malariusza podczas jego nieobecności. Zawsze poważna i łagodna czerpała ze swojego wykształcenia, które zresztą nie zmieniło ani trochę jej obyczajów w życiu domowym, osobliwy i ogromnie oryginalny urok. Nie było w tym nic nieoczekiwanego, kiedy ta piękna panna ubrana w ludowy strój norweski wygłaszała swoje zdanie na temat naukowych kwestii lub siadała przy pianinie i z doskonałą umiejętnością grała sonatę Beethovena. Ale najbardziej uroczy był u niej brak jakiegokolwiek pretensjonalności i nadzwyczajna prostota sposobu bycia. Nie pragnęła pysznić się swoimi uzdolnieniami, jak też nie zamierzała rumienić się z racji bucików z klamrami, jakie nosiła. Tchnęła gracją jak kwiat dziko rosnący nad fiordem, wybrany przez starego nauczyciela i troskliwie pielęgnowany w jego małym ogródku na tyłach szkoły.

Wieczorem w salonie doktora odbyło się przyjacielskie spotkanie całej przybranej rodziny Eryka. Pan Bredejord i doktor zagrali z profesorem ostatnią partyjkę wista. Okazało się wówczas, że pan Malariusz był tęgim mistrzem w tej szlachetnej grze, co zapowiadało przyjemne chwile na pokładzie "Alaski". Niestety profesor wykazał również, że cierpi zazwyczaj na chorobę morską, ilekroć postawi stopę na pokładzie okrętu, i prawie całą podróż spędza wyciągnięty na koi.

Zdecydował się na tę wyprawę wyłącznie przez sympatię dla Eryka, a może i trochę powodowany zadawnioną ambicją dorzucenia jakiejś nowej odmiany do botanicznych rodzin już skatalogowanych.

Po skończonej partii wista zebrani zajęli się odrobiną muzyki. Kajsa z pogardliwą miną zagrała modnego walca. Wanda zaśpiewała głosem o ogromnej skali i zadziwiająco pięknie starą melodię skandynawską. Potem podano herbatę i opróżniono wielką wazę ponczu za powodzenie ekspedycji. Eryk spostrzegł, że Kajsa ostentacyjnie nie dotknęła swojego kieliszka.

— Nie życzysz nam, droga panno, szczęśliwej podróży? — spytał ją półgłosem.

— Na co się zda życzyć tego, czego się nie spodziewam — odparła.

Nazajutrz o wschodzie słońca wszyscy zebrali się na pokładzie, z wyjątkiem Tudora Browna. Od momentu wysłania wartościowego listu nie dał znaku życia.

Odjazd był przewidziany na godzinę dziesiątą. Po pierwszym uderzeniu zegara kapitan Marsilas kazał podnieść kotwicę, po czym rozległy się dźwięki dzwonu sygnalizujące odjazd i uprzedzające odprowadzających gości, że nadszedł czas zejścia na ląd.

— Żegnaj, Eryku! — zawołała Wanda zarzucając mu ręce na szyję.

— Żegnaj, mój synu! — powiedziała Katrina tuląc młodego porucznika do serca.

— A ty, Kajso, nic mi nie powiesz? — spytał podchodząc do niej, pragnąc jakby uściskać ją również.

— Ja będę ci życzyć, abyś nie odmroził sobie nosa i żebyś odkrył, iż jesteś przebrany księciem! — powiedziała śmiejąc się impertynencko.

— A jeśli tak się stanie, czy pozyskam trochę twojej przyjaźni? — rzekł usiłując się uśmiechnąć, by zataić gorycz, jaką wlał w jego serce ów sarkazm.

— Czyżbyś o tym wątpił? — odparła Kajsa odwracając się do swojego wuja, aby podkreślić wyraźnie, że pożegnanie jest skończone.

I to było wszystko. Dzwonienie stawało się bardziej natarczywe. Tłum ruszył do schodów, wokół których uwijały się łodzie, by zabrać odprowadzających. W rozgardiaszu nikt nie spostrzegł kogoś, kto pojawił się na pokładzie z walizką w ręku w ostatniej chwili.

Tym spóźnialskim był Tudor Brown. Przedstawił się kapitanowi i poprosił o kabinę, którą mu natychmiast wskazano.

W minutę później trzy gwizdki, długie i przenikliwe, poprzedziły rozruch śruby okrętowej, smuga

piany zabieliła wodę za rufą i "Alaska", ślizgając się majestatycznie po zielonych falach Bałtyku, wypłynęła ze Sztokholmu pośród oklasków tłumu, powiewającego kapeluszkami i chusteczkami.

Eryk stojąc na mostku kapitańskim, kierował zwrotami okrętu. Pan Bredejord i doktor oparciu o parapet bakburty przesyłali ostatnie pożegnania Kajsie i Wandzie stojącym na molo. Pan Malarius, cierpiący już na chorobę morską, poszedł wyciągnąć się na koi. Wszyscy, i ci na okręcie, i ci na molo, zasmuceni rozstaniem nie spostrzegli przybycia Tudora Browna. Toteż doktor, nie zdołał powstrzymać odruchu zdziwienia kiedy obróciwszy się spostrzegł wynurzającego się z głębi okrętu i spieszącego ku niemu Browna z rękami w kieszeniach, ubranego tak, jak podczas ich jedyne go spotkania.

— Piękna pogoda — powiedział Tudor Brown na powitanie i jakby tytułem wstępu do rozmowy.

Ta pewność siebie zdumiała doktora. Przez parę chwil oczekiwał, że ta dziwna osobistość zechce wydukać jakieś słowa przeproszenia lub przynajmniej poda powód swojego osobliwego zachowania. Widząc jednak, że nic z tego nie będzie, natarł ostro:

— A zatem, proszę pana, wydaje się, że Patrick O'Donoghane nie jest tak całkiem martwy, jak mówiono — zakrzyknął ze zwykłą sobie żywiołowością.

— Tego właśnie należy się dowiedzieć — odparował obcy przybysz z niezachwianym spokojem — i właśnie dlatego, by mieć czyste sumienie, postanowiłem wziąć udział w tej podróży.

Po tych słowach Tudor Brown odwrócił się na pięcie i uznawszy widać to wytłumaczenie za wystarczające, zaczął spacerować dużymi krokami po pokładzie, pogwizdując swoją ulubioną melodię.

Eryk i pan Bredejord przysłuchiwali się tej rozmowie z zaciekawieniem dość naturalnym. Postać Tudora Browna była dla nich nowością, toteż przyglądali mu się bacznie — baczniej nawet od doktora. Wydało im się, że ten obcy człowiek, udając obojętność, rzucał od czasu do czasu ukradkowe spojrzenia, pragnąc odgadnąć, jakie sprawia wrażenie swoją osobą. Toteż przestali pozornie zwracać uwagę na jego obecność, ale zszedłszy wkrótce do salonu, do którego przylegały kabiny, odbyli tam naradę.

Jaki cel miał Tudor Brown próbując udowodnić śmierć Patricka O'Donoghana i do czego zmierzał teraz biorąc udział w wyprawie "Alaski"? Nie sposób było to odgadnąć. Ale również trudno byłoby uwierzyć, że te dwie sprawy nie wiązały się bardziej lub mniej bezpośrednio z historią "Cynthii" i "dziecka na kole ratunkowym". Dla Eryka i jego przyjaciół zainteresowanie osobą Patricka O'Donoghana wiązało się wyłącznie z tym, że znał on tę sprawę i tylko dlatego konieczne było odszukanie Irlandczyka. Otóż nasi przyjaciele znajdowali się teraz w obecności człowieka, który twierdził, że Patrick O'Donoghane zginął. I ten sam człowiek narzucił swoją obecność wyprawie poszukiwawczej natychmiast, kiedy jego oświadczenie zostało zdementowane w tak nieprzewidziany sposób! Należało tedy wysnuć wniosek, że działał w osobistym interesie, a fakt, że odwiedził pana Schwaryencronę, wskazywał na bezpośredni związek interesów z poszukiwaniami rozpoczętymi przez doktora.

A zatem wszystko zdawało się wskazywać, że Tudor Brown był w tej całej sprawie czynnikiem nie mniej ważnym od Patricka O'Donoghana. Kto wie, czy nie znał już tajemnicy, którą zamierzano wyjaśnić? Jeśli tak było, czy należało sobie wieszować z racji jego obecności na pokładzie, czy raczej tym się niepokoić? Pan Bredejord skłaniał się ku drugiemu przypuszczeniu i uważał, że twarz dziwnego osobnika nie budzi zaufania. Doktor zaś przeciwnie, twierdził, iż Tudor Brown może być człowiekiem dobrej wiary i że pod swoimi ekscentrycznymi manierami ta zacność.

— Jeśli rzeczywiście coś wie — mówił — można mieć nadzieję, że na koniec, w czasie tak długiej podróży, powstanie między nami zażyłość, która sprawi, iż zacznie mówić! To. że mamy go

między sobą, będzie wówczas dla nas uśmiechem losu, W najgorszym razie zobaczymy, jakie ma konszachty z O'Donoghanem, jeśli uda nam się odnaleźć Irlandczyka.

A co do Eryka, nie śmiał nawet wyrazić uczuć, jakie sam wygląd tego osobnika budził w nim. Było to coś o wiele gorszego od nienawiści: instynktowna chęć, by rzucić się na niego i zepchnąć go do wody. Nieodparte przekonanie, że to indywiduum odgrywało jakąś rolę w nieszczęściu, które przygniotło jego życie, narzucało się myślom Eryka. Ale rumienił się, że, mógłby ulec takiemu przekonaniu, a zwłaszcza je sformułować. Zadowolili się więc tym, że jeśli chodzi o niego, nigdy nie przyjąłby Tudora Browna na pokład, gdyby to od niego zależało.

Jak się wobec niego zachować? Zdania były podzielone również i na ten temat. Doktor twierdził, że traktowanie raczej dobrotliwe Tudora Browna, przynajmniej z pozoru, będzie właściwym działaniem, które skłoni go do mówienia. Pan Bredejord oraz Eryk odczuwali nieprzewycięzoną niechęć do odgrywania takiej komedii, i nie było zresztą bardzo pewne, czy sam pan Schwaryencrona zdoła zastosować się do swojego programu. Postanowiono tedy pozostawić Tudorowi Brownowi i okolicznościom sprawę wytyczenia metody postępowania wobec niego.

Oczekiwanie nie było długie. Dokładnie w południe zadzwonił dzwon i pan Bredejord oraz doktor udali się do jadalni, do stołu kapitana. Zastali tam już Tudora Browna, siedzącego w kapeluszu i nie okazującego najmniejszej chęci wejścia w zażyłość ze swoimi sąsiadami. Ten człowiek był istotnie grubianinem tak wielkim, że nie sposób było się na niego oburzać. Wydawało się, że są mu obce najprostsze zasady dobrego wychowania, pierwszy nabierał potrawy, wybierał najlepsze porcje, pił i jadł jak żarłok. Dwa czy trzy razy kapitan i doktor zwracali się do niego z jakimś zdaniem. Nie raczył im nawet odpowiedzieć lub odpowiadał wyłącznie gestami.

Nie przeszkodziło mu to zresztą, kiedy pod koniec posiłku rozsiadł się wygodnie i bez żenady posługiwał się olbrzymią wykałaczką, zwrócić się tymi słowami do pana Marsilasa:

— Którego dnia będziemy w Gibraltarze?

— Sądzę, że 19 lub 20 — odparł kapitan.

Tudor Brown wyjął z kieszeni kalendarzyk i jął go przeglądać.

— A zatem 22 będziemy u brzegów Malty, 25 w Aleksandrii i pod koniec miesiąca w Adenie — powiedział mówiąc jakby do siebie samego.

Po czym wstał, wszedł na pokład i zaczął swoją wędrówkę na rufówce.

— Miłego towarzysza podróży narzucił nam komitet — nie zdołał powstrzymać się od tej uwagi pan Marsilas.

Pan Bredejord miał mu właśnie odpowiedzieć, kiedy okropny łoskot z góry schodów zamknął mu usta. Były to okrzyki, szczekanie, splątane głosy. Wszyscy zerwali się z miejsc i wybiegli na pokład.

Awanturę spowodował Klaas, wielki grenlandzki pies maaster Herseboma. Wydawało się, że psu nie spodobała się mina Tudora Browna i okazawszy mu swoją wrogość głuchym warczeniem, kiedy ów przechodził się tam i z powrotem przed jego nosem, w końcu zaatakował jego nogi. Tudor Brown natychmiast dobył rewolwer i miał się już nim posłużyć, kiedy nad biegł Otto, przeszkodził mu w tym i odesłał psa do budy. Wywiązała się wtedy gwałtowna sprzeczka, gdyż Tudor Brown, siny ze złości lub ze strachu, chciał koniecznie strzelić psu w głowę. Maaster Herseboom nadbiegłszy z pomocą żywo przeciw temu protestował. W porę nadszedł komendant i położył wszystkiemu kres; poprosił Tudora Browna, by schował rewolwer, i przyrzekł, że Klaas będzie teraz trzymany na łańcuchu.

Ten śmieszny incydent był jedynym, który urozmaicił pierwsze dni podróży. Wszyscy przywykli w końcu do milczenia Tudora Browna i jego osobliwych manier. Przy kapitańskim stole nikt się już nim nie zajmował, jakby w ogóle nie istniał. Każdy oddawał się swoim nawykom i rozrywkom. Pan

Malarius spę dziwszy pierwsze dni w łóżku zaczął już jeść i doprowadziwszy się do takiego stanu, że mógł brać udział w nie kończących się partyjkach wista rozgrywanych z doktorem i panem Bredejordem. Eryk ogromnie zajęty obowiązkami służbowymi poświęcał każdą wolną chwilę lekturze. "Alaska" płynęła swoim kursem spokojnie i bez przeszkód.

Jedenastego opłynęła wyspę Olandię, 12 przebyła Sund, 13 dotarła do Skagerrak, 13 zasygnalizowała Helgoland, 15 puściła się prosto przez Cieśninę Kaletańską i opłynęła Przylądek la Hague dnia 16.

Następnego nocy Eryk śpiąc w swojej kabynie obudził się nagle w zupełnej ciszy i zorientował się, że nie słyszy łoskotu śruby okrętowej. Nie miał powodu tym się niepokoić, wartę miał pan Kjellquist, ale zaciekawienie zmusiło go, by wstał i poszedł przekonać się, o co chodzi.

Dowiedział się wówczas z raportu głównego mechanika, że przewód pompy obrotowej zepsuł się, co spowodowało konieczność wygaszenia ognia... "Alaska" płynęła teraz pod żaglami przy słabej bryzie południowo-zachodniej.

Inspekcja trwała długo i nie wyjaśniła przyczyn awarii. Mechanik zażądał zatrzymania się w najbliższym porcie, by naprawić uszkodzenie.

Kapitan Marsilas osobiście sprawdził rzecz i przychylił się do propozycji mechanika. Znajdowali się wówczas o jakieś trzydzieści mil od Brestu: wydano rozkaz, by wziąć kurs na ten wielki port francuski.

# ROZDZIAŁ XIII

## ZBOCZMY NA POŁUDNIOWY ZACHÓD

Nazajutrz "Alaska" wpłynęła na redę Brestu. Jej awaria okazała się na szczęście niezbyt groźna. Pewien inżynier wezwany natychmiast obiecał, że uszkodzenie będzie naprawione w ciągu trzech dni. Było to więc nieznaczące opóźnienie, które mieli sobie powetować w pewnym sensie, nabierając węgla, co zwolni ich od postoju w Gibraltarze, jak to było zrazu ustalone. Następny postój został tedy wyznaczony u brzegów Malty, co miało, sprawić, że opóźnienie zmniejszy się o dwadzieścia cztery godziny i będzie praktycznie wynosiło tylko dwa dni. Otóż marszruta "Alaski" przewidywała przynajmniej trzydzieści dni na niespodziane wydarzenia, nie było więc powodu do niepokoju i wszyscy przyjęli jak najbardziej filozoficznie tę zwłokę.

Wkrótce stało się widoczne, że zwłoka przekształci się w uroczyste święto. W ciągu paru godzin przybycie "Alaski" do portu stało się wiadome w całym mieście, a że wiedziano z gazet, jaki jest cel jej podróży, sztab generalny szwedzkiego okrętu stał się przedmiotem najbardziej pochlebnych demonstracji. Admirał, dowódca floty i mer Brestu, komendant portu oraz dowódcy statków stojących na redzie złożyli wizytę kapitanowi Marsilasowi. Na cześć odważnych badaczy płynących na poszukiwanie Nordenskjölda została wydana uroczysta kolacja i bal. Jakkolwiek doktor i pan Malarius nie odczuwali wzruszenia na myśl o tych światowych przyjęciach, musieli jednak zasiąść do stołu nakrytego właśnie dla nich. A co do pana Bredejorda — znajdował się w swoim żywiole.

Pośród gości prefekta, zaproszonych dla uczczenia dowództwa "Alaski", znajdował się pewien staruszek o rysach delikatnych i melancholijnym wyrazie twarzy. Eryk zwrócił wkrótce na niego uwagę, albowiem w jego spojrzeniu nieco smutnym wyczytał sympatię, co do której nie mógł się omylić. Był to pan Durrien, honorowy konsul generalny, czynny członek Towarzystwa Geograficznego, sławny dzięki swoim podróżom do Azji Mniejszej i do Sudanu. Eryk przeczytał kiedyś sprawozdanie z owych podróży z największym zainteresowaniem. Wspomniał o tym francuskiemu uczonemu w sposób zdradzający kompetencję, kiedy przedstawiono ich sobie, Otóż, jakkolwiek tego rodzaju satysfakcje są w pełni uzasadnione, rzadko los udziela ich podróżnikom. Często bywa, kiedy ich przygody nabierają rozgłosu, że w zamian otrzymują jedynie banalny poklask tłumu; o wiele rzadziej się zdarza, aby ich prace znalazły uznanie w salonach u osób dobrze poinformowanych. Pełna szacunku ciekawość młodego porucznika poruszyła serce czcigodnego geografa i sprowadziła uśmiech na jego blade wargi.

— Nie mam wielkich zasług, jeśli idzie o te odkrycia — rzekł odpowiadając na parę uwag Eryka na temat jego najnowszych, szczęśliwie przeprowadzonych wykopalisk w okolicach Aswan.

— Szedłem wprost przed siebie jako człowiek szukający zapomnienia o straszliwym bólu i nie troszczący się o rezultaty, byle tylko móc pracować zgodnie ze swoimi upodobaniami. Przypadek dokonał reszty...

Widząc, że pan Durrien i Eryk tak przypadli sobie do serca, admirał posadził ich obok siebie przy stole, toteż rozmawiali ze sobą przez całą wieczerzę.

Kiedy podano kawę, do porucznika z "Alaski" przystąpił niski łysy pan, którego przedstawiono mu jako doktora Kergaridec, i bez ogródek zapytał go, skąd pochodzi. Eryka zdumiało to pytanie, ale ochłonawszy odpowiedział, że jest Szwedem, a ściślej mówiąc Norwegiem, i że jego rodzina mieszka w okolicach Bergen. Po czym zagadnął owego pan, dlaczego zadał mu takie pytanie.

— Powód jest bardzo prosty — odparł rozmówca. — Już od godziny obserwuję pana, gdyż nie

widziałem jeszcze nigdy tak wyraźnie zaakcentowanego typu celtyckiego jak u pana!... A muszę panu powiedzieć, że jestem doświadczonego badaczem Cel tów!... Otóż po raz pierwszy widzę mieszkańca Półwyspu Skandynawskiego o tak wyraźnym typie celtyckim! Kto wie, czy dla nauki nie kryje się w tym cenna wskazówka i może należy sklasyfikować Norwegię jako kraj, który odwiedzali nasi przodkowie, Celtowie, mówiący językiem celtyckim.

Eryk byłby zapewne wyjaśnił bretońskiemu uczonemu racje, które zbijały tę hipotezę, kiedy doktor Kergaridec odwrócił się, by złożyć uszanowanie pewnej damie, która właśnie weszła do salonu prefekta marynarki, i spotkanie na tym się skończyło. Młody porucznik z "Alaski" na pewno by wcale nie myślał o tym drobnym wydarzeniu, gdyby nazajutrz, kiedy przechadzał się w towarzystwie doktora w pobliżu rynku, pan Schwaryencrona powiedział na widok pewnego smakosza znad brzegu Morbihanu:

— Mój drogi chłopcze, gdybym miał jeszcze jakieś wątpliwości na temat twojego celtyckiego pochodzenia, straciłbym je tutaj! Popatrz, jak ci wszyscy Bretończycy są do ciebie podobni!... Mają taką samą matową cerę, kościstą czaszkę, brązowe oczy, czarne włosy, a nawet twoją własną postawę!... Bredejord może sobie mówić co zechce, ale ty jesteś Celtem czystej krwi, bądź tego pewien.

Eryk opowiedział wówczas, to, co poprzedniego dnia usłyszał od doktora Kergarideca. A pan Schwaryencrona tak się tym uradował, że przez cały dzień o niczym innym nie mówił.

Jak wszyscy inni pasażerowie "Alaski" Tudor Brown otrzymał i przyjął zaproszenie prefekta marynarki. Można było nawet sądzić przez moment, że wybierze się na przyjęcie w stroju, w którym zwykle chodził, gdyż w nim właśnie kazał przewieźć się na ląd w porze kolacji. Lecz zapewne konieczność zdjęcia swojego drogocennego kapelusza wydała mu się aktem zbyt ciężkim, gdyż w chwili, kiedy stanął w progu domu prefekta, zawrócił z drogi. I nie widziano go już tego wieczora.

Wróciwszy z balu, na którym Eryk tańczył dużo i zapamiętałe, nasz młodzieniec dowiedział się od Herseboma, że Tudor Brown wrócił na pokład około siódmej i sam zjadł kolację. Po czym wszedł do kabiny kapitana, żeby sprawdzić coś na mapie morskiej i wreszcie odjechał około ósmej tym samym czółnem, które przywiozło go z lądu.

Była to ostatnia o nim wiadomość.

Nazajutrz o piątej po południu Tudor Brown się nie pojawił. A przecież wiedział, że naprawa maszyny miała już być skończona, piece zapalone i że odjazd "Alaski" nie mógł być odłożony. Komendant dołożył wszelkich starań, aby wszystkich o tym powiadomić. Wydał więc rozkaz podniesienia kotwicy.

Okręt miał już rzucić cumy, kiedy zostało zasygnalizowane jakieś czółno jadące od moło z wielką szybkością. Wszyscy myśleli, że wiezie Tudora Browna. Ale dowiedziano się wkrótce, że chodzi tylko o list. Ku ogólnemu zdumieniu okazało się, że list był zaadresowany do Eryka.

Otworzywszy go Eryk stwierdził, że koperta zawiera tylko bilet wizytowy pana Durrien, na którym nakreślono ołówkiem:

— Dobrej podróży!... Szybkiego powrotu!...

Niechaj wytłumaczy ten, kto zdoła, co się działo w duszy Eryka. Ta atencja ze strony miłego i dystyngowanego uczonego wzruszyła go do łez. Opuszczał tę gościnną ziemię, którą znał dopiero od trzech dni, z uczuciem, że opuszcza ojczyznę. Umieścił bilet pana Durrien w swoim notatniku myśląc, że owo pożegnanie starca przyniesie mu szczęście.

Po dwóch minutach "Alaska" ruszyła i zaczęła zbliżać się do wąskiego wjazdu do portu. O szóstej przebyła go i pilot życzył podróżnym wszystkiego dobrego.

Stało się to 20 lutego. Powietrze było przejrzyste. Słońce zniknęło za linią horyzontu tak wyraźną,



jakby to był letni dzień. Ale mrok się pogłębiał i wkrótce zrobiło się całkiem ciemno, gdyż księżyc miał się pojawić dopiero o dziesiątej wieczór Eryk, który rozpoczął niedawno wachtę, przechadzał się lekkim krokiem po tylnym mostku. Wydawało mu się, że wraz z Tudorem Brownem ulotnił się zły duch ekspedycji.

— Oby tylko nie przyszło mu do głowy wrócić do nas 113. Malcie albo w Suezie! — myślał.

A rzeczywiście było to możliwe, nawet prawdopodobne, jeśli Tudor Brown chciał sobie zaoszczędzić długiej podróży, którą "Alaska" musiała odbyć przed przybyciem do Egiptu. Podczas gdy okręt miał opływać Francję i Hiszpanię, mógłby on, gdyby mu się tak spodobało, zatrzymać się na tydzień w Paryżu lub w innym miejscu na lądzie i dotrzeć do "Alaski" w Aleksandrii bądź też w Suezie, a może nawet Adenie, w Kolombo na Wyspie Cejlon, w Singapurze czy w Jokohamie.

Ale koniec końców była to tylko możliwość. Rzeczą aktualnie realną było to, że nie znajdował się na pokładzie, a to wystarczało, żeby wszyscy poweseleli.

Tym sposobem kolacja, która miała miejsce o pół do siódmej, czyli o zwykłej porze, stała się tak serdeczna jak nigdy dotąd. Przy deserze zgromadzeni wypili za pomyślność ekspedycji i każdy w myślach łączył to mniej lub bardziej wyraźnie z nieobecnością Tudora Browna. Po czym wszyscy wyszli na pokład, by wypalić cygaro.

Noc była ciemna. W dali, na północy widać było jarzące się światła Przylądka św. Mateusza, Pierres-Noires oraz wyspy Ouessant. Na południu zostawiono za rufą wielką nieobracającą się latarnię na Bec-du-Raz i migające światło Tevennes. Mała latarnia na cyplu Bec-du-Raz została zasygnalizowana, co świadczyło, że "Alaska" znajduje się na prawidłowym kursie. Na trawersie "Alaski" na jej bakburcie lśniła latarnia stojąca na wyspie Sein, rozbłyskując co cztery sekundy i na cztery sekundy, poprzedzane mgnieniami i kończące się nimi... Rześka bryza z północnego wschodu przyspieszała ruch statku popychając go z boku od strony bakburty. Toteż płynął on dość szybko, choć wody były wyraźnie wzburzone.

Kiedy biesiadnicy pojawili się na pokładzie, jeden z ludzi pełniących służbę na rufie wyciągnął log.

— Dziesięć i ćwierć węzłów — rzekł do komendanta, który zmierzał do niego, by dowiedzieć się o rezultat pomiaru.

— Piękna jazda, która oby trwała jak najdłużej — powiedział roześmiany doktor.

— Istotnie — odparł komendant — i w takim razie spalilibyśmy niewiele węgla dotarłszy do Cieśniny Beringa.

To rzekłszy rozstał się z doktorem i poszedł do swojej kajuty. Tam wyjął z otwartej skrzyni, spod barometrów i morskich zegarów, mapę podklejoną płótnem, którą rozłożył na biurku w jasnym świetle ogromnej lampy Carcela, zawieszanej u sufitu. Była to mapa admiralicji brytyjskiej wskazująca wszelkie szczegóły regionu morskiego, zwanego armorykańskim, przez który przepływała teraz "Alaska" między 47 i 49 stopniem szerokości północnej oraz 4 i 5 stopniem długości zachodniej licząc od Greenwich. Mapa miała prawie metr kwadratowy powierzchni. Wybrzeża, wyspy, latarnie stałe i obracające się, łąchy piaszczyste, głębokości włącznie z kursem, jakiego należy się trzymać, były na niej szczegółowo zaznaczone. Wydawało się, że nawet dziecko mające taką mapę i busolę mogłoby kierować największym okrętem w tym regionie morza, bardzo jednak niebezpiecznym, gdzie niedawno temu pewien wyróżniający się oficer marynarki francuskiej, porucznik Mage, badacz Nigru, zatonął bez ratunku wraz ze swoimi towarzyszami z "Magicienne", po wcześniejszej katastrofie "Sane" i wielu innych.

Los chciał, że komendant Marsilas nigdy nie pływał na tych wodach. Faktycznie jedynie konieczność zatrzymania się w Breście sprowadziła go tutaj, inaczej płynąłby o wiele dalej od

brzegu. Toteż musiał bardzo uważnie trzymać się mapy, by płynąć dobrym kursem. A rzecz wydawała się coraz prostsza. Zostawiając po lewej przylądek du Van, Bec-du-Raz i wyspę Sem, legendarne miejsce pobytu dziewięciu druidów, prawie zawsze zasłoniętą pyłem rozbijających się fal, powinien płynąć na zachód i skręcić na południe dopiero, gdy znajdzie się na pełnym morzu. Latarnie na wyspie określały dokładnie pozycję okrętu i według mapy, w odległości mniejszej niż ćwierć mili, wyspa kończyła się prostopadle wysokimi urwiskami oblewanymi falą z pełnego morza, którego głębokość wynosiła tutaj około stu merów. Ta wskazówka, ogromnie ważna w noc tak ciemną, sprawiła, że komendant sprawdziwszy jeszcze raz jak najdokładniej mapę, postanowił przybliżyć się do wyspy bardziej niż może zrobiłby to za dnia, to znaczy opłynąłby ją w odległości trzech lub czterech mil w kierunku pełnego morza. Wszedł tedy znów na pokład, rzucił okiem na morze i rzekł do Eryka, aby skierował okręt o dwadzieścia pięć stopni na południowy zachód. Rozkaz ten zdumiał młodego porucznika.

— Czy naprawdę na południowy zachód? — spytał z szacunkiem, sądząc, że się przesłyszał.

— Powiedziałem południowy zachód — powtórzył sucho komendant. — Czy ta droga nie wydaje się panu dobra?

— Skoro pan stawia mi to pytanie, komendancie — muszę panu wyznać, że nie — odparł szczerze Eryk. — Wolałbym płynąć dalej na zachód.

— A to po co?... Żeby stracić jeszcze jedną noc?

Ton komendanta nie dopuszczał sprzeciwu. Eryk wydał rozkaz, jaki otrzymał. Koniec końcem jego dowódca był wytrawnym marynarzem, któremu można ufać.

To lekkie zboczenie z kursu wystarczyło, żeby całkowicie zmienić ruchy statku. "Alaska" zaczęła się głębiej zanurzać i przy każdym opadnięciu ryła dziobem w fali. Dookoła niej wrzały drobne fale z białymi grzywami. Log wskazywał czterdzieści węzłów, a że bryza stała się silniejsza, Eryk uznał za stosowne kazać zwinąć dwa żagle.

Doktor i pan Bredejord poczuli się nagle aż tak źle, że zeszli do swoich kajut. Komendant, który przez parę chwil przechadzał się wzdłuż i wszerz podkładu, poszedł wkrótce w ich ślady.

Zaledwie dotarł do swojego pokoju, kiedy Eryk pojawił się tam we własnej osobie.

— Panie komendancie — ozwał się — słyszę od strony bakburty podejrzane odgłosy! Rzekłbyś, że fale rozbijają się tutaj o skały!... Sumienie doradza mi, abym, pana powiadomił o tym, że obraliśmy niebezpieczną drogę.

— Doprawdy pański niepokój jest wyjątkowo uporczywy! — zakrzyknął komendant. — Czego możesz się pan obawiać znajdując się o trzy, a może cztery mile od tej latarni.

I niecierpliwym ruchem palca wskazał na mapie, nadal rozłożonej na biurku, wyspę Sein, która prezentowała się jak strażnik na warcie przy najdalszym cyplu skalistej płycizny.

Eryk śledził ruch tego palca. Zobaczył jasno, iż rzeczywiście żadne niebezpieczeństwo nie jawiło się na mapie w okolicy wyspy ściętej pionowo i otoczonej głębokimi wodami. Nic nie mogło być dla marynarza bardziej decydujące i uspokajające. A jednak nie były również złudzeniem odgłosy fal rozbijających się o skały, które posłyszał na lewo, to znaczy po zawietrznej i w konsekwencji bardzo blisko.

Rzecz osobliwa, Eryk ledwie ośmielający się powiedzieć to sobie samemu, że nie rozpoznawał w profilu wybrzeża, które miał przed oczyma, ponurego i perfidnego obrazu tych okolic, jaki jego pamięć zachowała na podstawie opisów w traktatach geograficznych. Ale jak to! Przeciwstawić ulotne wspomnienie, nieokreślone wrażenie, czemuś tak bezwzględnemu i precyzyjnemu jak mapa admiralicji brytyjskiej!... Eryk nie ośmieliłby się tego uczynić. Mapy tworzone są właśnie po to, by strzec marynarzy przed błędami lub iluzjami ich pamięci. Skłonił się tedy swojemu dowódcy i

wyszedł.

Nie zdążył jeszcze wejść na mostek, kiedy rozległy się okrzyki:

— Skały podwodne po prawej burcie! — I niemal natychmiast następne wołanie. — Skały podwodne po bakburcie!

Na pokładzie rozdzwonił się ostry gwizdek, a za nim rozległo się szamotanie i seria manewrów wykonywanych jeden po drugim. "Alaska" zwolniła i maszyny zaczęły iść do tyłu...

Komendant rzucił się do schodów.

W tej chwili usłyszał głuchy łoskot, jakby oporne posuwanie się sań po grudzie. Nagle gwałtowny wstrząs powalił go w tył, a cały okręt zadygotał od kilu po topy!... Po czym zaległa cisza i "Alaska" znieruchomiła.

Wbiła się jak klin między dwie skały podwodne.

Komendant Marsilas z głową okrwawioną od uderzenia podniósł się, by wyjść na pokład. Wszystko tu było w niesłychanym nieładzie. Oszołomieni marynarze rzucali się do szalup. Fale rozbijały się z wściekłością na tej nowej rafie, jaką stanowił rozbity okręt. Dwoje lśniących oczu na Tevenec i na wyspie Sein, wpatrzonych w "Alaskę", zdawało się czynić jej wymówki, że skoczyła w niebezpieczeństwo, przed jakim miały obowiązek ostrzegać. Eryk stojąc na mostku przechylał się przez prawą burtę i próbował przebić spojrzeniem ciemność, by ocenić skutek katastrofy.

— Ależ, mój panie, co się w końcu stało? — krzyknął do niego komendant, oszołomiony jeszcze swoim upadkiem.

— Stało się to, proszę pana, że zbacząc jak pan rozkazał na południowy zachód, wpadliśmy na podwodne skały! — odparował Eryk.

Komendant Marsilas nie powiedział ani słowa. Cóż mógł odpowiedzieć?... Odwrócił się na pięcie i skierował ku schodom.

Rzecz dziwna — sytuacja była tragiczna, ale nie wydawała się zrazu niebezpieczna. Nieruchomość okrętu, obecność dwóch latarni, bliskość stałego lądu, która dawała o sobie aż nadto znać tymi skałami, między jakimi osiadła "Alaska" chwycona niby w kleszcze — wszystko to sprawiało, że katastrofa wydawała się raczej przygodą, niezbyt pomyślną, ale nie przerażającą. Eryk natomiast widział w niej tylko jedno: ekspedycja całkowicie uniemożliwiona — a więc sposobność odnalezienia Patricka O'Donoghana przepadła.

Nie byłby może wyrzekł tych przykrych słów, gdyby jego serce nie przepełniała gorycz i żałował tego. Opuścił tedy mostek; by zejść na pokład i odnaleźć dowódcę w zbożnym zamiarze podniesienia go na duchu, jeśli to tylko będzie możliwe.

Ale komendant zniknął i nie minęły nawet trzy minuty, jak w jego pokoju rozległ się strzał.

Eryk ruszył biegiem. Drzwi były zamknięte od wewnątrz. Wyważył je kopnięciem.

Komendant Marsilas leżał na dywanie z rozstrzaskanym czołem i z rewolwerem w prawej dłoni.

Stwierdziwszy, że okręt jest rozbity z jego winy, palnął sobie w głowę. Śmierć nastąpiła natychmiast. Doktor i pan Bredejord, którzy nadbiegli za młodym porucznikiem, mogli to tylko potwierdzić.

Ale nie była to pora na daremne żale. Eryk pozostawiając swoim przyjaciołom konieczność podniesienia ciała i ułożenia go na koi, pobiegł na pokład do swoich obowiązków, a mianowicie zatroszczyć się o ratowanie załogi.

Kiedy przechodził obok kabiny pana Malariusza, ten zacny człowiek, obudzony unieruchomieniem statku lub przez wystrzał, otworzył drzwi kajuty i wystawił na zewnątrz swoją białą głowę przykrytą nieodstępny czepkiem z czarnego jedwabiu. Od chwili wyruszenia z Brestu spał bez przerwy i niczego nie spostrzegł.

— No i cóż to się dzieje?... Co się stało? — spytał łagodnym głosem.

— Co się stało? — powtórzył Eryk. — Stało się to, że "Alaska" rozbiła się u brzegu, a komendant tylko co popełnił samobójstwo.

— Oh! — zakrzyknął pan Malarius w najwyższym zdumieniu. — A więc nasza ekspedycja przepadła, prawda, mój chłopcze?

— To już inna sprawa — odparł Eryk. — Ja nie umarłem i tak długo, jak długo będę miał dech w piersi, będę mówił: Naprzód!

# ROZDZIAŁ XIV

## BASSE-FROIDE

"Alaska" wpadła między skały z taką gwałtownością, że wpasowała się w nie i pozostała całkiem nieruchoma. Mimo to nie wydawało się, że niebezpieczeństwo natychmiast zagraża ludziom. Fale napotykając ten nowy opór biły weń, omiatając pokład i prószyły drobnymi kroplami aż po omasztowanie, ale morze nie było na tyle wzburzone, by groziło to jakimś niebezpieczeństwem. W przypadku utrzymania się pogody można było liczyć, że rozbitkowie doczekają dnia bez nowej klęski.

Eryk dojrzał to jednym rzutem oka. Objął oczywista dowództwo jako pierwszy oficer na okręcie. Wydawszy najpierw rozkaz, aby uszczelniono wszystkie dziury w burtach i luki oraz narzucono smołowane płyty na wszelkie otwory na wypadek, gdyby fale stały się gwałtowniejsze, zszedł na dno okrętu razem z głównym cieślą. Tam stwierdził z satysfakcją, że nie ma żadnego przecieku wody. Oszalowanie zewnętrzne "Alaski" osłoniło wewnętrzny kadłub. Środek ostrożności zastosowany z racji lodów polarnych okazał się nad wyraz użyteczny w zetknięciu się z armorykańskimi skałami podwodnymi. Prawdę rzekłszy, maszyna parowa zatrzymała się w miejscu uszkodzona potwornym wstrząsem. Ale wybuch nie nastąpił i nie należało na razie obawiać się dalszych komplikacji. Eryk postanowił czekać aż do świtu, by przewieźć ludzi na ląd, jeśli to będzie konieczne.

Poprzestał jedynie na wystrzeleniu z armaty, prosząc w ten sposób o pomoc z wyspy Sein, i na spuszczeniu parowej szalupy, aby pospieszyła do Lorient.

Nigdzie — myślał nie bez racji — nie można by uzyskać po mocy i środków ratunku szybszych i potężniejszych aniżeli w tym wielkim arsenale morskim zachodniej Francji.

I w tej tragicznej godzinie, kiedy każdy na pokładzie sądził, że wszystko jest stracone bezpowrotnie, on jeden żywił nadzieję. Lub raczej jego nieustraszona dusza należała do takich, które nie wiedzą, co to zniechęcenie i nigdy nie uznają się za pokonane.

Jeśli tylko uda się uwolnić "Alaskę" — myślał — zobaczymy jeszcze, do kogo będzie należało ostatnie słowo.

Ale strzegł się na razie wyrazić w słowach tę nadzieję, którą wszyscy uznaliby za chimere. Wróciwszy z dna okrętu powiedział tylko, że na razie jest nieźle i wystarczy czasu, by otrzymać pomoc. Następnie kazał podać załodze herbatę z rumem.

Więcej nie było trzeba tym dużym dzieciom, aby wprawić je w dobry humor. Spuszczenie parowej szalupy odbyło się tedy nad wyraz ochoczo.

Kiedy się z tym uporano, rakiety z wyspy Sein powiadomiły rozbitków, że pomoc nadchodzi. Niebawem czerwone światła ukazały się w ciemności i minęły "Alaskę" po nawietrznej. Słychać było nawoływania. Można było tym głosom odpowiedzieć, a i dowiedzieć się, że osiedli na skałach Basse-Froide, płycizny wiodącej do wyspy Sein. Upłynęła długa godzina, zanim czołno mogło przybić do burty, gdyż przybój był bardzo gwałtowny, a operacja trudna. Ale w końcu szczęściu ludzi, którzy nim przy płynęli, zdołało chwycić się cienkiej liny i dostać się na "Alaskę".

Było to szczęściu tęgich rybaków z wyspy Sein — wysokich i nieustraszonych osiłków, dla których ratowanie rozbitków nie było pierwszozną. Pochwalili pomysł szukania pomocy w Lorient, gdyż mały port wyspy nie dysponował odpowiednimi środkami. Zostało ustalone, że dwaj z nich pojedą z panem Hersebomem i Ottonem, jak tylko księżyc znajdzie się na skraju horyzontu. Tymczasem podali trochę wyjaśnień dotyczących miejsca, gdzie nastąpiła katastrofa.

Wyspa Sein jest ostro zakończona płycizną, biegnącą na długości dziewięciu mil w kierunku

zachodnim. Dzieli się na dwie części: Pont de Sein i Basse-Froide.

Pont de Sein ma około czterech mil długości i półtorej mili szerokości. Składa się z pasma dość wysokich skał, tworzących podwodny łańcuch. Basse-Froide jest przedłużeniem Pont de Sein na długości pięciu mil i średniej szerokości trzech czwartych mili, tworzy również wiele raf podwodnych, których nie widać w czasie przyływu, a podczas odpływu tylko niektóre wystają nad wodą. Główne z nich to: Cornengen, Schomeur, Cornoc-ar-Goulet, Bas-Ven, Madiou i Ar Men. Te są najmniej groźne, gdyż są widoczne. Liczba i nieregularne odległości tych podwodnych szpiców, jeszcze niezbyt dobrze znanych, niesłychana gwałtowność spiętrzeń wody nad tą ławicą piasku, prądy, które omiatają ją we wszystkie strony, tworzą z tej płycizny jedno" z najniebezpieczniejszych pobraży i najbardziej obfitujące w katastrofy. Dlatego latarnie wyspy Sein i przylądka du Raz zostały ustawione w taki sposób, aby wytyczyć kierunek tego pomostu, co pozwala dostrzegać go i unikać przez statki nadpływające w te strony od zachodu. Ale dla okrętów nadciągających z południa pozostał on nadal tak niebezpieczny, że od bardzo dawna głowiono się nad tym, aby zaznaczyć jego cypel jakimś specjalnym światłem. Niestety, nie istnieje w tym najdalszym punkcie ani wysepka ani skała, gdzie byłoby można skonstruować latarnię, a gwałtowność przyboju w tej okolicy jest taka, że nie można nawet marzyć o umieszczeniu tam pływającego światła. Trzeba było tedy poprzestać na wzniesieniu latarni na skale zwanej Ar Men, położonej o trzy mile od najdalszego punktu tego pasma raf. Jeszcze teraz te prace napotykały tak wielkie trudności, że owa latarnia, której budowę rozpoczęto w 1867 roku, w 1879 liczy sobie zaledwie trzynaście metrów nad poziomem wody, to znaczy osiągnęła połowę zamierzonej wysokości. Wymienia się takie lato, kiedy można było pracować zaledwie osiem godzin, choć robotnicy wypatrywali ciągle stosownej chwili. Latarnia istniała zatem tylko jako projekt w momencie katastrofy, która dotknęła "Alaskę",

Ale to nie wystarczało jako wytłumaczenie, dlaczego wypłynąwszy z Brestu wpadli na skały. Eryk przyrzekł sobie wyjaśnić tę sprawę zaraz po odpłynięciu szalupy parowej.

Ów odjazd mógł niebawem nastąpić, gdyż księżyc wkrótce ukazał się nad horyzontem. Młody komendant postanowił wówczas, że część załogi pozostanie na pokładzie, druga zaś połowa pójdzie, ja kto zwykle bywa, spać. Potem zszedł do salonu.

Pan Bredejord, pan Malarius i doktor czuwali przy zmarłym. Wstali na widok Eryka.

— Mój biedny chłopcze, jaki dramat tu się rozegrał i jak się to wszystko wydarzyło? — spytał doktor.

— Tego nie sposób wytłumaczyć — powiedział młodzieniec pochylając się nad mapą rozłożoną na biurku zmarłego, — Czułem, że posuwamy się złym kursem i powiedziałem to. Według mojej oceny, i zresztą każdego z nas, jesteśmy w odległości przynajmniej trzech mil na zachód od tej latarni — mniej więcej tutaj — dorzucił, pokazując na mapie określony punkt, — A przecież widzicie, że żadne niebezpieczeństwo nie jest tutaj zaznaczone... ani ławice piasku... ani podwodne skały!... Ciemnoniebieski kolor oznaczający wielkie głębokości wód!... To niepojęte!... Przecież nie można przypuszczać, że mógł się wkraść taki błąd na mapie admiralicji brytyjskiej, która obejmuje rejon morski tak dobrze znany i szczegółowo oznaczany od wieków na mapach. To, co się wydarzyło, jest absurdalne, jak jakiś koszmar!

— A czy nie zaszła jakaś pomyłka w oznaczeniu miejsca, gdzie się znajdujemy? Czy nie wzięliśmy i nie bierzemy nadal jakiegoś światła za inne? — spytał pan Bredejord.

— To jest prawie niepodobieństwem na tak krótkiej trasie jak nasza, licząc od wyjścia z Brestu! — powiedział Eryk. — Pomyślcie, proszę, że przez cały czas nie traciliśmy z oczu lądu i że stale płynęliśmy od jednego zaznaczonego punktu do drugiego! Musielibyśmy przypuścić, iż któraś z latarni nie była zapalona albo że jakąś nową dodano, a zatem uwierzyć w niepodobieństwo! Ale i to by nie

wystarczyło, gdyż płynęliśmy tak miarowo, nasz log był tak dokładnie kontrolowany, że pomyłka jest absolutnym niepodobieństwem. Możemy podać z dokładnością do jakichś pięciuset metrów grafik naszej drogi. Koniec tego grafiku zgadza się jak najdokładniej z pozycją, jaką zajmujemy w stosunku do latarni z wyspy Sein... A jednak to fakt, że jesteśmy na rafie, podczas gdy wedle mapy powinniśmy się znajdować na trzystu metrach głębokości wody!...

— Ale jaki to będzie miało koniec? To właśnie powinniśmy wiedzieć.

— Będziemy wkrótce wiedzieli — odparł Eryk — jeśli władze marynarki zechcą nieco się pospieszyć z udzieleniem nam pomocy. Na razie musimy tylko czekać i najlepiej będzie dla wszystkich położyć się spokojnie spać, jak gdybyśmy stali na kotwicy w najbezpieczniejszej zatoce!

Młody komendant nie powiedział, że on osobiście zatrzymał dla siebie obowiązek czuwania przez całą noc, gdy jego przyjaciele, będą wypoczywać. I tak właśnie postąpił już to przechadzając się po pokładzie i upewniając się, czy straż czuwa nad wszystkim należycie, już to schodząc na chwilę do salonu.

Kiedy zaczynało już świtać, stwierdził z zadowoleniem, że rozkołysanie wód małało w oczach wraz z nacichającą bryzą. Spostrzegł też, że odpływ był obecnie w swoim najniższym punkcie i że wkrótce pozostawi "Alaskę" niemal na suchym miejscu. Dawało mu to nadzieję, że zdoła sprawdzić szybko rozmiary uszkodzeń, i rzeczywiście, około siódmej rano udało mu się przystąpić do oględzin.

Okręt był jakby nadziany na szpice skał, wystających z piaszczystej ławicy. Trzy zęby uszkodziły wierzchnie poszycie kadłuba w chwili katastrofy i trzymały go teraz jak podpory. Owe podpory były nachylone w kierunku przeciwnym aniżeli kurs "Alaski" w momencie katastrofy, to znaczy ku północy, co tłumaczyło fakt, że zatrzymały okręt na skraju ławicy piasku i nie dopuściły do tego, żeby mocniej wbił się w rafę. Ostateczny środek, jakiego chwycił się Eryk, kierując okręt wstecz, także przyczynił się do tego, że uderzenie było mniej gwałtowne. Okręt, którego maszyny jęły pracować wstecz na moment przed uderzeniem, miał tylko taką szybkość, jaką nadał mu prąd oraz resztkę rozpędu nabytego w drodze. Bez wątpienia, gdyby nie to, roztrzaskałby się na kawałki. Z drugiej strony, fale biegnące przez całą noc w jednym kierunku oraz niezmienny wiatr sprawiły, że "Alaska" trzymała się w miejscu zamiast osadzać się głębiej na skałach, co musiałoby nastąpić przy zmianie kierunku wiatru. W sumie trudno było mieć więcej szczęścia podczas katastrofy. Cały problem polegał teraz na tym, by uwolnić okręt, zanim nagłe uderzenie bryzy odmieni te nad wyraz sprzyjające warunki.

Eryk postanowił nie tracić ani chwili. Zaraz po śniadaniu rozkazał ludziom wziąć się do roboty, aby poszerzyć siekierami trzy główne otwory w oszalowaniu zewnętrznym, powstałe przy zderzeniu się ze szpicami skał. Niechaj tylko jakiś holownik wysłany z Lorient nadpłynie właśnie teraz, okaże się wprędze możliwe uwolnienie "Alaski" niemal bez wysiłku. Łatwo sobie wyobrazić, z jaką niecierpliwością komendant wypatrywał ukazania się najmniejszego choćby słupa dymu na horyzoncie.

Wszystko stało się tak, jak tego pragnął Pogoda utrzymywała się nadal spokojna i łagodna, a około południa na wodach nie opodal "Alaski" pojawiło się awizo i zaraz za nim holownik. Awizem kierował porucznik z okrętu, który kurtuazyjnie stawił się na rozkazy rozbitków.

Eryk oraz dowództwo przyjęli go jak wypadła u wejścia, po czym wszyscy zeszli do salonu.

— Ale wytłumaczcie mi, proszę, panowie — zwrócił się do Eryka porucznik — jak to się stało, że wypłynąwszy zaledwie z Brestu wpadliście na rafy wyspy Sein?

— Ta mapa panu to wyjaśni — odparł Eryk. — Nie ma na niej żadnego śladu tego rodzaju niebezpieczeństwa.

Oficer francuski przyglądał się mapie zrazu z zaciekawieniem, na koniec ze zdumieniem

przedstawionej mu trasie geograficznej.

— Rzeczywiście, Basse-Froide nie jest zaznaczona... ani Pont de Sein!... — zawołał. — To niesłychane niedbalstwo!... Jak to, ciemny błękit wielkich głębokości tuż przy samej wyspie. I ten urwisty kształt!... Nawet pozycja latarni morskiej nie jest oznaczona właściwie... Zdumiewa mnie to coraz bardziej!.. A jednak jest to mapa admiralicji brytyjskiej!... Ale jako zła mapa jest chyba jedną z pierwszych!... Rzekłbyś, iż komuś sprawiało przyjemność uczynić ją myłą, błędną i perfidną!... Żeglarze z dawnych lat chętnie robili takie sztuczki swoim rywalom! Nigdy bym nie uwierzył, że w Anglii przetrwały jeszcze takie obyczaje:

— Czy to takie pewne, że jest to mapa angielska? — spytał pan Bredejord swoim słodkim głosem. — Bo co do mnie, podejrzewam zupełnie coś innego. Ta mapa mogła być dziełem fałszerza, który zbrodniczą ręką położył ją na miejscu właściwej.

— Tudor Brown! — zakrzyknął wściekle Eryk. — Tego wieczora, kiedy odbyła się kolacja u prefekta Brestu!... Kiedy wszedł do kajuty kapitana pod pretekstem, by sprawdzić coś na mapie!... O, niktzemnik! Czyżby dlatego nie wrócił na pokład?..

— To się wydaje aż nadto oczywiste! — rzekł doktor Schwaryencrona. — A jednak taki uczynek dowodzi niesłychanej przepaści zbrodniczych instynktów!... W jakim celu go popełnił!?!...

— A w jakim celu naumyślnie przyjechał do pana do Sztokholmu, aby panu powiedzieć, że Patrick O'Donoghane nie żyje? — zareplikował pan Bredejord. — W jakim celu złożył sumę dwudziestu pięciu tysięcy kronerów na podróż "Alaski", gdy ta podróż nie ulegała już wątpliwości?... W jakim celu zaokrętował się wraz z nami, aby nas opuścić w Breście?... Po prawdzie wydaje mi się, że trzeba być ślepym, żeby nie dostrzec w tych wydarzeniach myślenia równie logicznego, co przerażającego! Jaki jest w tym wszystkim interes Tudora Browna? Nie mam pojęcia. Ale ten interes musi być poważny, bardzo dla niego groźny, skoro nie cofnął się przed podobnymi środkami, aby udaremnić nam poszukiwania. Jestem bowiem teraz przekonany, że to on sprawił, iż musieliśmy zatrzymać się w Breście, to on prowadził nas jakby za rękę na rafy, gdzie mieliśmy znaleźć śmierć!

— A jednak wydaje mi się trudne do uwierzenia, by mógł odgadnąć, jaką drogę wybierze kapitan! — przeciwstawił się uczciwie pan Malarius.

— Dlaczego nie? Czy droga nie była po prostu wskazana przez zmiany, jakie naniósł na mapie? Po trzech dniach opóźnienia było niemal pewne, że komendant Marsilas zechce nadrobić stracony czas i ruszy najkrótszą drogą! Uważając, że morze jest wolne od skał przy brzegu wyspy Sein i zmierzając na południe, musiał wpaść na płyciznę, na to można było liczyć.

— To prawda — rzekł Eryk — ale dowodem na to, że ta trasa była wyraźnie niepewna, jest fakt, iż prosiłem komendanta, abyśmy płynęli jeszcze dalej na zachód.

— Kto wie, czy inne mapy nie są przygotowane tak, by nas zmylić w innych rejonach, gdybyśmy uniknęli katastrofy na Basse-Froide? — zakrzyknął pan Bredejord.

— To łatwo sprawdzić — odparł Eryk kierując się do szafy, z której wyjął wszystkie mapy szczegółowe, jakie tam znalazł.

Pierwsza, którą wyjął, była mapą pobrażę La Coruña. Oficer francuski rzuciwszy na nią okiem stwierdził dwa czy trzy błędy bardzo poważne. Druga dotyczyła Przylądka św. Wincentego. Wszystko i tutaj się powtórzyło, Trzecia była mapą Gibraltaru. Tutaj również fałszywe wskazówki rzucały się w oczy. Bardziej dokładne badanie było niepotrzebne. Gdyby rozbitcie "Alaski" nie nastąpiło na skałach w pobliżu wyspy Sein, musiałyby do tego dojść, zanim okręt dotrze do Malty.

Jeśli natomiast chodzi o sposób, w jaki przygotowano owe zamachy, dokładniejsze oględziny map ujawniły to niezbitcie. Były to rzeczywiście mapy admiralicji angielskiej, lecz zmyte częściowo



jakimiś środkami chemicznymi i wyretuszowane w taki sposób, by, między prawidłowe wskazówki nanieść błędne. Choć owe retusze były bardzo zręcznie zrobione, odróżniały się od reszty mapy odcieniem i barwą, co było widać lepiej, gdy się o tym wiedziało. Na koniec jeszcze jedna okoliczność stawiała ponad wszelką wątpliwość premedytację winnego: mapy "Alaski" nosiły pieczęć ministerstwa szwedzkiej marynarki; te, które wymieniono w tej kolekcji, nie miały pieczęci. Falszeryz pomyślał widać, że ci, co zmierzają na śmierć, nie będą się przyglądać mapom tak dokładnie.

Te kolejne odkrycia pogrążyły w konsternacji wszystkich, którzy brali udział w poszukiwawczej ekspedycji. Eryk pierwszy przerwał głębokie milczenie, które zapadło po tej dyskusji.

— Biedny kapitan Marsilas! — rzekł głosem pełnym wzrusze ma. — To on za nas wszystkich zapłacił!... Ale skoro uniknęliśmy, niemal cudem, straszego losu, jaki był nam przeznaczony, starajmy się już więcej, nic nie zostawiać przypadkowi!... Przyptyw wzbiera i woda będzie wkrótce tak wysoka, że uda nam się uwolnić "Alaskę"!... Jeśli panowie chcecie, zajmiemy się tym od razu!

Mówił z prostotą i godnością oraz autorytetem, którym napawała go świadomość swojej odpowiedzialności. Wiedział, że wyniesienie w tak młodym wieku do godności dowódcy okrętu, w takich niezwyklej okolicznościach i na samym początku owej ryzykownej ekspedycji, było przygodą dość niespodziewaną. Ale już od poprzedniego dnia miał pewność, że potrafi sprostać wszystkim swoim obowiązkom; wiedział, że może liczyć na samego siebie oraz na załogę "Alaski" i ta myśl całkiem go przeistoczyła. Będąc wczoraj jeszcze dzieckiem, dziś stał się mężczyzną. Płomień herosów lśnił w jego oczach. Jego przemiana narzucała się w sposób przemożny całemu otoczeniu. Pan Bredejord i doktor ulegli temu na równi z innymi.

Operacja przygotowana porannymi pracami okazała się łatwiejsza, niż można było się spodziewać. Uniesiony falą w górę okręt domagał się tylko, rzekłbyś, by oderwać się od przytrzymujących go szpiców skał. Wystarczyło, by holownik ruszył z miejsca i pociągnął za sobą cumy rufy, aby ze skrzypieniem ocierającego się drewna i odgłosami pękających tu i ówdzie burt okręt wyzwolił się z ogromnego uścisku i nagle stał się wolny — obciążony, to prawda, wodą wypełniającą jego uszkodzone pomieszczenia, pozbawiony pomocy swojej śruby, która uległa zgnieceniu, i maszyny parowej, teraz milczącej i bezwładnej, lecz zdolny do poruszania się, posłuszny, sterowi i gotów płynąć, jeśli będzie trzeba, pod swoimi dwoma fokami i marslem.

Cała załoga zebrana na pokładzie śledziła z przejęciem wszystkie zabiegi wokół uwolnienia "Alaski" i radosnym "hurra" obwieściła pomyślny finał operacji. Francuskie awizo i holownik odpowiedziały na ten okrzyk radości podobnymi oznakami zadowolenia. Było około trzeciej po południu. Tuż nad horyzontem piękne lutowe słońce wyłacało spokojne i świetliste morze, którego wody nakrywały całkowicie piaski skały Basse-Froide, pragnąc jakby wymazać z pamięci podróżnych wspomnienie nocnego dramatu.

Jeszcze tego samego wieczoru "Alaska" znalazła bezpieczne schronienie na redzie Lorient. Nazajutrz władze marynarki francuskiej, pełne dobrej woli, zatwierdziły wprowadzenie jej do suchego doku naprawczego w Caudan. Awarie kadłuba nie były poważne. Uszkodzenia maszyny okazały się bardziej skomplikowane, ale znaleziono i na to radę. Kto, wie, czy gdzie indziej nie wymagałyby one dłuższego okresu napraw. A na pewno, jak sądził Eryk, nie znalazłby z dnia na dzień nigdzie na świecie owych cennych części, jakie ofiarowywały mu warsztaty okrętowe, kuźnie i odlewnie w Lorient Firma Gamard, Noris, Sp. zobowiązała się wszystko naprawić w ciągu trzech tygodni. Był 23 luty; 16 marca można będzie ruszyć w dalszą drogę, tym razem z dobrymi mapami

Zostało tedy trzy i pół miesiąca na podróż do Cieśniny Beringa, by znaleźć się tam w końcu czerwca. Przedsięwzięcie nie było niewykonalne, jakkolwiek zmniejszył się bardzo limit czasu. Eryk

bał się tylko, by nie natrafiono na jakieś nowe przeszkody. Dlatego odmówił wysiania do Sztokholmu raportu o katastrofie, gdyż mógłby zostać wezwany i zmuszony do złożenia skargi na przypuszczalnego sprawcę zamachu, co pociągnęłoby za sobą dochodzenie sądów kryminalnych.

Kto jednak wie, czy bezkarność nie zachęci Tudora Browna do mnożenia przeszkód na drodze "Alaski"? Takie pytanie zadawali sobie pan Bredejord i doktor podczas partyjek wista rozgrywanych z panem Malariusem w saloniku hotelu, gdzie się zatrzymali po przybyciu do Lorient.

Dla pana Bredejorda sprawa nie budziła wątpliwości. Taki złoczyńca jak Tudor Brown, jeśli wiedział o swoim niepowodzeniu — a jak tu sądzić, że nie wiedział — nie cofnąłby się przed niczym, aby rzecz powtórzyć. Wierzyć więc w to, że kiedykolwiek dotrą do Cieśniny Beringa, było czymś więcej niż iluzją, było szaleństwem. Pan Bredejord nie wiedział, jak Tudor Brown zabierze się do dzieła, by do tego nie dopuścić, ale to pewne, że znajdzie na to sposób. Doktor Schwaryncrona przychylił się do zdania przyjaciela, a i pan Malarius nie był bynajmniej spokojny. Popsuł się więc nastrój podczas partii wista, również spacerów za miasto, które trzej przyjaciele często odbywali, nie były teraz wesołe. Przede wszystkim postanowiono wybudować grobowiec dla kapitana Marsilasa, w jego pogrzebie wzięło udział całe Lorient. Widok tej żałobnej uroczystości nie mógł natchnąć tych, co przeżyli katastrofę, nazbyt różowymi myślami. Wystarczało im jednak zetknąć się z Erykiem, aby znów nabrać nadziei. Jego postanowienie było tak niepodważalne, aktywność tak stała, wola i pewność przewycięzania wszelkich przeszkód, jakiekolwiek by się pojawiły, tak niezachwiane, że nie sposób było okazywać, a nawet zachowywać w głębi siebie uczucia mniej heroiczne.

Pewne wydarzenie dowodziło jednak wkrótce, że Tudor Brown nie zrezygnował ze swego planu. 14 marca, pod wieczór, Eryk wiedział, iż prace nad maszyną są niemal ukończone. Pozostawało tylko umocowanie jednej z pomp, co miało zostać zrobione nazajutrz. O oznaczonej godzinie wszystko miało być gotowe. Otóż w nocy z 14 na 15 marca owa pompa zniknęła z warsztatów panów Gamard, Noris i Sp., i nie udało się jej odnaleźć. Jak można było dokonać takiej kradzieży? Kim byli sprawcy? Najdokładniejsze dochodzenia nie zdołały tego ustalić.

W każdym razie potrzeba było jeszcze dziesięciu dni na naprawienie szkody, co sprawiło, że "Alaska" będzie mogła wyruszyć w dalszą podróż dopiero 25 marca.

Rzecz osobliwa, ten wypadek miał większy wpływ na Eryka aniżeli sama katastrofa. Dojrzał w nim pewne świadectwo upartej woli niedopuszczenia do podróży "Alaski". I ta oczywistość zdwoiła w nim jeszcze, jeśli to było możliwe, pragnienie doprowadzenia podróży do szczęśliwego zakończenia.

Owe dziesięć dni poświęcił na wszechstronne przemyślenie sprawy. Im więcej się zastanawiał, tym bardziej nabierał przekonania, że zadanie dotarcia do Cieśniny Beringa w trzy miesiące trasą, którą znalazł Tudor Brown, podczas gdy "Alaska" w czterdzieści dni po opuszczeniu Sztokholmu, znajdowała się jeszcze w Lorient, było zmierzaniem do niepowodzenia, jeśli nie do ostatecznej katastrofy.

Ta konkluzja nie zatrzymała go w miejscu; doprowadziła go raczej do przeświadczenia, że konieczna jest modyfikacja dawnych planów. Na razie nikomu o tym nie napomykał sądząc, nie bez racji, że zachowanie tajemnicy jest głównym warunkiem zwycięstwa. Zadowolił się tylko jeszcze baczniejszym obserwowaniem prac naprawczych.

Ale jego towarzysze spostrzegli teraz, że mniej się jakby spieszył z odpłynięciem. Wyszuli z tego wniosek, że przedsięwzięcie wydaje mu się nie do urzeczywistnienia, o czym sami byli też przekonani.

W tym właśnie względzie mylili się.

25 marca w południe "Alaska" opuściła dok, wypłynęła na redę, po czym znalazła się na pełnym

morzu.

# ROZDZIAŁ XV

## NAJKRÓTSZA DROGA

Wybrzeża Francji zniknęły dopiero co na horyzoncie, gdy Eryk poprosił do salonu swoich trzech przyjaciół na ważną naradę.

— Zastanawiałem się bardzo głęboko — rzekł do nich — nad okolicznościami, które towarzyszyły nam w tej podróży od chwili opuszczenia Sztokholmu i doszedłem do następującej konkluzji: musimy się spodziewać, że nadejść będziemy napotykać przeszkody i opóźnienia. Ten, kto ośmielił się posłać nas na śmierć na Basse-Froide, nie uzna się za pokonanego!... Kto wie, czy nie wypatruje już nas w Gibraltarze, na Malcie lub gdzie indziej... Jeśli nie uda mu się spowodować naszej zguby, na pewno będzie opóźnił nam podróż. Nie dotrzemy więc do Cieśniny Beringa w lecie, jedynym sezonie, kiedy Ocean Lodowaty jest dostępny.

— Takie jest również moje zdanie. — oświadczył, pan Bredejord. — Zachowywałem je dla siebie, bo nie miałem ochoty odbierać ci, drogi chłopcze, całej nadziei. Ale jestem przekonany, że musimy teraz zrezygnować z przebycia w trzy miesiące przestrzeni dzielącej nas od Cieśniny Beringa.

— I ja jestem również tego zdania — rzekł doktor.

Pan Malarius potwierdził skinieniem głowy, że i on podziela tę opinię.

— Skoro to ustaliliśmy — rzekł Eryk — jak powinniśmy się teraz zachować?

— Istnieje tylko jedno wyjście rozsądne i zgodne z naszymi obowiązkami — odparł pan Bredejord — a mianowicie zrezygnować z przedsięwzięcia, które uznajemy za rzecz nie do zrealizowania, i wrócić do Sztokholmu. Podjąłeś to, mój chłopcze, a ja wieszczę ci, w imieniu nas wszystkich, że potrafiłeś spojrzeć tej konieczności prosto w twarz.

— Oto komplement, którego nie mógłbym przyjąć — roześmiał się Eryk — dlatego że wcale nań nie zasługuję. Nie! Wcale nie myślę, o zrezygnowaniu z naszego przedsięwzięcia i daleki jestem od tego, by uznać je za niewykonalne!... Sądzę tylko, że aby doprowadzić je do pomyślnego zakończenia, musimy koniecznie wywieść w pole tego szpiegującego nas łajdaka, a w tym celu przede wszystkim należy zmienić całkowicie naszą trasę.

— Zmiana trasy sprowadzi na nas tylko rozmaite komplikacje — odparował doktor — gdyż wybraliśmy przecież najkrótszą drogę. Skoro nie możemy dotrzeć w trzy miesiące do Cieśniny Beringa płynąc Morzem Śródziemnym i przez Kanał Sueski, tym bardziej nie zdołamy tam się znaleźć wybierając drogę przez Przylądek Dobrej Nadziei lub przylądek Horn, gdyż obie te drogi zabiorą nam niewątpliwie pięć lub sześć miesięcy.

— Istnieje jeszcze inna, która skróci podróż, miast ją wydłużyć, i gdzie będziemy pewni, że nie spotkamy Tudora Browna — powiedział Eryk nie poruszony tymi zastrzeżeniami.

— Inna droga? — zaoponował pan Schwaryencrona. — Na honor, nie znam jej; jeśli przypadkiem nie myślisz o drodze prowadzącej przez Panamę!... Otóż, o ile wiem, jest ona niedostępna jeszcze dla okrętów i nie będzie dostępna przez wiele lat!

— Nie myślę ani o Kanale Panamskim, ani o przylądku Horn, ani też o Przylądku Dobrej Nadziei — odparł młody kapitan "Alaski". — Mówię o jedynej drodze, którą moglibyśmy dotrzeć do Cieśniny Beringa w trzy miesiące, a mianowicie o Oceanie Lodowatym, o drodze morskiej północnozachodniej.

Po czym widząc zdumienie słuchaczy zaskoczonych tą nieoczekiwaną konkluzją, Eryk postanowił

ją rozwinąć:

— Droga północnozachodnia nie jest dziś tym, czym była niegdyś — mówił dalej — postrachem i trwogą żeglarzy. Jest to droga okresowa, dostępna każdego roku zaledwie przez dziesięć, może dwanaście tygodni, ale obecnie doskonale znana, oznaczona na dokładnych mapach, uczęszczana przez setki okrętów wielorybicznych. Zgadzam się z tym, iż rzadko obiera się tę właśnie drogę, chcąc przedostać się z Atlantyku na Pacyfik. Wszyscy ci, co wpływają na nią z tej lub z tamtej strony, przebywają ją tylko częściowo. Może się nawet zdarzyć, jeśli okoliczności okażą się niesprzyjające, że będzie ona dla nas zamknięta akurat wtedy, gdy nam to będzie potrzebne. To kwestia przypadku!... Ale, powtarzam to jeszcze raz, istnieje wiele szans odniesienia sukcesu obierając tę drogę, podczas gdy każda inna zapowiada niepowodzenie. Tak więc naszym obowiązkiem, zleceniem, jakie otrzymaliśmy od naszych sponsorów, i tym, co narzuciliśmy sami sobie, jest zaakceptowanie jedyne go sposobu przybycia na czas do Cieśniny Beringa. Zwykły okręt przystosowany do podróży po morzach południowych mógłby nie sprostać zadaniu. Lecz mając okręt taki jak "Alaska", przysposobiony do okrążenia koła polarnego, nie mogę się wzdragać. Co do mnie, oświadczam, iż być może wrócę do Sztokholmu nie odnalazszy Nordenskjölda!... Ale nie wrócę tam nie spróbowawszy wszystkich możliwości, by go odnaleźć!

Rozumowanie Eryka było tak logiczne, że nikt nie ośmielił się oponować. Co mógłby mu przeciwstawić doktor, pan Bredejord i pan Malarius? Dostrzegali oczywiście trudności związane z nowym planem, ale te trudności były może do pokonania, podczas gdy każdy inny plan nie rokował żadnej nadziei. Toteż przyznali bez wahania, że bardziej chwalebne będzie zakosztowanie tej przygody, aniżeli powrót do Sztokholmu bez sukcesu.

— Ze swojej strony widzę jedną poważną przeszkodę — powiedział doktor Schwaryencrona po paru minutach głębokiego zastanowienia. — Trudność zdobycia węgla w regionach arktycznych. Owóz bez węgla zegnaj możliwości przebycia drogi morskiej północnozachodniej w czasie tak bardzo krótkim, kiedy to jest w ogóle możliwe!

— Przewidziałem tę trudność, jedyną zresztą — odparł Eryk — ale nie uważam jej za niemożliwą do pokonania. Zamiast skierować się na Gibraltar i na Maltę, gdzie czekają na nas nowe machinacje Tudora Browna, udamy się do Londynu. Stamtąd wyślę kablem transatlantyckim do jednej z firm w Montrealu depeszę, by wyekspediowała natychmiast statek z węglem do wybrzeży Morza Baffina, a do jednej z firm w San Francisco polecenie, by wysłała okręt do Cieśniny Beringa. Mamy wystarczające zasoby, a nawet coś nadto, gdyż ilość potrzebnego nam węgla będzie o wiele mniejsza od tej, jaką zużylibyśmy płynąc dookoła Azji, gdyż tędy odległość będzie o wiele mniejsza. Nie trzeba dodawać, że znajdziemy się na Morzu Baffina przed końcem maja i nie możemy w żaden sposób ludzić się, że dotrzemy do Cieśniny Beringa przed końcem czerwca. Nasi dostawcy z Montrealu i San Francisco będą więc mieli aż nadto czasu na wykonanie naszych poleceń, opłaconych z depozytów funduszu złożonego u pewnego bankiera w Londynie... Wtedy już tylko będzie należało drogę morską północnozachodnią zastać otwartą. To oczywista nie zależy od nas. Ale jeśli będzie ona zamknięta, pocieszymy się przynajmniej tym, że nie pominęliśmy niczego, co mogłoby nas doprowadzić do sukcesu.

— To oczywiste! — zakrzyknął pan Malarius. — Mój drogi chłopcze, trudno spierać się z twoimi argumentami!

— Zaraz! Zaraz! — powiedział pan Bredejord. — Nie bądźmy tacy w gorącej wodzie kąpani! Ja mam jednak pewne zastrzeżenie. Czy sądzisz, mój drogi Eryku, że "Alaska" zdoła stać się niewidoczna na wodach Tamizy? Nie, prawda? Gazety rozpiszą się o jej przybyciu. Agencje telegraficzne rozprzestrzenia tę wiadomość. Tudor Brown dowie się o tym również. Będzie umiał

wysunąć z tego wniosek, że zmieniliśmy plany. I któż mu przeszkodzi zmienić swoje? Czy sądzisz, że tak trudno będzie mu udaremnić przybycie okrętów z węglem, bez których nic nie wskórasz?

— To prawda — odparł Eryk — i to dowodzi, jak dalece trzeba o wszystkim myśleć. Nie pojedziemy do Londynu. Zatrzymamy się w Lizbonie, jakbyśmy zdążyli nadal do Gibraltaru i Suez. Jeden z nas pojedzie wówczas do Madrytu i nie mówiąc nikomu po co i dlaczego, połączy się telegraficznie z Montrealem i z San Francisco, aby zamówić okręty z węglem. Nikt nie będzie wiedział, dla kogo ładunek jest przeznaczony; będą czekały w oznaczonych miejscach na dyspozycje kapitana, który poda znane im hasło.

— Cudownie! Tym sposobem niepodobna, by Tudor Brown odnalazł nasze ślady — orzekł pan Bredejord.

— Chciał pan powiedzieć "moje" ślady, bo mam nadzieję, że nie wybieracie się panowie wraz ze mną na Morze Arktyczne — powiedział Eryk.

— Na honor! I ja chcę mieć czyste sumienie w tej sprawie! — odpowiedział doktor. — Ten zbrodniarz Tudor Brown nie pochwali się tym, że się przed nim cofnąłem!

— Ani ja! — zawołali jednocześnie pan Bredejord i pan Malarius.

Młody kapitan chciał obalić to postanowienie, tłumaczył swoim przyjaciółom, że podróż, na którą się decydują, jest niebezpieczna i zarazem monotonna. Ale nic nie zdziałał przeciw tej decyzji. Niebezpieczeństwa, które przeżyli razem, nakładały na nich obowiązek, będący teraz sprawą honoru, dotrwania do końca. Zwłaszcza że właśnie fakt, iż się nie rozłączą, uczyniłby tę podróż znośną. A ponadto, czyż nie przedsięwzięto wszelkich środków, żeby chłód nie doskwierał na pokładzie "Alaski"? Czyżby Norwegowie i Szwedzi mieli obawiać się mrozu?

Krótko mówiąc, Eryk musiał skapitulować i w końcu zostało postanowione, że zmiana trasy nie pociągnie za sobą żadnych zmian w składzie osobowym okrętu.

"Alaska" prześliznęła się szybko przez pierwszą część drogi. 2 kwietnia zjawiała się w Lizbonie. Zanim jeszcze gazety portugalskie zasygnalizowały jej obecność, pan Bredejord udał się do Madrytu i poprzez pewien bank oraz francuski kabel transatlantycki nawiązał kontakt z dwiema poważnymi firmami, jedną w Montrealu, drugą w San Francisco. Zawarł z tymi firmami układ o dostarczenie dwóch okrętów węglowych rozstawionych w rozmaitych punktach oraz przekazał hasło, dzięki któremu Eryk da się rozpoznać. Owym hasłem nie było nic innego, aniżeli dewiza znaleziona przy nim, gdy płynął na kole ratunkowym z "Cynthii": *Semper idem*. Wreszcie 9 kwietnia, gdy owe transakcje zostały ostatecznie zawarte, pan Bredejord wrócił do Lizbony i "Alaska" wypłynęła na pełne morze.

25 tego samego miesiąca okręt, przebywszy szczęśliwie Atlantyk, dotarł do Montrealu, nabrał tam węgla i tam również upewniono się, że polecenia zostały punktualnie wykonane. 29 opuścił wody Zatoki św. Wawrzyńca, by nazajutrz przebyć Cieśninę Belle Isle, która oddziela półwysep Labrador od Nowej Funlandii. 10 maja zastał w Godhavn, na grenlandzkim wybrzeżu, czekający nań okręt z węglem.

Eryk wiedział doskonale, że o tej porze nie powinien nawet myśleć o przebyciu koła podbiegunowego ani też zapuszczać się w kręte zakosy północnej drogi morskiej pokrytej jeszcze lodem na większej części swojej długości. Ale liczył słusznie, że w tych okolicach, odwiedzanych przez wielorybników, zbierze informacje o najlepszych mapach. Ponadto zakupił też z tuzin psów, i to po cenie dość wysokiej, które wraz z Klaasem miały w razie potrzeby stanowić zaprzęg do sań.

Jak wszystkie duńskie stacje na wybrzeżu Grenlandii, Godhavn jest tylko biedną wioską służącą za skład kupcom oliwy i futer pochodzących z tego kraju. O tej porze nie jest tam wcale zimniej niż w Sztokholmie i Norø. Lecz Eryk i jego przyjaciele skonstatowali ze zdumieniem, że dwa kraje

położone w tej samej odległości od bieguna mogą się tak bardzo różnić między sobą. Godhavn znajduje się na tej samej szerokości co Bergen. Owóż, podczas gdy Norwegia Południowa jest w kwietniu cała zielona od szmaragdowych lasów i drzew owocowych, a nawet od winorośli sadzonej szpalerami na warstwach nawozu, Grenlandię jeszcze w maju pokrywa śnieg i lód i żadne drzewo nie rozweseli monotonii krajobrazu. Kształt norweskiego wybrzeża, pociętego fiordami i osłoniętego łańcuchami wysp, przyczynia się prawie tak jak ciepło Golfstromu do podniesienia temperatury w całym kraju. W Grenlandii przeciwnie, płaskie i regularne wybrzeża otrzymują, by tak rzec, z pierwszej ręki lodowate bryzy biegunowe. Toteż pokrywa je aż do połowy wyspy warstwa lodu grubości wielu stóp.

Piętnaście dni zabrał ten postój, po czym "Alaska" popłynęła Cieśniną Davisa wzdłuż brzegów grenlandzkich aż do koła podbiegunowego i przebyła je.

28 maja napotkano pierwsze kry lodowe na 70°15' szerokości północnej przy temperaturze dwa stopnie poniżej zera. Te pierwsze kry były w stanie całkowitego rozpadu lub płynęły małymi, oddzielnymi grupkami, żegluga nie nastroczała więc poważnych niebezpieczeństw ani rzeczywistych trudności. Ale wkrótce stały się bardziej zwarte i trzeba było często posługiwać się uderzeniami dzioba, by torować sobie drogę. Można było spostrzec na podstawie tysiąca szczegółów, że tu zaczął się świat całkiem inny. Wszystkie przedmioty nieco oddalone wydawały się jakby pozbawione koloru i, by tak rzec, ciała. Oko nie potrafiło nigdzie spocząć wobec nieustannej ruchomości horyzontów, których wygląd zmieniał się z minuty na minutę pod wpływem rozpuszczającego działania fal i słońca na te pływające masy. Ale nade wszystko nocą, w promieniach latarni umieszczonej na bocianim gnieździe "Alaski", Morze Baffina, na które podróżni wpłynęli właśnie, nabierało fantastycznego wyglądu.

"Kto zdołałby — powiedział jeden z naocznych świadków — oddać urok tych melancholijnych obrazów, szemranie fal pod błędzącymi krami, osobliwy trzask gron śniegu, które opadają nagle i gasną w wodzie jak trzeszczące płomienie? Któż zdołał sobie wyobrazić wspaniałe kaskady spływające zewsząd, wzbijanie się piany spowodowane ich opadaniem, komiczne przerażenie ptaków morskich, drzemiących na lodowych tratwach, które tracąc nagle swój punkt oparcia wzbijają się w górę, wirując dookoła, po czym siadają na jakiejś następnej?... A rano, przedziwna fantasmagoria, kiedy słońce ze swoją lśniąca aureolą chmur pierzastych przebija nagle mgłę, ukazując najpierw niewielki skrawek błękitnego nieba, który z wolna powiększa się i zdaje się ścigać aż po horyzont zwiewne obłoki umykająca w szalonym popłochu".

Takie widoki i wiele innych, jakie napotyka się na morzach północnych, Eryk i jego przyjaciele mogli podziwiać do woli oddalając się od wybrzeży Grenlandii, wzdłuż której płynęli aż do Upernaviku, by skierować się dalej na zachód i przepłynąć Morze Baffina przez całą jego szerokość. Tutaj trudności stały się poważniejsze, gdyż to morze jest wielkim gościńcem lodów polarnych spychanych przez najrozmaitsze prądy zbiegające się tutaj. "Alaska" musiała niemal stale torować sobie drogę poprzez, olbrzymie pola lodowe. Czasem zatrzymywały ją w miejscu bariery nie do pokonania, które trzeba było opływać, nie mogąc ich przeciąć. Lub atakowały ją burze śnieżne, które pokrywały pokład, maszty i cały osprzęt okrętu grubą warstwą waty. Otaczana zewsząd spiętrzeniami kry, którą wiatr spychał na nią nagle, mogła zostać w nich pogrzebana, Kiedy indziej wpływała na *wacke*, rodzaj stawu otoczonego groblą i zamkniętego jak zaułek. Czy wydostanie się z niego i wypłynięcie na otwarte wody? Ale wtedy właśnie trzeba było mieć oczy szeroko otwarte, żeby nie nadstawić burty na cios monstrualnego icebergu, przybywającego z północy z zawrotną szybkością, którego potworna masa zgniotłaby "Alaskę" jak orzech laskowy. Jeszcze większe niebezpieczeństwo zagrażało okrętowi ze strony podwodnych gór lodowych, które kil poruszał i przewracał — istne

paradoksy hydrostatyczne, które czekały tylko na jakiś zderzenie, żeby wznieść się z gwałtownością najczęściej straszliwą miażdżąc wszystko jakby taranem. "Alaska" straciła w ten sposób swoje dwie szalupy i niejednokrotnie musiała wciągać na pokład śrubę, aby unieść jej skrzydła. Trzeba przejść samemu przez owe doświadczenia i niebezpieczeństwa, czyhające co chwila podczas żeglugi arktycznej, aby wyrobić sobie o tym choćby przybliżone pojęcie. Po tygodniu lub dwóch podobnych zmagani najbardziej nieustraszona załoga znajduje się u kresu sił. Odpoczynek jest dla niej konieczny.

Jednakże te zmagania i niebezpieczeństwa kompensowały szybkość, z jaką stopnie długości geograficznej przesuwają się jak paciorki różańca w księżde pokładowej. Bywały dni, że naliczano ich dziesięć, a może dwanaście. Ale bywały i takie, kiedy wypadał jeden albo może jeszcze mniej. Na koniec 11 czerwca "Alaska" dobiła do stałego lądu i rzuciła kotwicę u wejścia do cieśniny Lancaster.

Eryk sądził początkowo, że będzie musiał czekać parę dni, zanim wpłynie na ten długi korytarz. Ku swojemu zdumieniu i radości zastał go wolnym od lodu — przynajmniej u wejścia. Ale już nazajutrz okręt został zablokowany przez krę na całe trzy dni. Dzięki gwałtownym prądom, które wymiatały ten arktyczny kanał, wkrótce uwolnił się jednakże od lodu, co zresztą przepowiedzieli mu wielorybnicy z Godhavn.

Siedemnastego "Alaska" przybyła do Cieśniny Barrowa i pomknęła nią całą siłą pary. Lecz dziewiętnastego, w chwili kiedy miała wpłynąć do Cieśniny Viscount Melville'a, na wysokości przylądka Walker, zagroziły jej drogę zwały lodu.

Z początku Eryk odnosił się do tego niepowodzenia z cierpliwością. Ale dzień mijał za dniem, a ruszenie lodów nie następowało.

Prawdę rzekłszy rozrywek nie brakowało podróżnym. Uwięzieni blisko brzegu i zaopatrzeni we wszystko, co mogłoby ich sytuację uczynić mniej godną pożałowania, mogli wybierać się na przejażdżki sankami, polować na foki, przyglądać się z dala igraszkom wielorybów. Zbliżało się letnie przesilenie dnia z nocą; od piętnastego "Alaska" podziwiała to zdumiewające i nieznanie nawet dla Norwegów i Szwedów z południa zjawisko: owo słońce północy lśniące na horyzoncie i obiegające go wokół, po czym wzbijające się w niebo, Wznosząc się wzrokiem na wysokość bez miana, która tworzy kopułę nad tymi krajami rozpaczy, można było zobaczyć słońce opisujące w przestrzeni całkowite koło w ciągu dwudziestu czterech godzin. Wieczorem skąpani w jego blasku podróżni widzieli, że dalej, na południu, mrok spowijał świat. Owo światło jest co prawda blade i słabe; kształty tracą swoją wypukłość; cień przedmiotów staje się coraz bardziej rozmyty; cała natura przybiera obraz wizji. Każdy czuje wtedy mocno, w jak odległej znajduje się części świata, tak bliskiej biegunowi!... Mróz nie był silny. Temperatura nie spadała poniżej 4 lub 5 stopni. Czasami powietrze było tak łagodne, że podróżni sami nie mogli w to uwierzyć, iż naprawdę znajdują się w samym sercu strefy arktycznej.

Ale te ciekawostki nie pochłaniały Eryka w tym stopniu, iżby stracił z oczu zasadniczy cel. Nie przyjechał tutaj ani po to, by zbierać rośliny jak pan Malarius, który wracał każdego wieczoru coraz bardziej oczarowany swoimi wyprawami, na ląd, skąd przywoził nowe odmiany, które umieszczał w zielniku, ani też aby, jak pan Bredejord i doktor, napawać się nowością zjawisk, jakie ofiarowywała im podbiegunowa natura. Chodziło o odnalezienie Nordenskjölda i Patricka O'Donoghana, o wypełnieniu świętego obowiązku, poznając być może przy tym tajemnicę własnego urodzenia. I właśnie dlatego bez wytchnienia poszukiwał sposobu, aby skruszyć lodowe koło, w którym był zamknięty. Wyjazdy sankami, wyprawy w *schne-shuhe* aż po horyzont, zwiady w parowej szalupie — przez dziesięć dni wszystkiego próbował, by znaleźć jakieś wyjście. Zarówno na zachodzie, jak na północy oraz na wschodzie tafla lodowa była zwarta.



Było to 26 czerwca — i jeszcze tak daleko od wybrzeży Syberii! Czy należało uznać; że podróżni są pokonani? Eryk nie chciał tego za nic. Wielokrotne sondowanie potwierdziło, że pod taflą lodu płynie prąd, kierujący się ku Cieśninie Franklina, to znaczy na południe; pomyślał, że wysiłek nawet nieproporcjonalny mógłby spowodować ruszenie lodów i postanowił go spróbować.

Na długości siedmiu mil morskich kazał wyciąć w taflę łańcuch komór na miny, w odległości dwustu lub trzystu metrów . od siebie, i w każdej umieścić kilogram dynamitu. Po czym połączono owe komory miedzianym drutem w gutaperkowej osłonie. I 30 czerwca o ósmej rano Eryk z pokładu "Alaski" zapalił proch naciskając na guziczek aparatu elektrycznego.

Straszliwa eksplozja rozdarła powietrze. Sto wulkanów z pokruszonego lodu rzuciło jednocześnie w niebo białe snopy. Tafla zadygotała i poruszyła się jakby pod działaniem podwodnego trzęsienia. Chmury morskich ptaków oszalałych ze strachu zawirowały w górze wydając chrapliwe skrzeczenie. Kiedy cisza znów zapadła, długa czarna smuga pocięta we wszystkie strony bocznymi szczelinami przecinała jak okiem sięgnąć pole lodowe. Uniesiona wydotaniem się gazów, rozdarła niszczącą siłą wybuchu, lodowa tafla pękła. Po czym nastąpiła chwila jakby oczekiwania oraz wahań; wreszcie lody ruszyły, jakby tylko czekały na ten sygnał. Trzeszcząc ze wszech stron, pocięta, pokawałkowana tafla lodowa rozpadła się, ustąpiła prądowi podmywającemu ją od spodu i wkrótce popłynęła przed siebie. Tu i ówdzie to kontynent, to półwysep z lodu rozciągał się długą smugą protestując jak gdyby przeciw temu użyciu siły. Ale nazajutrz droga była wolna; "Alaska" mogła zapalić kotły. Eryk i dynamit dokonały tego, co blade słońce polarne uczyniłoby być może za jakiś miesiąc.

Ekspedycja dotarła do Cieśniny M'Clure'a 2 lipca; 4 wpłynęła na, ściśle rzecz ujmując, Ocean Lodowaty. Tutaj już droga była wolna mimo icebergów, mgieł i śniegu; 12 opłynęła Przylądek Icy; 13 Przylądek Lisburne'a, a 14 o dziesiątej rano weszła do Zatoki Kotzebue leżącej na północ od Cieśniny Beringa i zastała tam, zgodnie z poleceniem, okręt węglowy, który przybył z San Francisco. Tak dokonał się w dwa miesiące i szesnaście dni program zaplanowany w Zatoce Gaskońskiej.

"Alaska" jeszcze prawie nie zastopowała, a już Eryk skoczył do łodzi służącej do połowu wielorybów i przybił do burty węglowego statku:

— *Semper idem* — powiedział zwracając się do właściciela okrętu.

— Lizbona — odparł Janke.

— Od dawna czekacie tu na mnie?

— Od pięciu tygodni! Wyjechaliśmy z San Francisco w miesiąc po otrzymaniu pańskiej depechy.

— Czy ciągle brak nowin o Nordenskjöldzie?

— W San Francisco nie mówiono nic pewnego. Ale odkąd tu jestem, rozmawiałem z wieloma wielorybnikami, którzy mówili, że dowiedzieli się od tubylców z Sierdce-Kamień, iż europejski okręt od dziewięciu czy dziesięciu miesięcy jest uwięziony w lodach na zachód od tego przylądka. Sądzę, że to właśnie "Vega".

— Doprawdy! — zakrzyknął Eryk z radością, którą łatwo pojąć.

— Czy pan sądzi, że jest tam jeszcze i nie przepłynął cieśniny?

— Jestem pewien. Ani jeden statek nie przeprowił się tędy, żebym nie porozmawiał z załogą.

— Bogu niech będą dzięki! Nasze trudy zostaną nagrodzone, jeśli znajdziemy Nordenskjölda!

— Nie będziecie pierwsi, — powiedział Janke z ironicznym uśmiechem. — Wyprzedza was amerykański jacht. Przepłynął tędy trzy dni temu i tak jak wy wypytywał o Nordenskjölda.

— Amerykański jacht? — zdumiał się Eryk.

— Tak, "Albatros", kapitan Tudor Brown, jadący z Vancouver. Powiedziałem mu, co wiedziałem, a on natychmiast wziął kurs na Sierdce-Kamień.

# ROZDZIAŁ XVI

## Z PRZYLĄDKA SIERDCE-KAMIEŃ NA WYSPY LACHOWSKIE

Tudor Brown zwietrzył jednak zmianę drogi "Alaski", Mógł więc tedy prześcignąć ją w Cieśninie Beringa?... Jakim sposobem i którądy? Wydawało się to niemal nadprzyrodzone, ale było faktem

Choć wiadomość pognębiła Eryka, nie dał tego nikomu po sobie poznać. Lecz przyspieszył wszelkimi sposobami przeładunek węgla i kiedy składy zostały zapełnione, nie tracąc ani chwili wziął kurs na Morze Wschodniosyberyjskie.

Sierdce-Kamień jest długim cyplem azjatyckim, położonym zaledwie o jakieś sto mil w kierunku zachodnim od Cieśniny Beringa, który okręty wielorybiczne z Pacyfiku odwiedzają każdego roku. Po dwudziestu czterech godzinach żeglugi "Alaska" do niego dotarła i w Zatoce Koluczyńskiej rozpoznała za stosem kry lodowej smukłe omasztowanie "Vegi", uwięzionej tu od dziewięciu miesięcy.

Bariera, która więziła, Nordenskjölda, nie miała nawet dziesięciu kilometrów szerokości. Opłynąwszy ją "Alaska" wróciła na wschód, by rzucić kotwicę w małej zatoczce wolnej od lodu, osłoniętej od północnych wiatrów, po czym Eryk wraz z trzema przyjaciółmi zszedł na ląd i skierował się ku budowli, którą "Vega" wzniosła na wybrzeżu syberyjskim, by przetrwać tu długie zimowanie, a którą zdradzał dym unoszący się nad nią.

Wybrzeże Zatoki Koluczyńskiej jest płaską równiną, lekko sfalowaną i pociętą dolinkami erozyjnymi. Drzew tu nie ma, tylko parę kęp karłowatych wierzb, kobierce z bazyli czarnej i *licopedes*, tu i ówdzie parę stóp piołunu. Pośród tych zarośli lato rozsiało już parę gatunków, które pan Malarius uznał za bardzo rozpowszechnione w Norwegii, a mianowicie borówki, marzannę i mniszek pospolity.

Obozowisko "Vegi" składało się ze składu żywności stojącego na pierwszym planie, zbudowanego z rozkazu Nordenskjölda na wypadek, gdyby nacisk lodu nieoczekiwanie zniszczył jego okręt, jak to się często zdarza w tym groźnym kręgu polarnym. Wzruszający szczegół: biedni, wygłodzeni tubylcy, dla których ten skład stanowił nieoszacowane bogactwo, uszanowali go, choć był ledwie strzeżony.. Skórzane chaty Czukczów skupiły się z wolna wokół stacji. Budowlą najbardziej okazałą była "Tintinjaranga", czyli dom z lodu, specjalnie przystosowana, by mogła służyć jako obserwatorium magnetyczne i gdzie zniesiono wszystkie konieczne urządzenia i aparaty. Była zbudowana z pięknych sześcianów lodu, delikatnie prześwitujących niebieską barwą i połączonych śniegiem, jak cementem; dach i podłogę wyłożono płótnem.

Podróżni zostali serdecznie przyjęci przez młodego naukowca, który w momencie ich przybycia znajdował się tam wraz ze strażnikiem. Zaofiarował się najuprzejmiej zaprowadzić podróżnych na "Vegę" ścieżką wiodącą przez zwały lodu i łączącą okręt ze stałym lądem. Była ona oznaczona sznurem przymocowanym do pali, służącym za przewodnika w ciemne noce. W drodze opowiedział im przygody ekspedycji, od momentu kiedy świat przestał otrzymywać od niej wiadomości.

Wypływając z ujścia Leny Nordenskjöld skierował się ku Wyspom Nowosyberyjskim, które chciał zbadać; ale przekonawszy się, że było prawie niepodobieństwem dotrzeć do nich z racji lodu skuwającego ich brzegi, a także małej głębokości morza na przestrzeni wielu mil, podjął wkrótce decyzję ruszenia dalej na wschód. "Vega" nie napotykała wielkich trudności aż do 10 września. Z nadejściem tej daty jednak ustawiczne mgły i nocne mrozy zaczęły opóźniać jej marsz; głęboka

ciemność wymagała częstych postojów, 27 września "Vega" dotarła dopiero do cypla Sierdce-Kamień, rzuciła kotwicę na lodową tafłę, mając nadzieję, że nazajutrz będzie mogła przebyć kilka mil dzielących ją od Cieśniny Beringa, to znaczy do wolnych od lodu wód Pacyfiku. Ale w nocy zerwał się północny wiatr i zepchnął w pobliże okrętu stopy lodowej, które nawarstwiały się je jeszcze bardziej w ciągu następnych dni. "Vega" została tedy uwięziona i skazana na zimowanie prawie u celu podróży.

— Nasze rozczarowanie było ogromne, jak łatwo sobie wyobrazić — powiedział młody astronom. — Ale wkrótce pogodziliśmy się z losem i zaczęliśmy przygotowywać wszystko tak, by to opóźnienie obróciło się na korzyść nauki. Porozumieliśmy się z miejscowymi Czukezami, których żaden z podróżnych nie widział jeszcze z bliska. Zdołaliśmy sporządzić słownik ich języka, zebrać kolekcję narzędzi, broni i sprzętu. Nasze obserwacje magnetyczne przydadzą się również. Botanicy z "Vegi" dorzucili wiele wiadomości o florze i faunie regionów arktycznych. Na koniec nasz zasadniczy cel podróży został osiągnięty, gdyż opłynęliśmy przylądek Czeluskin i jako pierwsi pokonaliśmy przestrzeń dzielącą ujścia Jeniseju i Leny. Już teraz jest zbadana i odnaleziona droga morska północnowschodnia. Byłoby przyjemniej, gdybyśmy tego dokonali w dwa miesiące — a zabrakło nam zaledwie paru godzin. Ale rozważywszy wszystko, jeżeli tylko zostaniemy odblokowani, a trzeba żywić taką nadzieję, na co wskazują różne zjawiska, nie będziemy mieli powodu do narzekań i wrócimy z przekonaniem, że dokonaliśmy pożytecznego dzieła.

Słuchając z najwyższym zainteresowaniem słów swojego przewodnika, posuwali się naprzód. Znajdowali się teraz na tyle blisko "Vegi", by rozpoznać jej dziób cały obity szerokim płótnem aż po mostek kapitański — wiatr smagał tylko rufówką — jej boki osłonięte zwałami śniegu, jej olinowanie zredukowane do want i do szlagów, jej komin ocieplony grubo, by chroniło go to od mrozu.

Bezpośrednie sąsiedztwo okrętu było jeszcze bardziej osobliwe. Nie był on, jakby należało się spodziewać, wmurowany w jednolitą tafłę lodową, lecz został jakby zawieszony pośród labiryntu jezior, wysp i kanałów, nad którymi trzeba było przerzucić drewniane mostki.

— Wy tłumaczenie tego osobliwego zjawiska jest bardzo proste — rzekł młody uczonek w odpowiedzi na jedno z pytań Eryka. — Każdy okręt przebywający wiele miesięcy na lodowej tratwie pozostawia wokół siebie dużo odpadów, wśród których popiół ze spalonego węgla jest głównym elementem. Owe od pady, ciemniejsze od śniegu i absorbujące więcej kalorii, przyspieszają topnienie lub je opóźniają, działając jako izolatory, zależnie od tego, czy są to stopy mniej lub bardziej zbite i od ich ilości. Toteż gdy nadchodzi odwilż, strefa otaczająca okręt przybiera wkrótce wygląd taki, jaki macie przed oczami, i staje się prawdziwym chaosem depresji większych lub mniejszych szczelin w kształcie lejka i powyszczerbianych platform.

Załoga "Vegi" w odzieniu arktycznym oraz paru oficerów zebrała się na mostku kapitańskim i patrzyła na podróżnych europejskich, których prowadził astronom. Ogarnęła ich wielka radość na dźwięk powitania w języku szwedzkim i widok tak znanej twarzy doktora Schwaryencrony.

Ani profesora Nordenskjölda, ani jego wiernego towarzysza, kapitana Palendera, nie było na pokładzie. Udali się na wyprawę geologiczną w głąb lądu i mieli wrócić dopiero za pięć lub sześć dni. Było to pierwsze rozczarowanie dla naszych podróżnych. Oczywiście mieli nadzieję złożyć wyrazy szacunku i powinszowania wielkiemu odkrywcy. Ale nie miało to być jedyne rozczarowanie.

Zaledwie weszli do mesy oficerów, Eryk i jego przyjaciele dowiedzieli się, że przed trzema dniami odwiedził ich jacht amerykański, a przynajmniej jego właściciel, pan Tudor Brown. Ów dżentelmen przywiózł nowinki ze świata, na które uwięzieni w Zatoce Koluczyńskiej byli bardzo łasi. Opowiedział im, co się działo w Europie od momentu ich wyjazdu, o niepokojach, jakie odczuwała

Szwecja oraz cały świat cywilizowany w związku z losem "Vegi", a także o wysłaniu "Alaski" na poszukiwania zaginionych. Ów pan Tudor Brown pochodził z wyspy Vancouver leżącej na Pacyfiku, gdzie jego jacht oczekiwał go od trzech miesięcy.

— Musicie go zresztą znać — wykrzyknął młody lekarz wchodzący w skład ekspedycji — gdyż powiedział nam, że płynął początkowo wraz z wami i opuścił was dopiero w Breście, gdyż zwątpił, czy wasza podróż będzie miała pomyślny finał...

— Miał rzeczywiście niezgorsze powody, aby się tego spodziewać — odparł chłodno Eryk, choć odczuł silne drżenie w całym ciele.

— Jego jacht znajdował się w Valparaiso, zatelegrafował tedy do kapitana, by statek udał się do Victorii, położonej na wybrzeżu wyspy Vancouver — mówił dalej młody lekarz — po czym sam się udał z Liverpoolu do Nowego Jorku i dalej koleją żelazną biegnącą wzdłuż Pacyfiku. To tłumaczy, dlaczego pojawił się tutaj przed wami.

— Czy powiedział wam, po co tu przyjechał? — spytał pan Bredejord.

— Pragnął przyjść nam z pomocą, gdybyśmy tego potrzebowali, a ponadto, by zapytać o postać dość osobliwą, o której wspomniałem uprzednio w moich raportach i którą pan Tudor Brown zdaje się żywo interesować.

Przybysze wymienili szybkie spojrzenia.

— Patrick O'Donoghane?.., Czy nie tak nazywa się ów osobnik? — spytał Eryk.

— Właśnie! Takie nazwisko jest wytatuowane na jego skórze, choć on twierdzi, że to nazwisko jednego z jego przyjaciół, a nie jego własne. Twierdzi, że nazywa się Johan Bowles...

— Chciałbym zapytać, czy ten człowiek znajduje się tutaj?

— Opuścił nas dziesięć miesięcy temu. Sądziłem na początku, że przyda się nam jako tłumacz w kontaktach z tubylcami, gdyż podobno znał język samojedów. Jednak ta rzekoma znajomość tutejszego języka ograniczała się tylko do paru słów. A potem przypadek sprawił, że od wsi Chabarowo aż dotąd nie spotkaliśmy żadnego z mieszkańców kraju, który opływalibyśmy. Tłumacz stał się nam zbędny. Prócz tego ów Johan Bowles lub Patrick O'Donoghane był próżniakiem, pijakiem i niezdyscyplinowanym marynarzem. Jego obecność, na pokładzie mogła przynosić wyłącznie szkody, toteż przyjęliśmy z prawdziwą radością jego prośbę, byśmy wysadzili go na ląd wraz z pewną ilością zapasów na wyspie Bolszaj Lachowski, w chwili kiedy płynęliśmy jej południowym brzegiem.

— Jak to, to tam właśnie zszedł na ląd! — zakrzyknął Eryk. — A zatem ta wyspa nie jest bezludna?

— Ależ tak! Podobno urzekły naszego oberwańca stosy kości mamutów pokrywające ją w całości, jako przedpotopowe skamieliny. Powziął zamiar, by się tam osiedlić, poświęcić miesiące letnie na zebranie jak najwięcej kości — ile tylko zdoła, po czym, kiedy zima skuje lodem odnogę morza dzielącą wyspę Bolszaj Lachowski od kontynentu, przewieźć je sankami na wybrzeże syberyjskie i sprzedać kupcom rosyjskim, którzy zapuszczają się aż tam po miejscowe bogactwa.

— I powiedział pan te szczegóły panu Tudorowi Brownowi? — spytał Eryk.

— Oczywiście! Przecież z dość daleka przybył, żeby się ich dowiedzieć — odparował młody lekarz nie domyślając się, jak wielkie zainteresowanie osobiste kryło się za pytaniami, które zadawał porucznik "Alaski".

Rozmowa stała się teraz bardziej ogólna. Mówiono o względnej łatwości, z jaką zrealizowano projekt Nordenskjölda. W żadnym z miejsc nie napotkano dotychczas poważnych trudności, mogła by więc to być nowa droga dla handlu całego świata. Podróż "Vegi" powinna przekonać kraje nadmorskie Atlantyku i Pacyfiku o możliwości bezpośredniej komunikacji morskiej z Syberią, gdzie

mogłyby znaleźć, wbrew rozpowszechnionej opinii, szersze pole dla swojej aktywności.

— Czy to nie osobliwe — zauważył pan Bredejord — że przez trzy stulecia nikomu nie się powiodło w tych usiłowaniach, których dokonaliście niemal bez trudności.

— Osobliwość ta jest tylko pozorna — odpowiedział jeden z oficerów. — Skorzystaliśmy na północy Azji, jak wyście skorzystali na północy kontynentu amerykańskiego, z doświadczeń zdobytych częstokroć kosztem życia przez naszych poprzedników. Wspomogło nas też ogromnie doświadczenie osobiste dowódcy. Profesor Nordenskjöld przygotowywał się do tego najdonioślejszego zadania przeszło dwadzieścia lat podczas ośmiu wielkich ekspedycji arktycznych; cierpliwie gromadził wszelkie dane i zmierzał pewną niejako drogą do celu. Poza tym mieliśmy to, czego nie mieli nasi poprzednicy: statek parowy, specjalnie przygotowany do tej podróży. To nam pozwalało przebywać w dwa miesiące odległości, które zabrałyby może dwa lata żaglowcowi. Mogliśmy nie tylko odnajdywać naszą drogę, lecz ją wybierać, umykać przed górami lodowymi, zyskiwać na szybkości dzięki prądom i wiatrowi. A jednak nie zdołaliśmy uniknąć zimowania tutaj! Jakże trudna była taka podróż dla niegdysiejszych żeglarzy, zmuszonych czekać na przychylną bryzę, tracąc częstokroć dwa najlepsze letnie miesiące i błakając się bezużytecznie!... I my ze dwadzieścia razy znajdowaliśmy morze wolne w miejscach, gdzie mapy wskazywały odwieczne lody lub, co gorsza, kontynenty lub wyspy!... Mogliśmy zbadać te odcinki morza, w razie potrzeby popłynąć wstecz, a potem wyruszyć w dalszą drogę. Natomiast dawni żeglarze byli skazani wyłącznie na domysły.

Rozmawiając w ten sposób i dyskutując podróżni spędzili całe popołudnie. Goście z "Alaski" przyjęli zaproszenie na obiad na pokładzie "Vegi", po czym zabrali ze sobą oficerów nie będących na służbie, aby ugościć ich kolacją. Bez przerwy wymieniano różne nowiny i wiadomości. Eryk wypytywał uporczywie o rejs "Vegi" i o środki ostrożności, jakie należało przedsięwziąć. Wszyscy wypili za pomyślność wszystkich, wymieniono życzenia szczęśliwego powrotu do kraju, po czym nastąpiło pożegnanie. Nazajutrz o świcie "Alaska" miała wyruszyć w drogę na Wyspy Lachowskie, "Vega" zaś musiała oczekiwać ruszenia lodów, co pozwoliłoby jej dotrzeć do Pacyfiku.

A zatem pierwsza część zadania Eryka została wykonana. Odnalazł Nordenskjölda. Pozostawało mu tylko wykonać drugą jego, część — dotrzeć do Patryka O'Donoghana i spróbować wydrzeć mu jego sekret. Owa tajemnica musiała być bardzo groźna, każdy to obecnie przyznawał, skoro Tudor Brown z taką zaciekleścią poszukiwał osoby, która znała jej rozwiązanie.

Czy zdążą przed nim na wyspę Bołsoj Lachowski? To mało prawdopodobne, skoro miał on aż trzy dni przewagi. Ale co tam! Zakosztują tej przygody! Jak długo pozostawała możliwość odniesienia sukcesu, należało się o to ubiegać.

Trzeba powiedzieć, że łagodność temperatury krzepiła serca. Powietrze nadal było ciepłe i wilgotne; lekkie mgły na horyzoncie wskazywały, że ze wszystkich stron morze było wolne, z wyjątkiem lodowej tafli u wybrzeża syberyjskiego, gdzie "Vega" stała uwięziona. Lato dopiero się zaczynało i "Alaska" mogła nie bez podstaw liczyć na dziesięć tygodni sprzyjającej pogody. Doświadczenie nabyte pośród lodów amerykańskich miało swoją wartość i pozwalało uważać nowe przedsięwzięcie za stosunkowo łatwe. Wreszcie droga morska północnowschodnia była najprostsza, jeśli idzie o powrót do Szwecji. Oprócz dopiekającej potrzeby serca, która pchała Eryka, by ją obrać, istniała prawdziwa potrzeba naukowa skłaniająca do popłynięcia w odwrotną stronę szlakiem, który pokonał Nordenskjöld, Jeśli się to powiedzie — a dlaczegóż miałoby się nie powieść? — będzie to potwierdzeniem praktycznej użyteczności teorii głoszonej przez wielkiego odkrywcę.

Bryza też sprzyjała "Alasce". Przez dziesięć dni nadciągała niemal bez ustanku z południowego

wschodu, tuczna więc było płynąć ze średnią szybkością, wynoszącą dziewięć do dziesięciu węzłów, nie spalając wcale węgla. Była to bardzo sprzyjająca okoliczność, gdyż wiatr spychał ku północy pływające góry lodowe, co czyniło żeglugę o wiele łatwiejszą. W ciągu tych dziesięciu dni spotkano tylko czasem niewielkie spiętrzenia *driftice'ou*", czyli "zepsutego lodu", jak mawiają marynarze polarni o resztkach prawie stopionych zimowych ławic lodowych.

Co prawda jedenastego dnia podróżni przeżyli burzę śnieżną, za którą nadciągnęła gęsta mgła, co wyraźnie zmniejszyło szybkość "Alaski", lecz 29 lipca słońce ukazało się znów w całym swoim blasku i 2 sierpnia rano zasygnalizowano południowy cypel wyspy Bolszoy Lachowski.

Eryk natychmiast wydał rozkaz, by ją opłynąć, chcąc sprawdzić, czy "Albatros" nie ukrył się w jakiejś zatoczce, oraz by ustawić okręt skośnie do wiatru od wyspy. Kiedy skończono rekonesans, kazał rzucić kotwicę na piaszczyste dno w odległości mniej więcej trzech mili od południowego wybrzeża, po czym wsiadł do łodzi wielorybniczej w towarzystwie trzech przyjaciół i sześciu ludzi z załogi. Nie minęło pół godziny, gdy łódź wielorybnicza przybiła do brzegu w małym, dość głębokim zagłębieniu lądu.

Nie bez powodu Eryk wybrał południowe wybrzeże wyspy. Myślał, że Patrick O'Donoghane, jeśli nawet rzeczywiście miał zamiar zająć się handlem kością z Syberią, bądź też zamyślał opuścić przy pierwszej okazji wyspę, na której kazał się wysadzić, musiał wybrać dla siebie taki punkt, skąd mógłby obserwować morze. Można było nawet przypuszczać, z niejaką dozą pewności, że punkt ten będzie się znajdował na wzniesieniu i w miejscu najbardziej przybliżonym do wybrzeża syberyjskiego. Na koniec potrzeba ochrony się od polarnych wiatrów była zapewne jeszcze jedną z przyczyn wybrania południowego wybrzeża wyspy. Eryk nie sądził, że owe supozycje musiały koniecznie być ugruntowane, lecz mniemał, że można je przyjąć jako punkt wyjścia do systematycznych poszukiwań.

Dalsze zdarzenia potwierdziły w pełni jego oczekiwania. Podróżni szli nie dłużej niż godzinę brzegiem morza, kiedy nagle dostrzegli na wyniosłości dobrze osłoniętej łańcuchem wzgórz i zwróconej na południe coś, co nie mogło być niczym innym jak ludzkim pomieszczeniem. Ku ich ogromnemu zdumieniu ten domek, zbudowany w kształcie sześcianu, był całkiem biały i jak gdyby obrzucony wapnem. Brakowało mu tylko zielonych okiennic, by mógł uchodzić za marsylski dworek lub wiejski domek w Ameryce.

Podróżni wspiąwszy się na wzgórek zorientowali się, iż domek ten nie był pokryty wapnem, lecz po prostu zbudowany został z olbrzymich kości ułożonych jedna na drugiej z pewnym rodzajem maestrii, a które nadawały domkowi ten biały kolor. Jakkolwiek ów materiał na budowę wydawał się raczej osobliwy, należało przyznać, iż pomysł użycia kości w tym celu był dość naturalny, zważywszy że na wyspie, gdzie roślinność wydawała się bardzo uboga, nie było nic innego. Ziemia na wzgórkach oraz na sąsiednich wyniosłościach literalnie była pokryta szczątkami kostnymi, które doktor Schwaryencrona rozpoznał na pierwszy rzut oka jako szczątki mamutów, bizonów i żubrów.

# ROZDZIAŁ XVII

## WRESZCIE!

Drzwi chatki były otwarte na oścież. Czterej przyjaciele weszli do środka i od pierwszego wejrzenia stwierdzili, że jedyna izdebka, z jakiej mieszkanie się składało, była do niedawna zamieszkana. Na piecu zbudowanym z trzech dużych kamieni zagaszone szczapy były przyprószone leciutkim jak wata popiołem, który unosił się za najlżejszym podmuchem. Łóżko zbite z desek w kształcie ramy wypełniał marynarski hamak, na którym było jeszcze widać ślad ludzkiej, postaci.

Eryk przyjrzał się uważnie hamakowi i stwierdził, że widać było na nim pieczęć "Vegi".

Na czymś, co służyło za stół, a było zrobione ze skamieniałej łopatkii ustawionej na czterech kościach udowych, widać było okruchy biszkoptów, cynowy dzban i drewnianą łyżkę zrobioną w Szwecji.

Podróżni znajdowali się bez wątpienia w mieszkaniu Patricka O'Donoghana, skąd gospodarz, jak się wydawało, wyszedł bardzo niedawno.

Czy po to, by opuścić wyspę? Czy przeciwnie — po to, aby do niej się przejść? Nie było żadnej co do tego wskazówki, należało więc w jej poszukiwaniu przebadać teren.

Wokół tej siedziby ziemia była rozkopana, a na rodzaju platformy, jaką tworzył wierzchołek wzgórza, leżało ze dwadzieścia szabli z kości słoniowej lub dzików, ułożonych rzędem. Podróżni doszli do przekonania, że to rozkopywanie ziemi było konieczne, gdyż liczne szkielety słoni i mamutów leżące na powierzchni były pozbawione szabli. Na pewno mieszkańcy syberyjskich wybrzeży nie czekali na wizytę Patricka O'Donoghana na Wyspach Lachowskich, żeby eksploatować ich bogactwa. Irlandczyk tedy niewiele znalazł na powierzchni ziemi i zmuszony był ryc w poszukiwaniu bardziej wartościowej kości.

Owóz młody lekarz z "Vegi", jak i właściciel oberży "Red Anchor" w Nowym Jorku twierdzili zgodnie, że lenistwo było jedną z cech Patricka O'Donoghana. Wydawało się tedy mało prawdopodobne, by zdecydował się na dłużej zająć tak niewdzięczną i mało dochodową pracę. Przy pierwszej okazji czmychnąłby pewnie z wyspy. Nadzieję, że go się tutaj jeszcze zastanie, budziły jedynie świeże ślady znalezione w chacie.

Spadzista ścieżka wiodła do wybrzeża po przeciwnej stronie stoku, którym podróżni tu weszli. Ruszyli nią i dotarli niebawem do zapadłości, na której topniejący śnieg utworzył jeziorko oddzielone od morza łańcuchem skał. Ścieżka biegła brzegiem owego zbiornika i ominąwszy urwisko doprowadziła podróżnych do prawdziwego naturalnego portu.

Ktoś pozostawił sanki na plaży i świeże ślady palonego ognia. Eryk zbadał starannie pobrzeże, ale nie znalazł śladu łodzi.

Wracając do towarzyszy napotkał pod krzakiem, dość blisko resztek popiołu, przedmiot koloru czerwonego, który podniósł co szybciej. Była to blaszana puszka po konserwie wołowej, powszechnie zwanej "tuszonką", jakie wszystkie okręty na świecie zabierają w drogę. W pierwszej chwili wydawało się, że nie odznacza się ona niczym szczególnym, ponieważ Patrick O'Donoghana był zaopatrzony w żywność przez "Vegę". Ale Eryk zwrócił uwagę, iż puszka miała wydrukowane następujące słowa: Martmez Domingo, Valparaiso.

— Tudor Brown kręcił się tutaj! — zawołał. — Powiedziano nam na "Vedze", że jego statek znajdował się w Valparaiso, kiedy zatelegrafował, żeby okręt czekał na niego w Vancouver!... Zresztą nikt z "Vegi" nie mógł zostawić tutaj puszki z Chile, a ta puszka jest całkiem świeża.

Opróżniono ją najwyżej przed trzema dniami, a może nawet dwadzieścia cztery godziny temu!

Doktor Schwaryencrona i pan Bredejord kręcili głowami, jakby wahali się, czy przyjąć tę konkluzję, kiedy Eryk obracając w rękach puszkę wskazał im szczegół, który rozwiewał wszelkie wątpliwości: słowo "Albatros", napisane ołówkiem na wieczku z pewnością przez dostawcę owej "tuszonki".

— Tudor Brown kręcił się tutaj! — powtórzył Eryk. — A po co by tu przybył, jeśli nie w celu zabrania ze sobą Patricka O'Donoghana? No tak, sprawa jest jasna! Przybił do brzegu w tej zatoce! Jego ludzie czekali na niego, jedząc obiad przy ognisku. Poszedł do Irlandczyka i przemocą lub dobrowolnie zaokrętował go u siebie! Jestem tego tak pewien, jakbym" to widział.

Pomimo tej pewności Eryk postanowił zbadać okolice, by sprawdzić, czy nie ma w pobliżu Patricka O'Donoghana. Ale godzinna przechadzka rozwiała jego podejrzenia. Nigdzie nie spotkał nawet śladu jakiejś ścieżki, najmniejszej oznaki bytności żywej istoty. Dookoła, jak okiem sięgnąć, rozpościerały się same wydmy i wzgórza pozbawione jakiejkolwiek roślinności czy ptactwa, mogących urozmaicić to pustkowie. Wszędzie leżały olbrzymie szkielety, jakby armia mamutów, nosorożców i żubrów na skutek jakiegoś straszliwego kataklizmu trafiła tu, szukając schronienia na tej zatraconej wyspie, a znalazła śmierć. Na drugim planie, za wydmami i pagórkami piętrzyła się ściana wyniosłości pokrytych śniegiem i lodem.

— Jedźmy — ozwał się doktor Schwaryencrona. — To, cośmy zobaczyli, przekonało nas dostatecznie, że wcale nie trzeba było nakłaniać O'Donoghana do wyjazdu stąd!

Nie minęły cztery godziny, jak wielorybnicza łódź dotarła do "Alaski", która natychmiast ruszyła w drogę.

Eryk nie miał złudzeń, że jego nadzieje zostały prawie całkiem zniweczone. Tudor Brown zdołał zwyciężyć go w szybkości i pierwszy zwiedził wyspę Bolszoi Lachowski; z pewnością zabrał ze sobą Patricka O'Donoghana i teraz było bardzo mało prawdopodobne, iż Eryk zdoła go kiedykolwiek odnaleźć. Człowiek, który tyle zrobił w walce z "Alaską", umiejący zdobyć się na tak nieopamiętaną energię, by przybyć aż tu i uprowadzić z sobą Irlandczyka, nie będzie miał kłopotu z uniemożliwieniem naszym podróżnym spotkania się z nim. Świat jest ogromny i wszystkie przestrzenie morskie stoją otworem przed "Albatrosem"! Jak odgadnąć, w którą ze stron róży wiatrów uprowadził O'Donoghana wraz z jego tajemnicą?

Oto o czym myślał dowódca "Alaski" przechadzając się po rufówce wydawszy uprzednio polecenie, by wzięto kurs na za chód. Do jego bolesnych rozmyślań dołączyły się wyrzuty sumienia, że przystał na to, by przyjaciele dzielili z nim niebezpieczeństwa i trudy tej zbytecznej ekspedycji! Po dwakroć zbytecznej, ponieważ Tudor Brown odnalazł Nordenskjölda wcześniej niż "Alaska", tak samo jak wyprzedził wyprawę szwedzką na Wyspy Lachowskie! Mieli tedy powrócić do Sztokholmu — jeśli tam wrócą — nie osiągnąwszy żadnego celu. To rzeczywiście aż nadto niepowodzeń!... Och, żeby przynajmniej powrót przydał się na coś, choćby jako sprawdzian podróży "Vegi" Żeby północna droga morska została uświęcona ponownym doświadczeniem!... Za wszelką cenę należy dotrzeć do przylądka Czeluskin i opłynąć go ze wschodu na zachód! Za wszelką cenę trzeba powrócić do Szwecji przez Morze Karskie!

A więc ku owemu groźnemu przylądкови Czeluskin — drogi jeszcze niedawno uznanej jako nie do przebycia — "Alaska" płynęła całą parą. Kurs, jaki teraz obrała, nie był taki sam jak "Vegi", która wyruszyła z ujścia Leny, gdzie zatrzymała się na postój, nim skierowała się ku Wyspom Lachowskim. Eryk nie miał żadnego powodu, by wracać jeszcze raz na wybrzeże syberyjskie. Pozostawiając na prawej burcie wyspę Stołbowoj, zasygnalizowaną 4 sierpnia, ruszył wprost na zachód trzymając się mniej więcej 76° równoleżnika, i tak świetnie płynął, że po tygodniu przekroczył 35 stopni długości



geograficznej od 140° do 105° na wschód od Greenwich. Prawdę rzekłszy nie obeszło się bez spalenia dużej ilości węgla, gdyż niemal cały czas "Alaska" miała wiatr przeciwny. Ale Eryk nie bez racji sądził, że wszystko trzeba podporządkować konieczności opuszczenia jak najszybciej tych niebezpiecznych okolic. Gdy staną u ujścia Jeniseju, znajdą tam na pewno sposobność uzupełnienia zapasów.

14 sierpnia obserwacje słoneczne nie były możliwe z powodu gęstej mgły, która przysłaniała niebo i horyzont. Ale wszystkim się zdawało, że "Alaska" zbliża się do wielkiego cypla azjatyckiego. Eryk zalecił wielką czujność, zmniejszył szybkość, a wieczorem kazał nawet zastopować maszyny.

Ta ostrożność nie była zbyteczna. Nazajutrz o świcie rzucono sondę i okazało się, że głębokość wynosi zaledwie trzydzieści sążni, a w godzinę później zasygnalizowano ląd. "Alaska" lawirowała tak długo, aż trafiła na zatokę, gdzie rzuciła kotwicę.

Postanowiono zaczekać, aż mgły się rozproszą, i dopiero wtedy udać się na ląd. Ale 15 i 16 minęły bez żadnych zmian i Eryk postanowił przybić do brzegu w towarzystwie pana Bredejorda, pana Malariusza i doktora.

Pobieżny rekonesans ujawnił, że zatoka, gdzie "Alaska" stała na kotwicy, była miejscem najbardziej wysuniętym ku północy między dwoma cyplami przylądka Czeluskin. Po obu stronach ziemia słała się dość płasko ku morzu, ale wznosiła się stopniowo łagodnym skłonem w kierunku południowym, aż po góry, które mgły osłaniały chwilami i które nie wydawały się wyższe niż trzysta, czterysta metrów. Nigdzie nie było widać śniegu ani lodu prócz płatów zalegających samo pobrzeże, jak to zwykle bywa w regionach arktycznych. Gliniastą ziemię pokrywały mchy, trawa i porosty. Dość liczne stada dzikich gęsi i kaczek oraz parę morsów urozmaicało brzeg morza. Na szczycie skały prezentował swoje futro biały niedźwiedź. W sumie gdyby nie mgła, która okrywała wszystko swoim szarym płaszczem, widok ogólny tego słynnego przylądka Czeluskin nie miał w sobie nic szczególnie ostrego, a zwłaszcza nic, co usprawiedliwiałoby smutną renome, jaką ten zakątek zachował przez wiele stuleci.

Posuwając się po najdalszym zachodnim krańcu zatoki, podróżni spostrzegli rodzaj pomnika stojącego na wierzchołku wyniosłości i oczywista pospieszili go obejrzeć. Podeszedłszy bliżej stwierdzili, że był to *cairu*, inaczej stos kamieni podtrzymujący kolumnę drewnianą zrobioną z belki.

Owa kolumna miała dwa napisy. Pierwszy głosił:

19 sierpnia 1378 "Vega" wypłynąwszy z Atlantyku okrążyła przylądek Czeluskin, w drodze do Cieśniny Beringa.

Drugi zaś brzmiał:

12 sierpnia 1879 "Albatros" przybywający z Cieśniny Beringa opłynął przylądek Czeluskin w drodze na Atlantyk.

Jeszcze i tutaj Tudor Brown wyprzedził "Alaskę"! Był 16 sierpnia!... Dopiero cztery dni temu skreślił ten napis!

W oczach Eryka miał on sens ironiczny i okrutny, jak gdyby napis ów mówił do niego: "Aż do końca będziesz rozczarowany! Aż do końca będziesz bezużyteczny!... Nordenskjöld wykona swoje doświadczenie, Tudor Brown je potwierdzi! A ty wrócisz upokorzony i pokonany, i niczego nie dowiedziesz, nic nie odnajdziesz, niczego się nie nauczysz!..."

Miał już odejść nie dorzucając ani słowa do tych napisów na kolumnie, lecz doktor Schwaryencrona inaczej rzecz pojmował. Dobywszy nóż z kieszeni, wrył na słupie:

16 sierpnia 1379 roku "Alaska", opuściwszy Sztokholm, przebyła Atlantyk, Morze Balfina, kanadyjskie cieśniny arktyczne, Morze Wschodniosyberyjskie i opiynęła przylądek Czeluskin; zamierza skończyć pierwszą okrężną, północną podróż morską.

Osobliwa potęga słów! To proste zdanie, przypominające Erykowi, że dokonywał właśnie wielkiego zadania geograficznego, prawie wcale o tym nie myśląc, zdołało mu przywrócić jego zwykły dobry humor. Bo w końcu to prawda, że "Alaska" miała dokonać pierwszej okrężnej podróży morskiej w kręgu polarnym. Przed nią wielu podróżników przebywało arktyczne cieśniny kanadyjskie i odnalazło północno-zachodnią drogę morską! Przed nim Nordenskjöld i Tudor Brown opłynęli przylądek Czeluskin i przebyli północno-wschodnią drogę morską! Ale nikt jeszcze nie przedostał się z jednej drogi morskiej do drugiej, nie zakreślił wokół bieguna, przez Morze Arktyczne koło o 360 stopniach. Owóż, brakowało nie więcej niż 80 stopni, żeby "Alaska" tego dokonała. W ostateczności mogła to być sprawa jeszcze dziesięciu dni drogi.

Ta nowa perspektywa dodała wszystkim tyle zapału, że myślano już tylko o odjeździe. Eryk jednakże pragnął poczekać do następnego dnia, aby przekonać się, czy mgły nie pierzchną. Ale mgła wydawała się chorobą chroniczną tego przylądka i kiedy rano słońce znowu nie zaświtało, wydano rozkaz podniesienia kotwicy.

Zostawiając na południu Zatokę Tajmyrską, biorącą swoją nazwę od wielkiego półwyspu syberyjskiego, którego przylądek Czeluskin jest najbardziej wysuniętym krańcem, "Alaska" skierowała się na zachód i płynęła bez ustanku przez cały dzień i noc 17 sierpnia. 18 rano wyszli z mgły i znaleźli się w przejrzystym powietrzu. W południe można było zrobić pomiary położenia okrętu i kiedy ta praca dobiegała końca, wachtowy z bo cianiego gniazda zasygnalizował żagiel na południowym zachodzie.

Żagiel w tym mało uczęszczanym miejscu był zjawiskiem aż nadto nadzwyczajnym, żeby nie wzbudzić szczególnej uwagi podróżnych. Eryk wspiął się natychmiast na bocianie gniazdo i z lornetką w ręku oglądał bacznie zasygnalizowany dopiero co okręt. Wydał mu się płaski na wodzie, otaklowany jak szkuner i zaopatrzony w komin, choć nie szedł teraz na parze.

Zszedłszy na pokład młody komendant był bardzo blady.

— Wydaje mi się całkiem prawdopodobne, że to "Albatros" — powiedział do doktora.

Po czym wydał rozkaz podsycecia ognia w kotłach.

Nie minął kwadrans, a już było widać, że "Alaska" płynie szybciej niż obcy okręt, którego rufa stała się widoczna gołym okiem. Płynął pod żaglami przy bardzo słabej bryzie, a jego kierunek tworzył kąt ostry z kierunkiem "Alaski".

Lecz nagle coś się zmieniło w jego wyglądzie. Gęsty dym buchnął z komina i utworzył nad nim długi czarny pióropusz. Okręt płynął teraz pod ciśnieniem pary i w tym samym kierunku co "Alaska".

— Nie ma wątpliwości! To "Albatros" — szepnął Eryk.

Po chwili wydał rozkaz głównemu mechanikowi, żeby wzmóc jeszcze szybkość. Płynęli teraz z szybkością czternastu węzłów. Za kwadrans mknęli szesnastoma.

Okręt, który "Alaska" ścigała, nie zdołał jeszcze osiągnąć takiej szybkości, gdyż "Alaska" wciąż się doń zbliżała. Po półgodzinie można było już rozróżnić szczegóły jego omasztowania, jego bruzdę, ludzi, którzy uwijali się wśród lin, na koniec gzymsy jego rufy i litery, które tworzyły napis "Albatros".

Eryk wydał rozkaz wciągnięcia na maszt flagi szwedzkiej. "Albatros" wciągnął natychmiast wygwieżdżony sztandar Stanów Zjednoczonych.

Po paru minutach oba okręty znalazły się w odległości nie większej aniżeli trzysta, może czterysta metrów. Wówczas komendant "Alaski", stojący na mostku kapitańskim z tubą w dłoni, zawołał do załogi "Albatrosa" po angielsku:

— Hej tam! Wy, na okręcie!... Chciałbym mówić z waszym kapitanem!...

Ktoś wszedł na mostek "Albatrosa". Był to Tudor Brown.

— Jestem właścicielem i kapitanem tego jachtu — rzekł. — Czego ode mnie chcecie?

— Chciałbym się dowiedzieć, czy masz pan na pokładzie niejakiego Patricka O'Donoghana?

— Patrick O'Donoghane jest na moim pokładzie i odpowie panu osobiście — odparł Tudor

Brown.

Na dany znak jakiś człowiek stanął na mostku obok kapitana.

— Oto Patrick O'Donoghane — powiedział właściciel "Albatrosa". — Czego sobie od niego życzyście?

Eryk pragnął tego spotkania od bardzo dawna i tak daleko za nim wyruszył, a jednak znalazłszy się nieoczekiwanie naprzeciw tego rudego człowieka ze zmiążdżonym nosem, który patrzył na niego podejrzliwie, odczuł tak ogromne zaskoczenie, że zrazu nie wiedział, o co go zapytać. Ale na koniec zebrałszy nieco myśli i czyniąc pewien wysiłek, rzekł:

— Muszę z panem dłużej i poufnie porozmawiać. Od wielu lat pana szukam i aby pana odnaleźć, trafiłem na te wody. Czy zechce pan przejść na mój pokład?

— Ja pana nie znam i jest mi dobrze tu, gdzie jestem — odparł mężczyzna.

— Ale ja pana znam! Pan Bowles z Nowego Jorku mówił mi, że uczestniczył pan w katastrofie "Cynthii" i że wspominałeś pan o dziecku "na kole ratunkowym"! Ja jestem tym dzieckiem i o bliższe szczegóły tej sprawy chciałbym pana zapytać, bo je pan znasz.

— Trzeba będzie o to zapytać kogoś innego, bo nie mam najmniejszej chęci ich wyjawiać!

— Czy daje pan do myślenia, że te szczegóły nie przynoszą panu zaszczytu?

— Może pan sobie myśleć, co się panu żywnie podoba, jest mi to całkiem obojętne! — uciał tamten.

Eryk postanowił nie dać się ponieść irytacji.

— Lepiej byłoby powiedzieć mi dobrowolnie to, czym tak bardzo się interesuję, aniżeli narazić się na zeznania przed sądem — dorzucił chłodno.

— Sąd!... Trzeba by było najpierw mnie tam doprowadzić! — uciał rudy człowiek.

Tu wmieszał się Tudor Brown:

— Jak pan widzisz, to nie ode mnie zależy, abyś pan uzyskał informacje, których pragniesz — rzekł do Eryka. — To może lepiej poprzestańmy na tym i niech każdy z nas jedzie swoją drogą.

— A dlaczego to każdy swoją drogą! Czy nie lepiej byłoby popłynąć razem do jakiegoś cywilizowanego kraju, aby uregulować pewne nasze wspólne sprawy? — powiedział młody kapitan "Alaski".

— Nie mam z panem żadnych wspólnych spraw i nie potrzebuję niczyjego towarzystwa! — odkrzyknął Tudor Brown udając, że schodzi z mostka.

Eryk zatrzymał go gestem.

— Właścicielu "Albatrosa" — zawołał. — Posiadam oficjalne upoważnienie mojego rządu i tym samym jestem oficerem po licji morskiej! Proszę o natychmiastowe przedstawienie mi swoich dokumentów!...

Tudor Brown nawet nie odpowiedział.

Eryk zaczekał ze dwie minuty, po czym rzekł:

— Właścicielu "Albatrosa", oskarżam pana, że próbował pan zatopić mój statek na skałach Basse-Froide w pobliżu wyspy Sein, i przywołuję pana, byś wytłumaczył się z tego oskarżenia przed trybunałem marynarki!... Jeśli nie usłuchasz pan tego wezwania, stanę wobec konieczności doprowadzenia cię tam siłą!

— Niech pan spróbuje, jeśli serce panu to mówi! — zawołał Tudor Brown, dając jednocześnie znak, aby jacht ruszył w drogę.

Podczas tej wymiany zdań jego jacht obrócił się i stanął pod kątem prostym do "Alaski". Nagle śruba została puszczone w ruch i jęła uderzać wodę, która speniła się i zbielała. Przeciągły gwizd przeciął powietrze i "Albatros" ślizgając się po fali ruszył całą parą w kierunku bieguna północnego.

Po dwóch minutach "Alaska" spieszyła za nim.

# ROZDZIAŁ XVIII

## STRZAŁY Z DZIAŁA

W tym samym czasie, kiedy Eryk kazał ścigać "Albatrosa", , wydał również rozkaz przygotowania do strzału działo, które stało na dziobie "Alaski". Ta operacja zajęła sporo czasu. Zanim armata została uwolniona ze swojej smołowanej osłony, naładowana i przygotowana do strzału, okazało się, że nieprzyjaciel znajduje się poza jego zasięgiem. Na pewno wykorzystał czas postoju "Alaski", by rozgrzać dobrze kotły, i wyprzedził ją o trzy lub cztery mile. W ostateczności nie była to nazbyt wielka szybkość dla Gattlinga; lecz rozkołysanie wód, szybkość obu okrętów i bardzo ograniczony cel, jaki stanowił okręt amerykański, sprawiały, że pociski trafiałyby raczej w wodę, aniżeli docierały do celu. Lepiej było tedy zaczekać. Zresztą wkrótce odległość między okrętami ustaliła się i przez wiele godzin pozostawała taka sama.

Odbywało się to niestety kosztem wielkiej ilości węgla, którego coraz bardziej ubywało na pokładzie "Alaski" — a jeszcze należało się obawiać, że to trwonienie okaże się czystą stratą, jeśli zapadną ciemności, zanim podróżni zdołają dopaść "Albatrosa". Eryk uznał, że nie ma prawa grać w tę ostatnią kartę, nie porozumiewszy się przedtem z załogą. Przywołał wszystkich na pokład i objaśnił szczerze sytuację.

— Przyjaciele — teraz wiecie, o co chodzi, jaką więc obierzemy drogę, czy zrobimy wszystko, by poddać badaniu przez sądownictwo morskie nędznika, który dokładał starań, by nas zatopić na Basse-Froide — czy też pozwolimy mu umknąć. Węgla starczy nam najwyżej na sześć całych dni. Każde zboczenie z drogi mogłoby sprawić, że dokończymy podróż na żaglach, a to grozi poważnym niebezpieczeństwem. Z drugiej zaś strony "Albatros" liczy na to, że nocą zdoła nas wywieść w pole. Najważniejsze będzie, żebyśmy go trzymali stale w smudze światła, jakie rzuca nasz reflektor, i żebyśmy nie tracili szybkości. Jesteśmy zresztą pewni, że ten szybki bieg z konieczności się zatrzyma jutro lub następnego dnia, gdy zetkniemy się z barierą wiecznych lodów, która nie daje przystępu do bieguny około 78 albo 79 stopnia. Ale nie chciałem ścigać dalej nie zapytawszy was, co o tym sądzicie i czy z góry zgadzacie się na komplikacje, w jakie to nas może wciągnąć?

Ludzie naradzali się ściszymi głosami i wybrali Herseboma, aby wyraził ich opinię.

— Jesteśmy zdania, że obowiązkiem "Alaski" jest wszystko poświęcić, żeby tylko ująć tego nędznika — powiedział spokojnie.

— Doskonale! Zrobimy tedy, co się da, by tego dokonać — odparł Eryk.

Pewien teraz, że załoga trzyma jego stronę, nie oszczędzał już opału i zdołał utrzymać odpowiednią odległość mimo rozpaczliwych wysiłków, jakie czynił Tudor Brown, by uciec. Zaledwie słońce zaszło, elektryczne oko "Alaski" zapłonęło na noku wielkiego masztu i bezlitośnie przywarło do "Albatrosa", nie opuszczając go aż do świtu. Przez całą noc odległość między dwoma okrętami była identyczna. Świt zastał je pędzące nadal ku biegunowi. W południe obserwacja słoneczna ustaliła pozycję "Alaski" 78°21'14" szerokości północnej i 98° długości wschodniej.

Kry lodowe, których nie widywano już od dziesięciu, a może nawet i piętnastu dni, pojawiały się coraz liczniej. Trzeba było chwilami rozbijać je dziobem okrętu jak dawniej na Morzu Baffina. Eryk przekonany, że lodowa tafla wkrótce się ukaże, skręcił leciutko w prawą stronę "Albatrosa" w taki sposób, aby zagrozić mu drogę na wschód, gdyby próbował on zmienić kurs nie mając wolnej drogi na północ.

Ten środek ostrożności okazał się w pełni umotywowany, gdyż około drugiej długa ławica lodu

zarysowała się na horyzoncie. Jacht amerykański skierował się natychmiast na zachód, zostawiając ławicę po prawej burcie w odległości pięciu mil. "Alaska" powtórzyła natychmiast jego manewr, ale tym razem ustawiając się po stronie bakburty "Albatrosa", żeby przeciąć mu drogę, gdyby zechciał zawrócić znowu na południe.

Łowy stawały się coraz bardziej zaciekle. Pewny kierunku, jaki "Albatros" był zmuszony obrać; Eryk napierał nań z boku spychając go coraz bardziej na ławicę lodu. Jacht wahał się coraz widoczniej, a jego bieg opóźniały kry, zmieniał tedy co chwilę kurs, już to zmierzając ku północy, już to rzucają się bez opamiętania na zachód.

Eryk stojący na bocianim gnieździe obserwował bacznie wszelkie ruchy jachtu, aby stawać w poprzek jego zamiarów; aż tu nagle jacht zatrzymał się w miejscu, obrócił się burtą i skierował swój dziób na "Alaskę". Długa biała płaszczyzna rozciągająca się na zachodzie wyjaśniała przyczynę tego manewru: "Albatros" wpłynął w prawdziwą zatokę, którą osłaniał południowy cypel ławicy, i jak zwierzę osaczone przez sforę zwrócił się przodem do napastnika.

Młody komendant "Alaski" nie zdążył jeszcze stanąć na pokładzie, kiedy pocisk gwizdząc przeleciał mu nad głową.

A zatem "Albatros" był uzbrojony i nie zamierzał się poddać.

Wolę, że tak się stało i że to on pierwszy strzelił! — pomyślał Eryk wydając rozkaz, by dano ognia.

Jego pocisk nie okazał się szczęśliwszy od pocisku Tudora Browna i rozerwał się w odległości dwustu lub trzystu metrów od celu. Lecz walka już się zaczęła i wkrótce strzały zaczęły padać gęsto. Amerykańska kula rozstrzaskała wielką reję "Alaski", spadła na pokład i rozrywając się zabiła dwóch ludzi. Szwedzki pocisk trafił w sam środek rufówki "Albatrosa" i wyrządził tam z pewnością duże szkody. Wiele innych kul trafiło w kadłuby lub omasztowania obu okrętów.

Statki zbliżały się do siebie coraz bardziej zmieniając halsy, kiedy nagle daleki grzmot przyłączył się do huków dział i marynarze podniósłszy głowy ujrzeli niebo całkiem czarne po stronie , wschodniej.

Burza, zasłona z mgły lub śniegu mogła oddzielić "Albatrosa" od "Alaski" i pozwolić umknąć Tudorowi Brownowi. Eryk nie chciał do tego dopuścić za żadną cenę. Postanowił natrzeć na "Albatrosa". Uzbroiwszy swoich ludzi w szable, siekiery, kordelasy i puszczając w jak najszybszy ruch śrubę okrętową, natarł całą parą na jacht.

Tudor Brown nie zamierzał na niego czekać. Rzucił się do ucieczki i płynął wzdłuż ławicy lodowej strzelając przez rufę co pięć minut. Ale jego pole działania było bardzo ograniczone. Coraz mocniej wtaczany między lodowy kontynent i "Alaskę" jedyny ratunek widział w przedarciu się na pełne morze. Zaryzykował więc po paru mających zmylić przeciwnika ruchach ów śmiały manewr. Eryk nie przeszkadzał mu. Ale dokładnie w momencie, kiedy jacht pędzący całą siłą pary znalazł się w jego polu działania, natarł na niego stalowym ostrzem dzioba..

Efekt uderzenia okazał się straszliwy. Szeroki otwór powstał w boku jachtu, który zanurzył się natychmiast głębiej, stanął w miejscu i nie sposób było już nim manewrować. "Alaska" zaś od razu uskoczyła do tyłu i gotowała się do nowego uderzenia. Coraz groźniejszy obraz morza nie zezwolił jej na to.

Burza nadchodziła. Groźny wiatr południowo-wschodni, któremu towarzyszyła zamieć śnieżna, nie tylko wzbijał olbrzymie fale, lecz spychał ku zatoce, gdzie znajdowały się wciśnięte jakby w gardziel oba okręty, olbrzymie masy kry. Rzekłbyś, iż zbiegały się tu ze wszystkich punktów horyzontu na nieoczekiwane spotkanie. Eryk widząc, że nie ma ani chwili do stracenia, że musi bezzwłocznie wydostać się z tej ślepej uliczki, jeśli nie chce zostać uwięziony bez ratunku, zmienił

kierunek statku na wschodni i nie myślał już o niczym innym, tylko o walce z wichurą, ze śniegiem, z armią ryczących lodowych odłamów.

Ale wkrótce wypadło powiedzieć sobie, że przedsięwzięcie było beznadziejne. Burza szalała z taką mocą, że ani maszyna "Alaski", ani jej stalowa klinga na nic się już nie zdawały. Statek nie tylko powoli posuwał się naprzód, ale często musiał się cofać o parę metrów. Maszty trzeszczały pod naporem wiatru. Gęsty śnieg zaciemniał niebo, oślepił załogę, pokrywał pokład i omasztowanie na całą stopę grubości. Kra zbijała się, tworząc i spiętrzając przy każdym uderzeniu wichury swój nieprzebyty mur. Trzeba było zawrócić do lodowej ławicy i szukać przy niej niemal po omacku małej przystani, by schronić się w niej aż do momentu, kiedy trochę się przejaśni. Amerykański jacht zniknął w zawierusze, a stan, w jakim go pozostawiło uderzenie "Alaski", pozwalał wątpić, czy przetrwał. Nie należało się również obawiać, że zdołał się wydostać z lodowej pułapki. A ponadto sytuacja była tak poważna i pogarszała się z minuty na minutę, że należało oddawać się tylko własnym troskom.

Nic nie zdoła wyrazić grozy owych burz arktycznych, kiedy siły prymitywnej natury budzą się, jakby chcąc dać żeglarzowi próbkę tego, czym mogły być niegdyś kataklizmy z okresu lodowcowego. Ciemność gęstniała, choć było dopiero około piątej, i to w okolicy, gdzie noc różni się od dnia. Maszyna parowa stanęła, nie można było tedy nawet marzyć o zapaleniu pochodni elektrycznej. Do świstu huraganu, do grzmotu piorunów, do łoskotu kry uderzającej o siebie i walącej się jedna na drugą dochodziły odgłosy pęknięć ławicy lodowej, która w ciemności rwa ła się na kawały i łamała dookoła. Pęknięciom tym towarzyszył huk, który oddzielał się od ciągłego łoskotu burzy jak rozpaczliwy wystrzał armatni. Liczba tych eksplozji wskazywała, że powstawały niezliczone szczeliny.

Niebawem "Alaska" doświadczyła bezpośrednio skutków burzy. Mała przystań, gdzie zdołała się schronić, wypełniła się wkrótce *drift-ice'ami* jak cała reszta zatoki z jej wgłębieniami. Spiętrzenie odłamków lodowych scementowane śniegiem, który wciąż padał, natarło na kadłub okrętu, otoczyło go i ścisnęło jak w kleszczach. Od tej chwili "Alaska" zaczęła trzeszczeć pod naciskiem lodu. Jej wiązania pojękiwały zgodnie z ruchami ławicy lodowej, w którą była wpasowana. W każdej chwili groziło pęknięcie kadłuba, co stałoby się z pewnością, gdyby nie wzmocniono go przed tym straszliwym naciskiem.

Eryk postanowiwszy nie poddać się bez walki, zatrudnił od początku załogę przy ustawianiu wokół okrętu pionowego oszalowania z ciężkich belek, mających zmniejszyć, o ile tylko to było możliwe, nacisk rozładowując go na szerszej powierzchni. Lecz te krokwie, osłaniające w pierwszej chwili kadłub, daly niespodziany efekt, który mógł się okazać fatalny w skutkach.

Okręt miast zostać zmiądzony, zaczął unosić się w górę za każdym ruchem ławicy i opadał w dół z siłą kowalskiego młota. W każdej chwili, podczas któregoś z tych runięć, mógł zostać strzaskany, pójść na dno, zniknąć. Otóż, aby temu niebezpieczeństwu Zapobiec, istniał tylko jeden sposób, a mianowicie wzmocnianie, ciągłe wzmocnianie, wzmocnianie bez chwili wytchnienia rampy *drift-ice'ów* i śniegu, która jako tako osłaniała kadłub, stanowiąc jakby jednolitą masę z taflą lodową i mogąc powtarzać jej ruchy.

Wszyscy oddawali się temu z zapalem. Był to wzruszający widok — ta garstka ludzi przeciwstawiająca swoje pigmejskie mięśnie potędze natury, próbująca za pomocą kotwicy, lin i desek cerować w pośpiechu szczeliny powstałe w lodzie, zapychać te szwy śniegiem aż do chwili, kiedy jeden oddech Oceanu Lodowatego pozrywa wszystkie te łąty. Po czterech czy pięciu godzinach takiej nadludzkiej pracy wszyscy byli u kresu sił, a niebezpieczeństwo nadal rosło, gdyż burza srożyła się coraz bardziej.

Eryk wezwał na naradę swoich oficerów i ustalono, że należy złożyć na tafli lodowej zapas żywności i amunicji, na wypadek gdyby "Alaska" nie zdołała oprzeć się tym straszliwym wstrząsom. Zresztą już na samym początku burzy ludzie z załogi otrzymali racje żywności na tydzień wraz z dokładnymi instrukcjami, jak się zachować w razie katastrofy, oraz rozkaz noszenia nawet przy pracy karabinów przewieszonych przez ramię. Operacja przeniesienia na lód jakichś dwudziestu beczulek nie była łatwa; ale na koniec uporano się z tym i stos żywności został ułożony w odległości około dwustu metrów od okrętu na smołowanej płachcie, którą śnieg nakrył wkrótce białym płaszczem.

Kiedy dokonano tego zabezpieczenia, wszyscy uspokoili się trochę, gdyż nie obawiali się już tak mocno bezpośrednich skutków ewentualnej katastrofy; załoga siadła za stołem, aby przywrócić sobie nadwyreżone siły dodatkową kolacją, która miała zakończyć się herbatą z rumem.

Nagle, w samym środku tej uczyty, gwałtowniejszy jeszcze od poprzednich wstrząs targnął ławicą lodową. Ogromny nacisk rozbił lodowe łożo, na którym spoczywała "Alaska". Rufa jej została chwycona w kleszcze, uniosła się w górę trzeszcząc okropnie, a dziób spadł w przepaść, jakby miał zatonać. Wybuchła panika. Wszyscy wybiegli na pokład. Paru ludzi pomyślało, że nadszedł moment szukania ratunku na lodowej tafli i nie czekając na rozkaz dowództwa przesadziło burty.

Czterem, a może pięciu udało się skoczyć na śnieg. Lecz dwóch osunęło się między stosy lodu otaczające okręt i jego prawą burtę w chwili, gdy "Alaska" wracała do równowagi i prostowała się właśnie.

Ich okrzyki bólu i dźwięki łamanych kości pochłonął huragan.

Nastąpiła chwila ciszy i okręt znieruchomiał.

Była to lekcja tragiczna. Eryk skorzystał z niej, by polecić załodze, żeby zachowała zimną krew i zawsze czekała na wyraźne rozkazy.

— Rozumiecie — powiedział do swoich towarzyszy — że opuszczenie okrętu jest ostatecznością, do której możemy się odwołać dopiero w krańcowym niebezpieczeństwie. Powinniśmy zjednoczyć nasze wysiłki, by ocalić "Alaskę"! Jeśli jej nie będziemy mieli, nasza sytuacja na lodowej tratwie stanie się wyjątkowo ciężka! Dopiero wtedy, gdy okręt będzie bezużyteczny, wypadnie go ewakuować. Ważne jest również, aby rzecz taka odbyła się według planu, inaczej bowiem odmieni się w klęskę! Liczę na was, że zasiądziecie znów do kolacji i zdacie się na naszych oficerów w sprawie podjęcia decyzji, co należy czynić.

Stanowczość tych słów oddziaływała nawet na najbardziej płochliwych i wszyscy zeszli na międzypokład.

Eryk przywołał wtedy maaster Herseboma, kazał mu odwiązać pocziwego Klaasa i pójść cicho za sobą.

— Pójdziemy na pole lodowe — powiedział półgłosem — żeby sprowadzić uciekinierów, którzy powinni wrócić do swoich obowiązków. Chyba tak będzie lepiej, niż mają zdać się na niebezpieczne przygody.

Biedacy stali na brzegu ławicy lodowej, dość zawstydzeni swoją eskapadą. Po pierwszych słowach reprimendy ruszyli w kierunku "Alaski".

Widząc, że wrócili na okręt, Eryk i maaster Hersebom doszli aż do składu żywności chcąc sprawdzić, czy któryś z marynarzy nie szukał tam schronienia. Obszedłszy go wokół, przekonali się, że nikogo tam nie ma.

— Zastanawiam się już od dłuższej chwili, czy nie należałoby — powiedział Eryk — wysadzić na lód pewnej części załogi, żeby zapobiec następnej panice?

— Może byłoby to i dobre — odparł rybak. — Ale obawiam się, że ci, co pozostaną na pokładzie, będą zazdrościć kolegom z racji tego środka ostrożności, który ich zaniepokoi.



— To prawda — przyznał Eryk. — Mądrzej będzie zatrudnić ich aż do końca w walce z burzą, zwłaszcza że jest to jedyna szansa zachowania okrętu. Lecz skora już jesteśmy na polu lodowym, może byśmy skorzystali z tego, aby przekonać się, jakie ono jest? Wyznaję, że po tych pęknięciach i detonacjach zwątpiłem w jego solidność.

Eryk i jego przybrany ojciec nie uszli jeszcze trzystu metrów od składu żywności w kierunku północnym, kiedy nagle zmuszeni byli stanąć w miejscu. Szeroka szczelina otwierała się u ich stóp. Aby ją przebyć, musieliby mieć długie żerdzie, a nie zabrali ich ze sobą. Toteż postanowili iść jej brzegiem, skręcając nieco na zachód, żeby zobaczyć, jak daleko ona sięga.

Przekonali się wówczas, że ta szczelina, a raczej pęknięcie, biegło bardzo daleko, tak daleko, że maszerując przeszło półgodziny nie dostrzegli jej końca. Upewniwszy się co do rozległości lodowego pola, na którym znajdował się skład żywności zawrócili. Gdy byli mniej Avięcej w połowie drogi dzielącej ich od składu, dała się odczuć nowa wibracja pola lodowego, po czym nastąpiły detonacje, huki i łoskot ścierających się ze sobą lodowych bloków. Nie zaniepokoiłi się tym zbytnio, ale przyspieszyli kroku, aby przekonać się co szybciej, czy ten wstrząs nie wywarł fatalnych skutków na "Alaskę".

Wkrótce dotarli do składu żywności, a po chwili do małej przystani, gdzie schronił się okręt.

Eryk i maaster Herseboom jęli przecierać oczy ze zdumienia, zastanawiali się bowiem czy nie śnią: "Alaski" już tu nie było!...

Zrazu sądzili, że zatonała w odmętach. Byłoby to aż nadto naturalne, po wieczorze, jaki tylko co przeżyli.

Ale uderzyło ich również to, że nie było widać żadnych szczątków oraz że zatoczka zmieniła zupełnie wygląd podczas ich nieobecności. Nie widać było obrzeżenia z *drift-ice'ów*, które burza gromadziła tu przez wiele godzin i wśród których "Alaska" była uwięziona. Przeciwnie, brzeg ławicy był gładki, jak gdyby oddzieliła się ona od tego przypadkowego obrzeżenia i uniezależniła się od niego.

Prawie w tej samej chwili maaster Herseboom stwierdził pewną okoliczność, której nie spostrzegł przebiegając ławicę w różnych kierunkach i która ujawniła się teraz, kiedy znalazł się znów w punkcie wyjścia: wiatr zmienił kierunek i dął teraz od zachodu.

Czy nie było możliwe, iż burza odmieńając kierunek przesunęła w głąb zatoczki krę, w którą "Alaska" była wpasowana?

Tak, oczywiście było to możliwe, ale należało to sprawdzić.

Nie zwlekając ani chwili Eryk, a z nim maaster Herseboom ruszyli brzegiem zatoki.

Szli bardzo długo — może pięć albo sześć kilometrów. Wszędzie brzeg ławicy lodowej był wolny od *drift-ice'ów*; wściekłe fale rozbijały się o niego, jak o plażę; ale koniec zatoki nadal się nie ukazywał i, co było jeszcze dziwniejsze, cypel, który zamykał ją od południa, też zniknął.

Wreszcie Eryk się zatrzymał. Teraz zrozumiał. Ujął rękę Hersebooma w swoje dłonie i ściskając ją rzekł:

— Ojczy — rzekł poważnie — należysz do tych, którym należy mówić prawdę!... A prawdą jest to, że ławica pękła, oddzieliła się od pola, które uwięziło "Alaskę", i że znajdujemy się na lodowej wyspie kilkukilometrowej długości i paręset metrów szerokiej, gnanej po wodzie na czele burzy!

# ROZDZIAŁ XIX

## STRZAŁY Z FUZZI

Około drugiej nad ranem Eryk i maaster Hersebom wyczerpani do ostateczności wsunęli się pod płachtę składu prowiantu, aby wyciągnąć się jeden obok drugiego między dwiema beczkami i przytulić się do ciepłego futra Klaasa. Wkrótce zasnęli; Kiedy się obudzili, słońce stało wysoko nad horyzontem, niebo było błękitne, a morze spokojne.. Przeogromny kawał ławicy, na którym płynęli wydawał się całkiem nieruchomy, albowiem jego ruch był spokojny i łagodny. Ale wzdłuż jego dwóch boków najbliższych sobie ogromne góry lodowe niosły się z przerażającą szybkością, biegły za sobą, zderzały się i niekiedy rozłupywały się nawet. Pejzaż utworzony przez owe gigantyczne kryształy odbijał lub załamywał jak pryzmat promienie słoneczne i był chyba najpiękniejszy z tych, jakie Eryk kiedykolwiek podziwiał. Maaster Hersebom nie bardzo skory, zwłaszcza w warunkach, w jakich się znajdował, do podziwiania urody krajobrazów arktycznych, nie zdołał powściągnąć zachwyty.

— Jakie to wszystko byłoby piękne, gdybyśmy patrzyli z pokładu dobrego okrętu — rzekł z westchnieniem.

— Ba! — mruknął Eryk, którego nie opuszczał jego dobry humor. — Ale na okręcie musielibyśmy tylko dokładać starań, by wymijać wszystkie te icebergi, które mogłyby rozbić go na kawałki; natomiast na tej lodowej wyspie nie potrzebujemy troszczyć się o takie ludzkie nędze.

Był to oczywiście ogromnie optymistyczny punkt widzenia. Maaster Hersebom poprzestał na smutnym uśmiechu. Ale Eryk postanowił brać rzeczy od ich najlepszej strony.

— Czyż to nie nadzwyczajne szczęście, że mamy skład żyw ności? — mówił dalej. — Czy nasza sytuacja nie byłaby rozpaczliwa, gdybyśmy nic nie posiadali? Ale mając dwadzieścia beczek biszkoptów, wędzonego mięsa i brandy, a ponadto nasze fuzje oraz pasy z nabojami — doprawdy czego właściwie mamy się obawiać? W najgorszym razie paru tygodni oczekiwania, zanim ujrzymy jakiś ląd, do którego będziemy mogli przybić!... zobaczy ojciec, że wywinie się z tej opresji, jak wywinęli się ze swojej rozbitkowie z "Hanzy"!

— Z "Hanzy"? — spytał Hersebom z zaciekawieniem.

— Tak, to był okręt, który w roku 1869 wyruszył na morza polarne. Część jego załogi została, jak i my, na tratwie lodowej, gdzie przeniosła żywność i węgiel. Ci zaci ludzie musieli urządzić się jak najlepiej jak tylko mogli na płynącej ławicy. Przeżyli na niej sześć i pół miesiąca, przebywszy wraz z nią wiele tysięcy mil, aż na koniec przybili do lądu na, polarnych ziemiach Ameryki Północnej.

— Oby i nam szczęście dopisało! — rzekł z westchnieniem Hersebom. — A tymczasem pora coś przekąsić.

— I ja tak myślę — odparł Eryk. — Suchar i plaster wędzonej wołowiny dobrze nam zrobią.

Maaster Hersebom wbił wieczka dwóch beczek, żeby dobyć z nich wszystko, co potrzeba na śniadanie, i wydłubał też nożem otwór w wieczku baryłki brandy, ale zatkał go natychmiast klockiem wyciętym z pokrywy beczki — pozwoliło to czerpać z niej do woli — po czym dał popis swojego apetytu.

— Czy tratwa załogi z "Hanzy" była tak duża jak nasza? — spytał stary rybak po jakichś dziesięciu minutach zużytych na restaurowanie swoich nadszarpniętych sił.

— Nie sądzę! Nasza ma zapewne z dziesięć, a może nawet dwanaście kilometrów długości. Tych z "Hanzy" miała tylko dwa. A jeszcze po półrocznej służbie zmalała trochę Nieszczęśliwi

rozbitkowie musieli ją opuścić, gdyż fale zalewały ich, docierały aż do miejsca, gdzie się schronili. Na szczęście mieli dużą łódź, co pozwoliło im przeprowadzić się, kiedy ławica nie nadawała się już do zamieszkania, i szukać innej. Przenosili się tak parę razy z jednego pola lodowego na inne, jak białe niedźwiedzie, aż wreszcie zdołali dotrzeć do stałego lądu.

— Otóż to! — rzekł maaster Hersebm. — Oni mieli łódź, a my jej nie mamy... Jeśli nie zaokrętujemy się w pustej beczce — nie widzę, w jaki sposób moglibyśmy opuścić tę tratwę!

— Zastanowimy się, kiedy nadejdzie pora — odparł Eryk. — Tymczasem proponuję dokładne zbadanie całego naszego dominium!

Maaster Hersebm wstał, Eryk również i obaj weszli na lodowy wzgórek pokryty śniegiem, zwany *hummock*; by rozejrzeć się z góry po całej ławicy. Wyglądała jak długa tratwa, a raczej wyspa mająca dwanaście, może piętnaście kilometrów długości i przypominała kształtem wieloryba leżącego na wodach Oceanu Lodowego. Skład żywności znajdował się na linii, którą wyznaczałaby jedna trzecia jego ciała lub, inaczej mówiąc, głowa wieloryba. Ale było dość trudno zorientować się co do powierzchni wyspy i jej prawdziwego kształtu. Niezliczone *hummocki* garbiły jej powierzchnię i zasłaniały ze wszystkich stron widok. Kraniec, który wczoraj wydawał się zakończeniem zatoki, był dzisiaj o wiele bardziej oddalony. Rozbitkowie postanowili najpierw udać się w tym kierunku. Jak można było sądzić po pozycji słońca, ta część ławicy, która rozpościerała się na zachód, zanim oddzieliła się od lodowej masy, zwróciła się teraz ku północy. Okręt znajdował się więc prawdopodobnie na południu, unoszony prądami lub bryzą, a fakt, że nie widać było śladów lodowej bariery ciągnącej ze wschodu na zachód zgodnie z 78° równoleżnika, w pełni potwierdzał tę hipotezę.

Lodowa ławica była pokryta śniegiem, na którym widniały w pewnej odległości od siebie czarne punkciki. Maaster Hersebm rozpoznał je natychmiast jako *ugiuki*, to znaczy brodate morsy dużych rozmiarów. Owe morsy mieszkały w szczelinach lub zagłębieniach ławicy i czując się tam bezpieczne, korzystały z tego i wygrzewały się na słońcu.

Eryk i maaster Hersebm maszerowali około godziny, zanim dotarli do najdalszego punktu tratwy. Szli niemal cały czas wschodnim brzegiem, co pozwalało im obserwować jednocześnie i ławicę, i morze. Klaas wybiegał co chwilę wielkimi susami i przepędzał owe "ugiuki", dostrzeżone z daleka, które czołgały się niezgrabnie aż do brzegu pola lodowego, by zsunąć się, następnie do wody. Ustrzelenie paru sztuk tej zwierzyny nie nostręczałoby trudności. Ale po co, skoro nie sposób myśleć o rozpaleniu ognia, by upiec lub usmażyć delikatne mięso tych biednych zwierząt? Eryk miał inne problemy: badał z namysłem ławicę i stwierdził, że daleka była od spójności. Liczne wyłomy i szczyby ciągnące się nieraz przez całą szerokość tratwy nasuwały myśl, że przy niewielkim uderzeniu ławica mogłaby popękać na wiele kawałków. Co prawda owe kawałki byłyby jeszcze dość potężnych rozmiarów, lecz sama możliwość podobnego zdarzenia narzucała nieodpartą konieczność trzymania się w pobliżu składu żywności, jeśli rozbitkowie nie chcieli zostać nieoczekiwanie od niego odcięci. Te pęknięcia były zresztą wszędzie pokryte grubą warstwą śniegu, który spadł poprzedniego dnia i zaczynał już, topiąc się, zatykać je. Eryk postanowił wybrać spośród tych wielkich fragmentów najbardziej masywny i najbardziej zdolny do oporu, aby przenosząc nań żywność uczynić z niego kwaterę.

Z tym zamiarem maaster Hersebm i Eryk ruszyli po dziesięciominutowym odpoczynku na północnym cyplu w kierunku zachodnim. Szli teraz tym brzegiem ławicy, który dwie godziny temu był jeszcze zatoką, gdzie amerykański jacht dał się wpędzić. Klaas wybiegał wciąż naprzód uradowany świeżością powietrza i wydawało się, że był w swoim żywiole na owym śnieżnym dywanie, przypominającym mu na pewno krajobraz Grenlandii.

Nagle Eryk spostrzegł, że pies wciąga gwałtownie powietrze i puszcza się jak strzała naprzód, po czym staje i szczeka przy czymś niewidocznym spoza góry lodu.

Jeszcze jakiś *ugiuk* lub foka — pomyślał Eryk nie przyspieszając kroku.

To ani *ugiuk*, ani foka, które leżąc na brzegu tratwy wprawiały w takie podniecenie poczciwego Klaasa. Był to człowiek, człowiek nieruchomy i okrwawiony, którego odzienie ze skóry, nie należało z pewnością do żadnego marynarza "Alaski". To najpierw przyszło na myśl Erykowi oraz wspomnienie zimowania "Vegi", Podniósł głowę tego mężczyzny — była porośnięta gęstymi rudymi włosami i charakterystyczna z racji spłaszczonego jak u Murzyna nosa.

Eryk zastanawiał się, czy nie igra z nim złudzenie. Rozpiął kamizelkę człowieka i obnażył mu pierś. Być może nie dlatego, by przekonać się, czy serce bije jeszcze nieszczęśnikowi, lecz w poszukiwaniu nazwiska...

Na wyrysowanej nieudolnie tarczy znajdował się napis wytatuowany niebieskim kolorem: "Patrick O'Donoghane, "Cynthia".

Serce biło!... Mężczyzna żył!... Miał tylko szeroką ranę na głowie, a także na ramieniu i piersi. Ta ostatnia z pewnością ogromnie utrudniała mu oddychanie.

— Trzeba przenieść go do naszego obozowiska, obandażować, przywrócić do przytomności! — powiedział Eryk do Herseboma.

Po czym dodał po cichu, obawiając się jakby, że go ktoś usłyszy:

— Ojczy, to ten człowiek, którego szukamy od tak dawna nie mogąc go doścignąć, Patrick O'Donoghane!... Oto on — i prawie nie może oddychać!

Myśl, że tajemnica jego życia była tutaj, w tej okrwawionej, potężnej głowie, gdzie śmierć, jak się zdawało, położyła już swoje znamię, zapalał w oczach Eryka mroczny płomień. Jego przybrany ojciec odgadł, co się dzieje w duszy młodzieńca, i nie zdołał się powstrzymać od wzruszenia ramionami. Mogło to oznaczać: Wielka mi pociecha! Na cóż zdadzą się nam wszelkie wiadomości! Ile znaczą wszystkie tajemnice świata w naszej obecnej sytuacji!

Mimo to wziął ciało mężczyzny za nogi, a Eryk chwycił je za ramiona. Objuczeni takim ciężarem ruszyli w drogę.

Ruch dokonał tego, że ranny otworzył oczy. Wkrótce ból, jaki sprawiały mu rany, stał się tak silny, iż jął się skarżyć niezbyt przytomnie, ale można było rozróżnić słowo "drink" i często powtarzające się "pić". Znajdowali się jeszcze dość daleko od składu żywności. Eryk postanowił zatrzymać się, następnie oparł nieszczęśnika plecami o *hummock* na posłaniu ze śniegu i przytknął swoją skórzaną butelkę do ust konającego.

Była prawie pusta, lecz łyk wódki, który wypił O'Donoghane, obudził w nim życie. Rozejrzał się wokół, westchnął głęboko i spytał:

— Gdzie jest Jones?...

— Znaleźliśmy pana samego, na brzegu ławicy — odparł Eryk. — Czy od dawna pan tutaj leży?

— Nie wiem — odpowiedział ranny z wysiłkiem. — Proszę dać mi jeszcze pić! — dodał wpatrując się w Eryka.

Połąknął jeszcze jeden łyk wódki i siły wróciły mu na tyle, że mógł mówić.

— Kiedy burza się rozszalała — wyjaśnił — jacht szedł na dno. Paru ludzi zdążyło wskoczyć do łodzi, inni zginęli. Już w pierwszej chwili pan Jones dał mi znak, abyśmy wykorzystali mały ratunkowy kajak, zawieszony na rufie, którym wszyscy wzgardzili ze względu na jego rozmiary, ale który okazał się nie do zatopienia!... On jeden dotarł do ławicy!... Wszystkie szalupy powywracały się, zanim dotarły do brzegu! *Drift-ice'y* poraniły nas okropnie, kiedy fale rzuciły na nie kajak. Ale koniec końcem poczołgaliśmy się po lodzie tak daleko, że fale nas tam nie dosięgały i czekaliśmy na

świt!... Dzisiejszego ranka pan Jones mnie opuścił, by zobaczyć, czy nie uda mu się ustrzelić jakiejś foki lub morskiego ptaka, żebyśmy mieli co jeść. Już go więcej nie widziałem...

— Czy pan Jones jest oficerem z "Albatrosa"? — spytał Eryk.

— Jest jego właścicielem i kapitanem — odparł O'Donoghane tonem, w którym pojawiła się nuta zdziwienia tym pytaniem.

— A więc właścicielem nie jest pan Tudor Brown?

— Ja... Ja nie wiem — rzekł z wahaniem ranny, który jak się wydawało, żałował, że zapędził się w swojej szczerości za daleko.

Eryk nie uznał za stosowne nalegać w tej sprawie. Tyle innych pytań chciał zadać rannemu!

— Czy pan pamięta — zagadnął Irlandczyka, usiadłszy koło niego na śniegu — że pewnego dnia odmówił pan przejścia na mój pokład, by ze mną porozmawiać i ta odmowa, jak pan wie, spowodowała już wiele nieszczęść. Ale skoro teraz jesteśmy razem, skorzystajmy z tego, by porozmawiać poważnie, jak ludzie rozsądni! Jesteśmy teraz na lodowej ławicy, pan ranny, bez jedzenia, niezdolny wymknąć się o własnych siłach najstraszliwszej śmierci! Mój przybrany ojciec i ja mamy wszystko, czego panu brakuje, żywność, broń i brandy! Chętnie będziemy pana kurować i dzielić z panem to, co mamy, abyś stanął na nogi! Za nasze starania, czy zechcesz pan okazać nam trochę ufności?

Irlandczyk wbił niezdecydowane spojrzenie w Eryka, spojrzenie, w którym wdzięczność mieszała się z obawą niejasną i nieokreśloną.

— To *zależy*, jakiej ufności pan się domaga ode mnie — rzekł wymijająco.

— Ach, przecież wiesz pan dobrze jakiej — powiedział Eryk starając się uśmiechnąć i biorąc dłonie rannego w swoje ręce. — Powiedziałem do pana tamtego dnia: wie pan to, czego potrzebuję się dowiedzieć i czego poszukuję na tych odległych morzach!... Słuchaj, Paricku O'Donoghane, zrób mały wysiłek: zdradź mi sekret, który ma dla mnie tak ogromne znaczenie, powiedz mi, co wiesz o "dziecku na kole ratunkowym". Daj mi pan przynajmniej jakąś wskazówkę, bym mógł odnaleźć moją rodzinę!... Czego pan się może obawiać? Jakie niebezpieczeństwo będzie panu zagrażało, jeśli mi pan powie?...

O'Donoghane milczał i zdawał się wazyć w swojej tępej głowie argumenty, które przedstawił Eryk.

— Ale — ozwał się wreszcie z wysiłkiem — jeśli nawet "dojdziemy do porozumienia, to gdy znajdziemy się w jakimś kraju, gdzie będą sądy, może mi pan wyrządzić sporo zła!

— Nie, przysięgam, że nie!... Przysięgam na wszystko, co najświętsze!... powiedział Eryk z zapalem. — Jakikolwiek były pańskie przewinienia przeciw mnie, jak i przeciw innym, zapewniam pana, że nie wynikną z tego żadne złe skutki dla pana!... Zresztą istnieje coś, o czym, jak się zdaje, pan nie wiesz, mianowicie sprawa przedawnienia, to znaczy dla uczynków, które zostały popełnione, jakiegokolwiek by były, przeszło dwadzieścia lat temu, sprawiedliwość ludzka nie ma już prawa domagać się od pana zadośćuczynienia za nie!

— Doprawdy? — spytał Patrick z resztką nieufności w głosie. — Pan Jones powiedział mi jednak, że "Alaska" została wysłana przez policję, a i pan też wspominał o trybunale...

— Powiedziałem to w związku z całkiem niedawnymi faktami, z wypadkiem, który przytrafił się nam na samym początku podróży! Możesz pan być pewien, że pan Jones zakpił sobie z ciebie. Na pewno ma jakiś poważny powód, jakiś interes w tym, żeby pan nie mówił!

— Z pewnością ma w tym swój interes! — powiedział Irlandczyk z przekonaniem. — Ale jak pan odkrył, że znam tę tajemnicę — pytał dalej patrząc na Eryka.

— Dowiedziałem się tego od państwa Bowles z "Red Anchor" w Brooklynie, którzy słyszeli, że

wspominał pan często o "dziecku na kole ratunkowym".

— To prawda!., — zgodził się Irlandczyk. Ale zastanawiał się jeszcze.

— A więc naprawdę nie wysłała pana policja? — powtórzył.

— Ależ nie! Cóż to za pomysł!... Wysłałem sam siebie, gdyż pragnę gorąco, namiętnie, dowiedzieć się, jaki jest mój kraj i kim są moi rodzice, to wszystko.

O'Donoghnan uśmiechnął się z wyższością.

— Ach to tego chcesz się pan dowiedzieć? — rzekł. — A to prawda, że mógłbym panu to powiedzieć! Tak, naprawdę wiem to.

— Powiedz mi pan, na litość, powiedz! — zakrzyknął Eryk, który spostrzegł, że O'Donoghnan słabnie. — Powiedz mi, a obiecuję panu przebaczenie za wszystkie błędy, jeśli je pan popełnił, i wdzięczność, jeśli zdołam jej panu dowieść.

Irlandczyk spojrzał łakomie na skórzaną butelkę.

— Gardło wysycha od tego mówienia — rzekł z trudnością. — Napiłbym się trochę wódki, jeśli pan pozwoli.

— Tu jej nie mam, ale pójdziemy po nią do składu żywności! Mamy tam piękne dwa galony — rzekł Eryk podając butelkę maaster Hersebowi.

Rybak ruszył natychmiast w drogę mając u boku psa.

— Wróci bardzo szybko — zwrócił się Eryk do rannego. — No proszę, nie targujże się, mój drogi, o swoje zaufanie!... Postaw się na chwilę w moim położeniu! Przypuśćmy, że znajdujesz się na moim miejscu, że przez całe życie nie znasz nazwy swojego kraju ani też imienia matki i że nagle znajdujesz się w obecności człowieka, który wie to wszystko, a ten człowiek odmawia ci tak cennych wiadomości w chwili, gdy ty sam ocaliłeś go i przywróciłeś do życia!... To okrutne, prawda, to nie do zniesienia!... Nie domagam się od pana niepodobieństwa!... Nie proszę, byś się oskarżył, jeśliś zawinił!... Proszę mi tylko dać jakąś wskazówkę, choćby najmniejszą: skieruj mnie pan na właściwą drogę, tyle tylko potrzebuję!...

— Na honor — chciałbym zrobić panu tę przyjemność — rzekł Patrick wyraźnie wzruszony. — Wiedz pan zatem, że byłem chłopcem okrętowym na pokładzie "Cynthii"...

Nagle umilkł.

Eryk wpatrywał się w jego usta... Czy dotrze nareszcie do celu?... Pozna rozwiązanie zagadki? Czy pozna rodzinę i nazwę swojej ojczyzny... Bo to prawda, że ta nadzieja nie wydawała się już chimera... Cały zasłuchany w słowa rannego patrzył na niego uporczywie, gotów niemal pić to, co miał usłyszeć. Za nic w świecie nie przerwałby opowiadania ani słowem, ani choćby gestem. Nawet nie zauważył, że jakiś cień wyrósł za nim. A jednak widok tego właśnie cienia przerwał nagle opowieść Patricka.

— Pan Jones!... — rzekł tonem ucznia przyłapanego na gorącym uczynku gadania.

Eryk odwrócił się i zobaczył Tudora Browna, stojącego przed sąsiednim *hummockiem*, który go dotychczas zasłaniał. Okrzyk Irlandczyka potwierdził podejrzenie, które powziął przed chwilą: panowie Jones i Tudor Brown byli tą samą osobą.

Zaledwie zdołał sformułować swoją myśl.

Dwa strzały z fuzji padły w odstępnie trzech sekund i powaliły dwa trupy.

Tudor Brown oparłszy broń o ramię strzelił w samo serce O'Donoghnanowi, który padł martwy.

Nie zdążył jeszcze opuścić strzelby, kiedy pocisk dosięgnął go w czoło i Tudor Brown upadł na twarz.

— Miałem rację, że wróciłem spostrzegłszy podejrzone ślady na śniegu! — powiedział maaster Hersebowi, który pojawił się z dymiącą jeszcze fuzją.

# ROZDZIAŁ XX

## KONIEC OKREŻNEJ PODBIEGUNOWEJ PODRÓŻY

Eryk krzyknął i klęknął obok ciała Patricka O'Donoghana, szukając ostatniego tchnienia, światełka nadziei!... Ale tym razem Irlandczyk był naprawdę martwy i zabrał ze sobą swój sekret.

Natomiast Tudor Brown pogrążony w ostatniej konwulsji, wypuścił z rąk strzelbę, którą zaciskał w palcach jeszcze w chwili upadku, i oddał ducha nie rzekłszy ani słowa.

— Ojcze! I coś ty zrobił? — zakrzyknął z goryczą Eryk. — Czemu zniszczyłeś ostatnią szansę, jaka mi została, poznania tajemnicy mojego życia!... Czy nie lepiej było rzucić się na tego człowieka i obezwładnić go?

— Czy sądzisz, że zostawiłby nam na to czas? — oburzył się Hersebm. — Drugi strzał był przeznaczony dla ciebie, bądź pewien! Pomściłem śmierć tego nieszczęśnika, ukarałem Browna za zbrodnię na Basse-Froide, a może jeszcze i za inne?... Cokolwiek się stanie, nie żałuję tego! A ponadto, co znaczy tajemnica twojego życia, mój chłopcze, wobec naszej sytuacji. O tajemnicę twojego życia będziemy niebawem z pewnością pytali Pana. Boga!

Zaledwie rzekł te słowa, jak rozległ się huk wystrzału armatniego, powtórzony wielokrotnie przez icebergi i ławice lodowe. Zabrzmiał jak odpowiedź na pełne zniechęcenia słowa starego rybaka. Był też zapewne odpowiedzią na dwa strzały z fuzji, które rozbrzmiały na lodowej ławicy.

— Działo z "Alaski"!... Jesteśmy uratowani... — zawołał Eryk zrywając się z miejsca i wdrapując się na *hummock*, by zbadać spojrzeniem bezkresne morze.

Na razie nie zobaczył nic prócz icebergów gnanych wiatrem i kołyszących się w słońcu. Ale maaster Hersebm, który natychmiast naładował fuzję, strzelił w niebo: odpowiedział mu niemal od razu huk działa.

Teraz Eryk zobaczył wyraźnie smugę czarnego dymu, snującą się po stronie zachodniej na błękitnym niebie. Strzały ze strzelby i strzały armatnie powtarzały się teraz w regularnych parominutowych odstępach i niebawem "Alaska" wyłoniła się zza icebergu idąc pełną parą w kierunku północnej krawędzi ławicy lodowej.

Eryk i maaster Hersebm, płacząc z radości, padli sobie w objęcia. Powiewali chusteczkami, rzucali czapki w górę, próbowali na różne sposoby dać o sobie znać swoim przyjaciółom.

Wreszcie "Alaska" się zatrzymała. Łódź wielorybnicza oddzieliła się od boku okrętu i nie minęło dwadzieścia minut, kiedy przybiła do ławicy lodowej.

Jak opisać głęboką radość doktora Schwaryencrony, pana Bredajorda, pana Malariusza i Ottona na widok tych, których uważali już za zaginionych.

Opowieściom nie było końca: strach i nocna rozpacz, daremne nawoływania, bezsilny gniew. "Alaska", jak się rano okazało, prawie uwolniona od lodu, dokonała reszty dzieła za pomocą min. Pan Bosewitz, objąwszy dowództwo jako drugi oficer, wyruszył natychmiast na poszukiwanie pływającej ławicy zgodnie z kierunkiem wiatru, który popychał ją przed sobą; Ta żegluga między górami lodowymi była najbardziej niebezpieczna ze wszystkich dotychczasowych. Ale dzięki doświadczeniu załogi dowodzonej przez młodego kapitana i precyzji manewrów udało się okrętowi wymijać bez szwanku pływające bryły lodu. "Alaska" korzystała jeszcze i z tego, że posuwała się "w tym samym kierunku co błędzące góry lodowe, ale z szybkością większą niż one. Los sprawił, że wyścigi te nie okazały się daremne. O 9 rano zasygnalizowano po napowietrznej ogromną ławicę lodową, a z wysokości bocianiego gniazda można było nawet dość dokładnie określić jej kształt; gdy

usłyszano dwa strzały z fuzji, zaświtała na "Alasce nadzieja, że dwaj rozbitkowie przebywają na niej.

Reszta nikogo nie interesowała. "Alaska" pomknie czym prędzej na Atlantyk i chyba diabeł musiałby wdać się w to, żeby tam nie dopłynęła; oczywista na żaglach, gdyż nie było już węgla.

— Nie, nie na żaglach! — powiedział Eryk. — Mam dwa inne pomysły. Po pierwsze uczynimy z tratwy nasz holownik na tak długo, jak długo będzie płynęła na południe lub zachód. Oszczędzi to nam, ustawicznych walk z górami lodowymi, które będzie spychała przed sobą. Ponadto zgromadzimy opał potrzebny do ukończenia podróży, kiedy będzie należało uniezależnić się od ławicy lodowej.

— Co też ty mówisz? Czyżby ławica lodowa kryła w sobie kopalnię węgla? — spytał ze śmiechem doktor.

— Nie, może nie dokładnie kopalnię węgla, ale coś, co się sprowadza do tego samego — kopalnię węgla zwierzęcego w postaci tłuszczu z *ugiuków*. Chcę to wypróbować, bo nasze piece mają specjalne urządzenia do tego rodzaju opału.

Zaczęto od oddania ostatniej posługi dwóm zmarłym; wrzucono ich do morza z pociskami umocowanymi do nóg.

Potem zajęto się przycumowaniem "Alaski" do boku ławicy lodowej tak, aby mogła płynąć wraz z nią, będąc jednocześnie osłaniana całą jej masą, a następnie przeniesiono na pokład żywność. Kiedy zakończono tę operację, "Alaska" rzuciła cumy przy północnym krańcu lodowej ławicy, gdyż tam była najlepiej chroniona od icebergów. Okręt płynął teraz ze średnią szybkością sześciu węzłów, co było zupełnie wystarczające aż do nowych rozkazów, zwłaszcza że pływające góry lodowe teraz już nie "zagrażały.

Podczas gdy lodowa tratwa posuwała się majestatem na południe niby jakiś unoszony prądem kontynent, ciągnąc za sobą satelitę, odbywało się regularnie polowanie na morsy.

Dwa lub trzy razy dziennie myśliwi uzbrojeni w fuzje i harpuny udawali się wraz ze wszystkimi grenlandzkimi psami na pole lodowe, gdzie otaczali morskie monstra drzemiące na brzegach swoich jam. Zabijano je strzelając im w uszy, rozkrawano na części, oddzielano słoninę, którą ładowano na sanki, a psy ciągnęły je do "Alaski", Polowanie było tak łatwe i owocne, że w ciągu tygodnia składy niemal pękały od słoniny.

"Alaska" holowana nadal przez ławicę lodową znajdowała się wówczas na 40 stopniu długości wschodniej i 74 równoleżniku, to znaczy, że zostawiła już za sobą Nową Ziemię opływając ją od północy.

Lodowa tratwa zmalęła już prawie do połowy, a to, co pozostało, topiąc się w słońcu, złościło się coraz głębszymi szczelinami i zbliżało się najwyraźniej do rozpadu. Nadchodziła chwila, kiedy ta wielka wyspa rozpadnie się na *drift-ice'y*. Eryk nie chciał na to czekać. Kazał podnieść kotwicę i wziąć kurs prosto na zachód.

Słonina morsów natychmiast użyta w piecu "Alaski" z małym dodatkiem węgla okazała się znakomitym opałem. Jedyłą jej wadą było to, że komin pokrywał się tłuszczem i trzeba go było codziennie czyścić. Nieprzyjemny zapach, który z pewnością robiłby bardzo złe wrażenie na pasażerach z południa, dla załogi szwedzkiej i norweskiej był sprawą bagatelną.

W każdym razie dzięki temu dodatkowi "Alaska" mogła do końca płynąć pod parą, przebyć szybko, mimo przeciwnych wiatrów, przestrzeń dzielącą ją od mórz europejskich i 5 września opłynąć Przylądek Północny, nie zatrzymując się nawet w Tromsø, choć w razie potrzeby mogła to zrobić; szparko posuwała się naprzód, opłynęła Półwysep Skandynawski, przebyła Skagerrak i wróciła do punktu wyjścia.



14 września rzuciła kotwicę nie opadał Sztokholmu, na tych samych wodach, które opuściła 10 lutego bieżącego roku.

W taki sposób został dokonany w siedem miesięcy i cztery dni okrężny polarny rejs dookoła bieguna, pod dowództwem dwudziestodwuletniego kapitana.

Ten wyczyn geograficzny, który uzupełnił i potwierdził tak szybko wielką ekspedycję Nordenskjölda, miał wkrótce pozyskać wspaniały rozgłos. Ale chwilowo ani codzienna prasa, ani tygodniki nie podkreślały jeszcze tej zasługi. Zaledwie parę wtajemniczonych osób było w stanie docenić wagę tego osiągnięcia — a jedna nawet jej się nie domyślała: była to Kajsa.

Warto było popatrzeć na jej uśmiech pełen wyższości, z jakim słuchała opowieści o podróży.

— No tak, o ile zdrowy rozsądek pozwala dobrowolnie narażać się na takie niebezpieczeństwo! — oto jedyny jej komentarz.

A ponadto przy pierwszej nadarzającej się sposobności rzuciła w kierunku Eryka:

— No cóż, jednakże jesteśmy uwolnieni od tej nudnej historii, skoro słynny Irlandczyk jest martwy!

Jakaż różnica istniała między tym oschłym i zimnym sądem a wylewnym i pełnym czułości listem, który Eryk otrzymał niebawem z Norø! Wanda opisywała mu, w jakim niepokoju ona i jej mama przeżyły te długie miesiące, jak myślały towarzyszyły stale podróżnym, jak bardzo uszczęśliwiła je wiadomość o ich powrocie!... Jeśli nawet wyprawa nie dała takich rezultatów, jakich oczekiwał Eryk, nie należało martwić się tym ponad miarę, Eryk nie miał wprawdzie własnej rodziny, ale wiedział, że w biednej wsi norweskiej istnieją ludzie kochający go czule i zawsze towarzyszący mu w myślach. Czy nie przyjedzie wkrótce zobaczyć się z tą rodziną, która uważała go zawsze za swojego i która nie chciała z niego zrezygnować? Jeśli dobrze poszuka, znajdzie być może jakiś miesiąc, który mógłby jej ofiarować!... To najmiłsze życzenie jego przybranej matki i małej siostrzyczki Wandy, etc, etc.

To wszystko owijały trzy śliczne kwiatki zerwane nad brzegiem fiordu, w których zapachu Eryk odnajdywał, zda się, całe swoje beztroskie i wesołe dzieciństwo. Ach, jakież słodkie były to rzeczy dla tego biednego zawiedzionego serca i o ileż lżej było dzięki nim znieść gorycz zakończenia tej podróży!

Wkrótce jednak należało poddać się oczywistości. Podróż "Alaski" była wydarzeniem równającym się podróży "Vegi" Nazwisko Eryka łączono wszędzie z nazwiskiem Nordenskjölda. Dzienniki, rozpisywały się wyłącznie o nowym, okrężnym dookołabiegunowym rejsie. Okręty wszelkich narodowości zakotwiczone w Sztokholmie porozumiewały się ze sobą, by wciągnąć flagi na maszty dla uczczenia tego zwycięstwa żeglarskiego, Eryk, zdumiony i zarazem zakłopotany, był wszędzie przyjmowany z owacjami należnymi zdobywcom. Towarzystwa naukowe stawiały się w całej gali, by powitać komendanta i załogę "Alaski", władze stołeczne proponowały ustanowienie dla nich nagrody narodowej.

Wszelkie te pochwały i rozgłos żenowały Eryka. Był świadom, że w jego przedsięwzięciu główną rolę odegrały względy osobi ste i odczuwał skrupuły zbierając pochwały co najmniej, jego zdaniem, przesadne. Toteż skorzystał z pierwszej nadarzającej się sposobności, by szczerze powiedzieć, iż szukał na podbiegunowych morzach — nie znalazłszy zresztą — rowiązania tajemnicy swojego urodzenia, pochodzenia i zatonięcia "Cynthii".

Sposobność pojawiła się pod postacią pewnego gołowąsa, nie wyższego od wiązki chrustu, zwawego jak wiewiórka, zatrudnionego jako reporter w jednym z największych dzienników sztokholmskich, który pojawił się na pokładzie "Alaski", by wyjednać sobie "osobiste spotkanie" z młodym komendantem. Celem inteligentnego pracownika gazety, powiedzmy to jak najszybciej, było

jedynie dobytec ze swojej ofiary danych biograficznych na sto linijek. Nie mógł trafić na przychylniej usposobiony podmiot i bardziej nadający się do wiwisekcji Eryk łaknął wypowiedzenia prawdy i oświadczenia, że w żaden sposób nie zasługuje, by ogłoszono go Krzysztofem Kolumbem.

Opowiedział więc wszystko bez oporu, odtworzył swoje dzieje, wyjaśnił, jak pewien ubogi rybak z Norø znalazł go na morzu, pan Malarius wychował, doktor Schwaryencrona zabrał do Sztokholmu, jak dowiedział się, że Patrick O'Donoghane znał prawdopodobnie rozwiązanie zagadki i że ów człowiek znajduje się na pokładzie "Vegi", jak wyruszył na poszukiwanie, jak został zmuszony do zmiany trasy wyprawy, jak dotarł do Wysp Lachowskich i przylądka Czeluskin... Wszystko to Eryk opowiadał, by rozgrzeszyć się niejako z tego, że stał się bohaterem. Mówił o tym, gdyż wstydził się, iż jest zasypywany pochwałami za to, co wydawało mu się całkiem naturalne i proste.

A w tym czasie ołówek pana Squirreliusa biegał po papierze z szybkością stenograficzną. Daty, nazwiska, najdrobniejsze szczegóły — wszystko było zanotowane. Pan Squirrelius z bijącym gwałtownie sercem myślał o tym, że nie sto linijek dobędzie z tych wyznań, lecz pięćset lub sześćset. I to jakich linijek!... Opowieść wibrująca, chwycona na żywo, wzruszająca jak romans!

Nazajutrz ta relacja wypełniła trzy kolumny w najpoczytniejszym szwedzkim piśmie. Jak często zdarza się w takich wypadkach, szczerłość Eryka zamiast pomniejszyć jego zasługi, uwydatniła je jeszcze dzięki skromności bohatera i romantyczności jego dziejów. Zarówno prasa, jak i czytelnicy wyciągali łączywie po nią rękę. Owe szczegóły biograficzne przetłumaczone na wiele języków obieły wkrótce całą Europę.

W taki też sposób dotarły do Paryża i któregoś wieczora przedostały się pod wilgotną jeszcze opaską pewnego dziennika francuskiego do skromnego salonu na ulicy Varennes, na drugie piętro jednego ze starych domów.

Dwie osoby znajdowały się w tym salonie. Jedną z nich była pani w czarnej sukni i o włosach całkiem siwych, choć wydawała się jeszcze młoda, i której cała postać nosiła znamię wieczystej ciężkiej żaloby. Siedząc przy abażurze lampy machinalnie haftowała, a jej oczy szukały w ciemności jakiegoś niezapomnianego i przytłaczającego wspomnienia.

Z drugiej strony stołu wysoki starzec z roztargnieniem przeglądał gazetę, którą dopiero co przyniósł mu służący.

Był to pan Durrien, honorowy konsul generalny, jeden z sekretarzy Towarzystwa Geograficznego, ten sam który gościł w Breście u prefekta morskiego w czasie pobytu "Alaski" w tym porcie.

Zapewne nazwisko Eryka przyciągnęło tak silnie jego uwagę, gdyż, czytając szczegóły biograficzne dotyczące młodego szwedzkiego podróżnika zadrżał gwałtownie, po czym przeczytał jeszcze raz artykuł, tym razem bardzo uważnie. Z wolna głęboka bladeść powlokła i tak już bladą twarz starca. Ręce zaczęły mu drżeć nerwowo. Jego pomieszenie stało się tak widoczne, że milcząca dotychczas towarzyszka spostrzegła je.

— Ojczy, czy źle się czujesz? — spytała ze współczuciem.

— Sądzę... sądzą, że zbyt spieszono się z paleniem w kominku... Pójdę zaczerpnąć trochę chłodniejszego powietrza w moim gabinecie!... To nic!... Chwilowe złe samopoczucie!... — powiedział pan Durrien wstając i kierując się do sąsiedniego pokoju.

Niby przez nieuwagę zabrał ze sobą gazetę, którą trzymał w ręku. Gdyby jego córka mogła czytać w myślach ojca, przekonałaby się, że wśród gwałtownego napływu nadziei i obaw, które ścierały się ze sobą, dominowała bezwzględnie wola usunięcia sprzed jej oczu tej gazety.

Przez chwilę chciała pospieszyć za ojcem do jego gabinetu.

Ale rozumiała, że widocznie chce być sam i z dyskrecją podporządkowała się temu kaprysowi. Wkrótce zresztą uspokoiła się zupełnie słysząc, jak ojciec chodzi tam i z powrotem wielkimi krokami

po pokoju, otwiera okno, to znów je zamyka

Dopiero po godzinie postanowiła uchylić drzwi, by zobaczyć, co robi pan Durrien. Stwierdziła, że siedzi przy biurku i pisze list.

# ROZDZIAŁ XXI

## LIST Z PARYŻA

Nie spostrzegła jednak, że pisząc list, miał oczy pełne łez.

Po powrocie do Sztokholmu Eryk otrzymywał ze wszystkich krajów europejskich obfitą korespondencję. Były to listy od stowarzyszeń naukowych lub osób prywatnych z gratulacjami, od obcych rządów, które przyznawały mu zaszczyty lub nagrody, od armatorów lub kupców, domagających się od niego informacji ważnych dla ich interesów. Toteż nie zdziwiły go zbytnio dwa listy otrzymane pewnego ranka, noszące stempel Paryża.

Pierwszy, który otworzył, zawierał zaproszenie do Francuskiego Towarzystwa Geograficznego dla niego i jego towarzyszy, by przybyli odebrać osobiście honorowy medal, który miał być wręczony na uroczystej sesji "autorowi pierwszego okrężnego rejsu polarnego po morzach arktycznych".

Spojrząwszy na drugą kopertę Eryk zadrżał, kiedy przełamywał pieczęć z laku, tworzącą medalion, na którym były odcisnięte inicjały E.D. otoczone dewizą *Semper idem*.

Owe inicjały i ta dewiza były również wydrukowane w rogu listu znajdującego się w kopercie i podpisanego przez pana Durriena. List był takiej treści:

*"Mój drogi chłopcze, pozwól mi nadać ci takie miano na wszelki wypadek. Przeczytałem we francuskiej gazecie notę biograficzną przetłumaczoną ze szwedzkiego, która wstrząsnęła inną bardziej, niż zdołałbym to wyrazić. Nota dotyczy ciebie. Jeśli można wierzyć temu, co w niej piszą; znalazł cię na morzu dwadzieścia dwa lata temu pewien norweski rybak z okolic Bergen, na kole ratunkowym ze statku "Cynthia"; pańska podróż na morza arktyczne miała na celu odnalezienie człowieka, który ocalał z katastrofy okrętu o tej nazwie, zatopionego w październiku 1858 na trawersie Wysp Owczych; wróciłeś pan z tej wyprawy nie dowiedziawszy się nic o tej sprawie.*

*Jeśli to wszystko jest prawdą (nie mam pojęcia, co bym dał za to, żeby było prawdą), proszę pana, byś nie tracąc ani minuty pobiegł do urzędu telegraficznego i dał mi znać.*

*Bo w tym wypadku moje dziecko — zrozum, jak się niecierpliwie, niepokoję i cieszę — w tym wypadku byłbyś moim wnukiem, którego oplakuję od tyła lat, tym, którego, jak sądziłem, utraciłem na wieki, tym, którego moja córka, moja biedna córka o złamanym, niestety, sercu przez katastrofę "Cynthii", wzywa jeszcze i woła co dnia — jej jedynym dzieckiem, jedynym uśmiechem i pocieszeniem w jej wdowieństwie!...*

*Odnaleźć pana, odnaleźć żywego i obsypanego zaszczytami byłoby szczęściem niezwykłym i ponad miarę. Nie śmiem w to uwierzyć, dopóki nie otrzymam znaku od pana, który mnie do tego upoważni!... A jednak wszystko to wydaje się tak prawdopodobne!... Wszelkie szczegóły i daty są tak zbieżne!... Pańska twarz i sposób bycia przypominają mi tak wyraźnie mojego nieszczęsnego zięcia. Przy tej jedynej sposobności, kiedy los zechciał nas do siebie zbliżyć, poczułem wobec pana tak nagłą i głęboką sympatię!... Wydaje mi się niemożliwe, żeby to wszystko nie miało racji bytu!*

*Prószę o słowo, jedno słowo przekazane telegraficznie!... Nie będę umiał żyć, aż do nadejścia tej depechy. Oby dała mi taką odpowiedź, jakiej oczekuję, której pragnę gorąco. Oby mogła przynieść mojej biednej córce i mnie również szczęście, które zatrze całe życie wśród żalu i łez!*

E. Durrien

Honorowy konsul generalny

Do tego listu dołączono notatkę wyjaśniającą, którą Eryk połykał zachłannie. Napisał ją również pan Durrien, a zawierała, co następuje:

"Byłem konsulem francuskim w Nowym Orleanie, kiedy moja jedyna córka, Katarzyna, poślubiła młodego Francuza, pana Jerzego Durriena, naszego dalekiego krewnego, pochodzącego jak i my z Bretanii. Jerzy Durrien był inżynierem górnikiem. Przybył do Stanów Zjednoczonych, aby rozpocząć eksploatację źródeł naftowych dopiero co odkrytych i zamierzał tu pozostać przez parę lat. Przyjęty w moim domu tak, jak powinien być przyjęty człowiek mający takie zasługi jak on, noszący to samo nazwisko co my, syn mojego drogiego przyjaciela z młodych lat poprosił mnie o rękę córki. Oddałem mu ją z radością. Niewiele czasu upłynęło od tego ślubu, kiedy niespodziewanie powołano mnie na stanowisko konsula w Rydze, a że mojego zięcia zatrzymywały w Stanach poważne interesy, córka nie mogła go opuścić. Tam została matką chłopca, który otrzymał moje imiona oraz imię ojca.

Pół roku później mój zięć zginął w wypadku, który wydarzył się w kopalni ropy naftowej. Uporządkowawszy swoje sprawy, moja biedna córka, wdowa w wieku lat dwudziestu, wsiadła w Nowym Jorku na okręt "Cynthia" zmierzający do Hamburga, aby przyjechać do mnie najkrótszą drogą.

7 października 1858 roku "Cynthia" zatoneła na wschód od "Wysp Owczych. Okoliczności tej katastrofy wydawały się już podówczas podejrzanе i pozostały dotychczas nie wyjaśnione. W każdym razie w czasie tej katastrofy, kiedy wszyscy pasażerowie jeden po drugim zajmowali miejsca w szalupie, mój wnuk, mający wówczas siedem miesięcy, którego matka przywiązała do koła ratunkowego, ześlizgnął się lub został zepchnięty do morza i zniknął uniesiony przez burzę.

Moja córka oszalała z rozpaczy na ten straszny widok, chciała się rzucić w odmęty. Ocalono ją siłą i zemdloną wrzucono do łodzi, w której znajdowały się jeszcze trzy osoby i która jedynie ocalała z katastrofy. Po czterdziestu ośmiu godzinach łódź przybiła do brzegu jednej z Wysp Owczych. Stamtąd moja córka przybyła do mnie po śmiertelnej trwodze siedmioletniego oczekiwania dzięki poświęceniu pewnego marynarza, który ją ocalił i przywiódł do mnie. Ten zany chłopak o nazwisku John Denman zmarł na służbie u mnie w Azji Mniejszej. Nie mieliśmy poważniejszej nadziei, że biedne dziecko mogło przeżyć katastrofę. Pomimo to szukałem go na Wyspach Owczych, na wyspach Shetland i na norweskim wybrzeżu na północ od Bergen. Myśl, że kołyska mogła dotrzeć jeszcze dalej, była nie do przyjęcia, A jednak nie rezygnowałem z poszukiwań aż przez trzy lata, a że Nora nie było nimi objęte, musi to być punkt osobliwie oddalony i nie mający bezpośrednich kontaktów z morskim wybrzeżem.

Kiedy utraciliśmy wszelkie nadzieje, poświęciłem się wyłącznie mojej córce, której zdrowie fizyczne, jak i moralne wymagało wielkich starań. Uzyskałem to, że wysłano mnie na Wschód, gdzie starałem się rozerwać ją trochę pięknymi podróżami i przedsięwzięciami naukowymi. Była ona moją nieodłączną towarzyszką we wszystkich pracach; ale nigdy nie udało mi się dobrać jej z nieuleczalnego smutku. Na koniec poszedłem przed dwoma laty na emeryturę i wróciliśmy do Francji. Zamieszkujemy na przemian w Paryżu i w starym domu, który posiadam w Val-Feray, pod Brestem.

Czy będzie nam dane ujrzeć mojego wnuka, tego, którego opłakujemy od tylu lat? To nadzieja nazbyt piękna, abym śmiał powiedzieć o niej mojej córce, zanim odmieni się w pewność. Byłoby to prawdziwe wskrzeszenie. Ale gdyby należało z niej zrezygnować, rozczarowanie byłoby tak okrutne!...

Dziś jest poniedziałek. W najbliższą sobotę — powiedziano mi na pocztce — mógłbym otrzymać

odpowieź!..."

Eryk z trudem dokończył czytanie listu; łzy zasłaniały mu wzrok. On również obawiał się, że zbyt szybko ulega nadziei, którą mu tak nagle przywrócono. Wmawiał w siebie, że wszelkie prawdopodobieństwa zbiegły się razem — zgodność dat wszystkich wydarzeń w ich najdrobniejszych szczegółach. Ale było to zbyt piękne! Nie śmiał w to uwierzyć! Odnaleźć za jednym zamachem rodzinę, prawdziwą matkę, ojczyznę... I to jaką ojczyznę!... Tę samą, którą byłby wybrał między wszystkimi innymi, gdyż wciela w pewnym sensie wielkość i wdzięk, i najwyższe dobra ludzkości, dlatego, że w niej stopiły się i geniusz cywilizacji antycznych, i płomień oraz duch czasów nowożytnych.

Bał się, że to wszystko okaże się snem. Już tyle razy jego nadzieje zostały zniweczone!... Kto wie, czy doktor nie zawali tego rusztowania tylko jednym słowem. Przede wszystkim należało jego obrać za sędziego.

Doktor czytał uważnie przedłożone mu dokumenty, przerywając kilkakrotnie lekturę okrzykiem zdumienia lub radości.

— Nie można mieć cienia wątpliwości! — rzekł wreszcie. — Wszystkie szczegóły zgadzają się tak ściśle nawet włącznie, z tymi, których nie wymienia autor tego listu — inicjały na bieliźnie, dewiza wyryta na grzechotce, te same, które znajdujemy na tym piśmie!... Mój drogi chłopcze, tym razem twoja rodzina jest odnaleziona! Trzeba natychmiast zatelegrafować do twojego dziadka...

— I co mu powiedzieć? — spytał Eryk blady ze szczęścia.

— Powiedz mu, że jutro wsiądziesz w ekspres, aby paść w ramiona matki i jego!

Młody kapitan zatrzymał się jeszcze na moment, by przytulić do serca dłoń tego wspaniałego człowieka, po czym wsiadł w kabriolet i popędził do telegrafu.

Tego samego dnia opuścił Sztokholm, wsiadł do pociągu zdążającego do Malmö na północno-zachodnim wybrzeżu Szwecji, w dwadzieścia minut przebył cieśninę, w Kopenhadze wskoczył do kuriera zmierzającego do Holandii i Belgii, po czym w Brukseli — do pociągu paryskiego.

W sobotę, o siódmej wieczór, dokładnie w sześć dni od chwili kiedy pan Durrien nadał swój list na pocztę, doznał on radości oczekiwania na dworcu du Nord swojego wnuka. Kolejne depesze, które Eryk wysyłał w czasie podróży, pozwoliły czekać panu Durrien względnie cierpliwie na jego przyjazd.

Wreszcie pociąg wjechał z hukiem pod wysokie, szklane sklepienie. Pan Durrien i, jego wnuk padli sobie w objęcia. Tak blisko byli w myślach ze sobą podczas ostatnich dni oczekiwania, że wydawało im się, iż znali się zawsze.

— A moja matka? — spytał Eryk.

— Nie śmiałem jej tego wszystkiego powiedzieć, póki ciebie nie miałem przy sobie — odparł pan Durrien używając od razu tego Ty, słodkiego jak matczyzna pieszczota, którego zazdroszą francuskiemu wszystkie inne języki.

— A więc jeszcze nie wie?

— Podejrzewa, lęka się, ma nadzieję! Od chwili, kiedy otrzymałem twoją depeszę, przygotowuję ją najlepiej, jak umiem, do niesłychanego szczęścia, które ją czeka. Mówię jej o śladzie, na jaki naprowadził mnie pewien oficer szwedzki, młody marynarz, którego spotkałem w Breście i o którym tak często jej wspominałem!... Ona nie wie, waha się jeszcze, lecz sądzę, że zaczyna domyślać się bliskiego nadejścia czegoś nowego! Dziś rano przy śniadaniu z największym trudem ukrywałem moją niecierpliwość! Widziałem doskonale, że mnie obserwuje bardzo uważnie! Dwa czy trzy razy sądziłem, że zażąda ode mnie formalnego wyjaśnienia... Wyznaję, że bardzo się tego lękałem. Gdyby jakieś nieporozumienie, jakaś nieoczekiwana przeszkoda lub, co gorsza, jakieś nieszczęście spadło

nam na głowę!... Wszystkiego człowiek się lęka będąc w takiej sytuacji jak nasza!... Toteż nie jadłem z nią dziś obiadu. Udałem, że mam jakąś sprawę, musiałem uciec od tej sytuacji, która stała się dla mnie nie do zniesienia!

Nie czekając na bagaże wsiedli do powozu, który przywiózł pana Durrien.

Tymczasem pani Durrien, sama w salonie przy ulicy de Va-rennes, oczekiwała niecierpliwie powrotu ojca. Odgadł on z całą słusnością, że odłożyła do obiadu moment poproszenia go o wyjaśnienia. Od wielu dni była ogromnie zaniepokojona jego sposobem bycia, depechami, które wciąż otrzymywał, osobliwymi niedomówieniami, w których coś ukrywał. Nawykła do wymiany najdrobniejszych nawet myśli i słów nie rozumiała, że mógł przed nią coś ukrywać. Już wiele razy miała zamiar zażądać rozwiązania tej zagadki. Po czym milkła wobec wyraźnego uporu swojego ojca.

Chce przygotować mi jakąś niespodziankę — powiedziała sobie. — Nie trzeba mu w tym przeszkadzać.

Ale w ciągu ostatnich dwóch albo trzech dni, a zwłaszcza tego rana, uderzyła ją szczególnie niecierpliwość przejawiająca się we wszystkich jego ruchach, wyraz szczęścia, który ożywił jego spojrzenie, uporczywość, z jaką wracały na jego usta aluzje do katastrofy "Cynthii" od tak dawna unikane. Rodzaj olśnienia pojawił się u niej. W sposób nieokreślony jeszcze pojęła, że zaszło coś nowego, że jej ojciec sądził słusznie lub niesłusznie, iż trafił na jakąś sprzyjającą wskazówkę oraz odzyskał nadzieję, tak długo pieszczoną, odnalezienia jej dziecka. Nie sądząc przez chwilę, by rzeczy były wyraźnie zaawansowane, podjęła decyzję dowiedzenia się wszystkiego z całą bezwzględnością.

Pani Durrien nigdy ostatecznie nie zrezygnowała z nadziei, że jej syn jeszcze żyje. Dopóki matka nie zobaczy zwłok swojego dziecka, odmawia, by tak rzec, usankcjonowania przez swoją zgodę tego faktu nie do naprawienia, jakim jest śmierć. Myśli, że świadkowie mogli się omylić, że pozory ich zwiodły. Wierzy zawsze w możliwość nagłego powrotu. Można by rzec, że spodziewa się tego. Tysiące matek żołnierzy i marynarzy ulegało tej wzruszającej iluzji. Pani Durrien miała do tego prawo bardziej niż każda inna matka. Po prawdzie tragiczna scena stała jej wciąż przed oczami po dwudziestu dwóch latach tak samo jak pierwszego dnia. Wyobrażała sobie "Cynthię", do której wdzierала się woda, okręt zanurzający się coraz głębiej przy każdej ogromnej fali. Widziała siebie przywiązaną własnymi rękami swoje małe dziecko do szerokiego koła ratunkowego, podczas gdy pasażerowie zwalali się jeden na drugiego do szalup, a i siebie zostawioną w tyle, błagającą, dopraszającą się, by zabrano przynajmniej dziecko. Jakiś mężczyzna wziął z jej rąk to brzemie najdroższe. Wepchnięto ją do czołna. I niemal natychmiast fala ogromna, trąba wodna, która runęła na nią, oraz straszliwy widok koła ratunkowego, płynącego obok kadłuba parowca na grzbiecie fali, która uniosła swoją zdobycz jak piórko wśród pyłu wodnego, a burza zalewała muśliny kołyski. Wtedy rozdzierający krzyk pośród innych krzyków, walka wręcz, zanurzenie się w ciemność i nieświadomość. Po przebudzeniu się rozpacz bez granic, noce w gorączce i majaczeniu! Potem ból nieustający, długie poszukiwania bez rezultatu, przekonanie o własnej bezsilności narastającej coraz bardziej, rozpościerające się, zalewające wszystko!... O tak, pamiętała to wszystko ta biedna kobieta. Ale lepiej to powiedzieć, cała jej istota odniosła w tym dramacie tak straszliwy wstrząs, że została bezpowrotnie poraniona. Minęło już prawie ćwierć wieku, kiedy to wszystko się wydarzyło, a pani Durrien nadal opłakiwała swoje dziecko! Jej macierzyńskie serce skupiło się wyłącznie na swojej żałobie i z wolna trawiła swoje życie w ponurej kontemplacji tego jedyne go wspomnienia!

Dzięki jakiemuś cudowi moralnemu wyobrażała sobie niekiedy swojego syna przechodzącego kolejno przez wszystkie fazy dzieciństwa, lat młodzieńczych i wieku męskiego. Z roku na rok wyobrażała sobie, jaki byłby, jaki mógł być — gdyż zachowywała nadal upartą wiarę w możliwość

jego powrotu! Wobec tej niezrozumiałej nadziei wszystko było bez znaczenia: bezowocne starania, bezskuteczne poszukiwania, mijający czas!

Dlatego owego wieczora oczekiwała ojca z bezwzględny postanowieniem, że uwolni się od tego rodzaju złudzeń.

Pan Durrien wszedł. Towarzyszył mu młody człowiek, którego przedstawił w następujących słowach:

— Moja córko, oto pan Eryk Hersebm, o którym często ci wspomniałem i który dopiero co przyjechał do Paryża. Towarzystwo Geograficzne ma mu wręczyć honorowy medal, zrobił mi tę przyjemność, że przyjął gościnę w naszym domu.

Uzgodniono w powozie, że wszystko tak właśnie się odbędzie i że Eryk Opowie później o dziecku przygarniętym w Norø i że będzie próbował dojść z wolna, bez wielkiego wstrząsu do wyznania swojego pochodzenia. Ale gdy znalazł się w obecności matki, sił mu nie stało, by odegrać tę rolę. Zbladł śmiertelnie i skłonił się głęboko, nie mogąc wymówić ani słowa.

Ona zaś podniosła się z fotela i patrzyła na niego z dobrocią. Nagle oczy się jej rozszerzyły, wargi zadrżały, ręka wyciągnęła się ku niemu.

— Mój syn!... Jesteś, młodzieńcze, moim synem! — zawołała. Postąpiła krok w jego stronę.

— Tak, jesteś moim dzieckiem! — rzekła. — Twój ojciec żyje cały w każdym twoim rysie.

I kiedy Eryk zalewając się łzami padł na kolana przed matką, ta biedna kobieta, ujmując głowę młodzieńca w obie ręce, złożyła pocałunek na jego czole i zemdląła z radości i szczęścia.



# ROZDZIAŁ XXII

## VAL-FÉRAY — ZAKOŃCZENIE

W miesiąc później w Val-Feray oddalonym od Brestu o pół mili zebrała się na zaproszenie matki i dziadka Eryka cała jego przybrana rodzina. Wiedziona delikatnością pani Durrien pragnęła podzielić się swoją głęboką, niewyobrażalną radością z prostymi i zacyjnymi ludźmi, którzy ocalili jej syna. Wymogła, by jejmość Katrina i Wanda wzięły udział w tej podróży wraz z Hersebomem i Ottonem oraz doktorem Schwaryencroną, Kajsą, panem Bredejordem i panem Malariusem.

Na łonie tej surowej natury bretońskiej norwescy goście czuli się zapewne mniej wyobcowani, aniżeli byliby na ulicy de Varennes. Odbywały się długie przechadzki po lasach, opowiadano sobie wszystko, czego ktoś z obecnych nie wiedział, rozważano wspólnie strzępki prawdy, jakie znano, o tej historii jeszcze nadal niezupełnie jasnej. I z wolna wiele punktów niewytłumaczalnych rozjaśniało się, światło rozbłyskało przez zestawianie rozmaitych okoliczności, długich rozmów i dyskusji.

Przede wszystkim kim był Tudor Brown? Jakież to wielki interes kierował nim, że nie dopuszczał do odnalezienia za pośrednictwem Patricka O'Donoghana śladów rodziny Eryka. Jedno słowo nieszczęsnego Irlandczyka wystarczyło, by to ustalić. W rzeczywistości Tudor Brown nazywał się Jones, i tylko pod takim nazwiskiem Patrick O'Donoghana go znał. Otóż pan Noah Jones był współnikiem ojca Eryka w przedsięwzięciu mającym na celu eksploatację ropy naftowej ze źródła odkrytego przez młodego inżyniera w Pensylwanii. Wzmianka o tym rzucała posępne światło na wydarzenia, które były spowite tajemnicą od tak dawna. Podejrzone zatonięcie "Cynthii", rzucenie dziecka do morza, kto wie czy i nie śmierć ojca Eryka — wszystko to, niestety, miało swoje źródło w spółce, o czym pan Durrien dowiedział się z dokumentów zięcia i co opatrzył paroma komentarzami.

— Na wiele miesięcy przed ślubem — wyjaśniał przyjaciółom Eryka — mój zięć natrafił nie opadał Harrisburga na złoża naftowe. Brakowało mu kapitału, aby zapewnić sobie pozwolenie eksploatacji, i zdawało się, że straci cały dochód. Przypadek zetknął go z tym Noahem Jonesem, który podawał się za kupca wołów na Dzikim Zachodzie, ale w rzeczywistości był handlarzem niewolników w Południowej Karolinie. To indywiduum zobowiązało się wyłożyć sumę konieczną na zakupienie źródła "Vandalia" i jego eksploatację. Umiał nakłonić Jerzego do podpisania w zamian za jego wkład traktatu, który przyznawał mu lwią część zysku. Nie znałem postanowień owego traktatu w momencie ślubu mojej córki i według wszelkich danych Jerzy nie my ślał o nim zupełnie. Nikt chyba nie był równie niedoświadczony w sprawach tego rodzaju. Nadzwyczaj uzdolniony w wielu kierunkach, matematyk, chemik, wspaniały mechanik, nie orientował się w interesach i już dwa razy zapłacił prawdziwą fortunę za swoje niedoświadczenie w rzeczonych sprawach. Trudno wątpić, żeby w układzie z Noahem Jonesem wyzbył się swojego zwykłego "a co mi tam". Prawdopodobnie podpisał dokumenty o zawarciu spółki z zamkniętymi oczyma. Oto główne punkty tego układu, streszczone jako wyjątki i pozbawione frezeologii anglosaskiej, w jaką były spowite:

"Art. 3. Własność źródeł "Vandalia" pozostanie wspólna pomiędzy: odkrywcą Jerzy Durrienem i cichym współnikiem Noahem Jonesem.

Ark. 4. Pan Noah Jones będzie administrował całą gotówką wyłożoną przez niego na eksploatację złóż. Będzie sprzedawał produkty chemiczne, gromadził dochody, płacił koszta i podawał je co roku swojemu współnikowi, wreszcie dzielił przychody netto ze swoim współnikiem Pan Jerzy Durrien będzie kierował wierceniami i obsługą techniczną eksploatacji.

Art. 5. W wypadku gdyby jeden z właścicieli-wspólników chciał sprzedać swoją część, będzie

musiał dać prawo pierwszeństwa za pomocą formalnej oferty swojemu wspólnikowi, który przez pełne trzy miesiące będzie miał prawo podjęcia decyzji i zostanie właścicielem wpłacając kapitał wynoszący trzy od stu czystego dochodu według ostatnio sporządzonego inwentarza.

Art. 6. Jedyne dzieci każdego ze wspólników dziedziczą prawo do kopalni. W razie gdyby zmarły wspólnik nie miał dzieci lub gdyby dziecko albo dzieci zmarły przed ukończeniem dwudziestu lat, cała własność przechodzi na żyjącego wspólnika, z wyłączeniem wszystkich innych spadkobierców zmarłego.

Art. 7. Ten artykuł jest umotywowany przez odmienną narodowość obu wspólników i komplikacjami proceduralnymi, które wprowadziłyby niechybnie inne postanowienia".

— Taki był — ciągnął pan Durrien — akt zawartej spółki, który podpisał mój zięć w chwili, kiedy nie myślał jeszcze o małżeństwie i kiedy nikt nie znał, z wyjątkiem może pana Jonesa, ogromnej wartości, jaką miała uzyskać później kopalnia ropy naftowej "Vandalia". Badano dopiero i smakowano rzecz. Janek zamierzał pewnie zniechęcić wówczas wspólnika do tego przedsięwzięcia, podkreślając przesadnie początkowe trudności, by zapewnić sobie tanim kosztem wyłączność posiadania "Vandalii". Małżeństwo Jerzego z moją córką, narodziny naszego drogiego chłopca, nagłe stwierdzenie oszałamiającego bogactwa źródła, zmieniły sytuację zupełnie. Nie mogło już być mowy o zapewnieniu sobie tak pięknej posiadłości za kromkę chleba, ale wystarczyło żeby przypadła Noahowi Jonesowi, kiedy najpierw Jerzy, a potem jego jedyny spadkobierca, zniknęliby z tego świata. Otóż w dwa lata po ślubie i w pół roku po urodzeniu się mojego wnuka Jerzy został znaleziony martwy obok jednego z szybów, zatruty, jak orzekli lekarze, przez wydobywające się stamtąd gazy. Mnie już nie było w Stanach Zjednoczonych, gdyż otrzymałem wcześniej stanowisko konsula w Rydze: solicitor załatwił sprawę sukcesji. Noah Jones okazał się człowiekiem pełnym dobrej woli i podpisał wszystkie ugody dotyczące mojej córki. Ustalono, że będzie kontynuował eksploatację wspólnej własności i płacił kwartalnie w Central-Bank w Nowym Jorku pewną część dochodów netto przypadającą jej dziecku. Ale, niestety, nie wpłacił nawet należności za pierwszy semestr!... Moja córka wsiadła na parowiec "Cynthia", by do mnie przyjechać. Lecz "Cynthia" uległa katastrofie, zatonała wraz z ludźmi w warunkach tak podejrzanych, że towarzystwo asekuracyjne zdołało oczyścić się z zarzutów jakiegokolwiek odpowiedzialności: w tej katastrofie, zginął również jedyny spadkobierca Jerzego. Od tej pory Noah Jones był jedynym właścicielem źródeł "Vandalia", które w tym czasie dawały mu przeciętnie sto osiemdziesiąt tysięcy dolarów rocznego dochodu.

— Czy nie podejrzewał pan jego udziału w tych kolejnych tragediach? — spytał pan Bredejord.

— Rzeczywiście podejrzewałem go, to była aż nadto naturalne, zważywszy na takie spiętrzenie rzekomych wypadków, zmierzających do tego samego celu; tak, była to rzecz oczywista, nad, wyraz widoczna. Ale jaką mogłem nadać postać moim podejrzaniom, a zwłaszcza jak je "przedstawić sprawiedliwości? Miałem tylko całkiem nieokreślone dane o tych faktach. Wiedziałem z doświadczenia, że niewiele można się spodziewać po trybunałach, jeśli szło o międzynarodowe spory. A ponadto mu siałem pocieszać, a przynajmniej urozmaicać życie mojej córki; z drugiej zaś strony proces odnowiłby jej ból, nie mówiąc o tym, iż zachłanność wydałaby się tutaj jedynym motywem działania. Krótko mówiąc, zdecydowałem się na milczenie. Czy to był błąd? Czy trzeba tego żałować? Nie sądzę i nadal jestem przekonany, iż nie osiągnąłbym żadnego rezultatu. Spójrzcie, jak nam jest trudno, nawet dzisiaj, kiedy możemy uzgodnić wszystkie nasze wrażenia, wszystkie znane nam fakty, dojść do ostatecznej konkluzji!

— Jak na przykład wyjaśnić sobie rolę, którą odegrał w tym wszystkim Patrick O'Donoghane? — zastanawiał się doktor Schwaryencrona.

— W tej sprawie, jak i wielu innych, musimy zadowolić się domysłami; ten wydaje mi się

całkiem do przyjęcia: ów O'Donoghane, chłopiec okrętowy na "Cynthii", oddany do osobistej dyspozycji kapitana, był w ustawicznym kontakcie z pasażerami pierwszej klasy, jadającymi zawsze przy stole kapitana. Znał z pewnością nazwisko mojej córki i jej narodowość, a zatem z łatwością mógł ją odnaleźć. Czy Noah Jones powierzył mu jakąś tajemniczą misję? Czy przyłożył rękę do tak podejrzanej katastrofy "Cynthii" lub też upadku dziecka do morza? — tego nie dowiemy się nigdy dokładnie, ponieważ on nie żyje. Jakkolwiek by było — to pewne, że wiedział, jakie znaczenie ma dla eks-wspólnika Jerzego "dziecko na kole ratunkowym". Wykorzystanie tej wiadomości to tylko jeszcze krok dla takiego indywiduum, jakim go przedstawiono — pijaka i lenia. Czy O'Donoghane wiedział, że "dziecko na kole ratunkowym" rzeczywiście żyło? Czy może nawet pomógł mu wyławiając je z morza i pozostawiając następnie nie opodal Norø albo w jakiś inny sposób? Ten punkt jest również niejasny. W każdym razie musiał powiadomić Noaha Jonesa, że "dziecko na kole ratunkowym" wyszło cało z katastrofy; chwalił się zapewne, że wie, w jakim kraju przebywa; dawał z pewnością do zrozumienia, że przedsięwziął pewne środki ostrożności, a mianowicie, że powiadomi o wszystkim dziecko, gdyby jemu, O'Donoghane, przytrafiło się nieszczęście. Noah Jones musiał tedy opłacać jego milczenie. Takie z pewnością było źródło okresowych dochodów Irlandczyka, które otrzymywał w Nowym Jorku, ilekroć się tam pojawiał.

— To wszystko wydaje mi się bardzo prawdopodobne — powiedział pan Bredejord. I dodał jeszcze — dalsze wydarzenia potwierdzają w pełni owe domysły. Pierwsze ogłoszenia doktora Schwaryencrony musiały zaniepokoić Noaha Jonesa. Postanowił koniecznie pozbyć się Patricka O'Donoghana, ale działając rozważnie, właśnie dlatego, że Irlandczyk przedsięwziął ponoć pewne środki ostrożności. Zadowalał się tedy straszeniem Irlandczyka za pomocą ogłoszeń i wmawiając mu, że powinien lękać się natychmiastowej interwencji sądownictwa kryminalnego. Wynika to po prostu z opowiadania, które usłyszeliśmy w Nowym Jorku od właściciela oberży "Red Anchor", pana Bowlesa, i z pośpiechu towarzyszącemu ucieczce O'Donoghana, Uciekając aż tak daleko, aż do Samojedów, i to pod przybranym nazwiskiem, dał dowód, iż boi się ekstradycji, która mu rzekomo zagrażała. Noah Jones z pewnością mu to doradził i prawdopodobnie poczuł się wówczas zabezpieczony przed wszelkimi niespodziankami. Ale ogłoszenia o poszukiwaniu Patricka O'Donoghana zabiły mu, jak się to mawia, świecę w głowę. Wybrał się tedy do Sztokholmu specjalnie po to, aby upewnić nas, że O'Donoghane nie żyje, ale i dlatego, by przekonać się na własne oczy, jak daleko posunęły się poszukiwania. Wreszcie nadeszła korespondencja z "Vegi" i wyprawa "Alaski" na morza północne. Noah Jones czy Tudor Brown widząc, że niebezpieczeństwo wisi mu wprost nad głową, gdyż jego zaufanie do Patricka O'Donoghana było co najmniej średnie, nie cofał się już przed żadną zbrodnią, mogącą zapewnić mu bezkarność. Na szczęście rzeczy potoczyły się dobrze; możemy teraz powiedzieć, że cudem wyszliśmy z tego cało!

— Kto wie! Może właśnie te wszystkie niebezpieczeństwa doprowadziły nas do celu! — powiedział doktor. — Gdyby nie podstęp na Basse-Froide jest bardzo prawdopodobne, że płynąc Kanałem Sueskim dotarlibyśmy do Cieśniny Beringa zbyt późno, by spotkać tam "Vegę". Jeszcze bardziej wątpliwe jest to, czy byśmy mogli cokolwiek dobyć z O'Donoghana, gdybyśmy go spotkali w obecności Tudora Browna!... W gruncie rzeczy cała nasza podróż została wytyczona przez tragiczne wydarzenia, które zaszły na jej początku, i jedynie dzięki dokonaniu przez "Alaskę" okrężnego rejsu dookoła biegunowego i sławie, którą Eryk uzyskał z tej racji, odnaleźliśmy jego rodzinę!

— Tak — oświadczyła z dumą pani Durrien, przeciągając ręką po włosach syna — to sława mi go zwróciła!

I niemal natychmiast dorzuciła:

— Jak zabrała mi go zbrodnia, tak dobroć was wszystkich mi go przechowała i zrobiła z niego wyjątkowego człowieka...

— I jak podłość Noaha Tonesa doprowadziła w końcu do tego, że nasz Eryk stał się jednym z najbogatszych ludzi obu Ameryk! — zakrzyknął pan Bredejord.

Wszyscy popatrzyli po sobie ze zdumieniem.

— Ależ tak — ciągnął dalej znakomity adwokat. — Czy Eryk nie jest spadkobiercą swojego ojca w części jego własności obejmującej źródła "Vandalii"?... Czy nie był niesłusznie pozbawiony tych dochodów od lat dwudziestu dwóch? Czy nie wystarczy, aby uzyskać dowód synostwa poprzez nasze świadectwo, począwszy od Herseboma, jejmość Katriny i pana Malariusza? Jeśli Noah Jones pozostawił dzieci, te dzieci są odpowiedzialne za to ogromne zadłużenie, które ledwie pokryje należny mu kapitał. Jeśli nie istnieją dzieci tego łotra, zgodnie z postanowieniami traktatu, który nam odczytał pan Durrien, Eryk jest jedynym właścicielem całej posiadłości. W każdym razie powinien posiadać w Pensylwanii coś około stu pięćdziesięciu tysięcy, a może nawet dwustu tysięcy dolarów renty!

— Ha, ha! — roześmiał się doktor Schwaryencrona — oto jak mały rybak z Norø stał się wcale niezłą partią!... Laureat Nagrody Towarzystwa Geograficznego, autor pierwszej podróży dookoła bieguna, obciążony skromnym dochodem dwustu tysięcy dolarów — to mąż, jakich niewielu znajdzie się w Sztokholmie!... Co o tym myślisz, Kajsa?

Panienka spiekła raka na tę interpelację, której okrucieństwa jej wuj ani się domyślał. Kajsa mówiła sobie właśnie w duchu, że była wyjątkowo niezręczna odrzucając względy tak dystygowanego adoratora i że w przyszłości będzie musiała odnosić się do niego z większym szacunkiem.

Ale Eryk, rzecz szczególna, nie miał dla niej oczu od chwili, kiedy uznał się wyższy ponad jej niesprawiedliwą pogardę. A może długa rozłąka i nocne rozmyślenia na wachcie otworzyły mu oczy na oschłość serca Kajsy lub też satysfakcja, że nie jest już w jej oczach nędznym "znajdą", wystarczyła mu, dość że odnosił się do niej teraz wyłącznie z kurtuazją należną pannie i bratanicy doktora Schwaryencrony.

Obdarzał natomiast wszelkimi względami Wandę, która rzeczywiście stawała się coraz bardziej urocza, gubiąc szybko resztki wiejskiej niezdarności pod dachem kobiety dobrej i dystygowanej. Jej cudowna dobroć, wrodzony wdzięk, doskonała prostota ujmowały serca wszystkich, którzy się z nią stykali. Nie minął jeszcze tydzień od jej pobytu w Val-Féray, a już pani Durrien oświadczyła głośno, że niepodobieństwem byłoby dla niej rozstać się z dziewczęciem.

Eryk podjął się ułożenia wszystkiego nakłaniając maaster Herseboma i jejmość Katrinę, by zostawili Wandę we Francji pod specjalnym warunkiem, że każdego roku będzie wyjeżdżał wraz z nim do Norø, aby ich uściskać. Myślał też o tym, by zatrzymać w Bretanii całą swoją przybraną rodzinę i zaproponował, że każe przetransportować w pobliże redy Brestu drewniany dom, gdzie spędził swoje dzieciństwo. Ale owa masowa emigracja została uznana przez wszystkich za niewykonalną. Maaster Herseboom i jejmość Katrina byli już za starzy na podobną zmianę swoich nawyków. Nie mogli być całkiem szczęśliwi w kraju o obcym dla nich języku i obyczajach. Trzeba było zatem pozwolić im odjechać, zapewniając im wszelako tę swobodę finansową, której całe życie pracy i ucziwości nie zdołało im dotychczas dać.

Eryk chciał przynajmniej zatrzymać Ottona. Ale on także wolał swój fiord od wszystkich red na kuli ziemskiej i nie dostrzegał lepszej egzystencji aniżeli życie rybaka. Jeśli jednak trzeba wyznać wszystko, lniane włosy i niebieskie oczy córki zarządcy fabryki tranu nie były obce temu nieprzewyciężonemu przywiązaniu Ottona do Norø. Można było przynajmniej tak twierdzić,

dowiedziano się bowiem, że zamierza poślubić tę pannę w najbliższe Boże Narodzenie.

Pan Malarius liczy na to, że będzie kształcił ich dzieci tak, jak kształcił Eryka i Wandę. Z całą skromnością powrócił do wiejskiej szkoły, wziąwszy przedtem udział w zaszczytach przyznanych przez Francuskie Towarzystwo Geograficzne komendantowi "Alaski". Poprawia teraz szpalty swojego wspaniałego dzieła o florze mórz Arktyki, które wydaje "Societe Linneenne". Natomiast doktor Schwaryencrona nie skończył jeszcze wielkie go Traktatu Ikongraficznego, który ma przekazać potomności jego nazwisko.

Ostatnią sprawą sądową; jaką zajął się pan mecenas Bredejord, był proces mający na celu przyznanie Brykowi wyłącznych praw własności źródeł "Vandalia". Wygrał go w pierwszej instancji, wygrał również w apelacji, co jest nie lada jakim sukcesem.

Eryk wykorzystał ów sukces i wielką fortunę, która mu przypadła, by kupić "Alaskę", służącą mu odtąd dla przyjemności. Używa jej co roku udając się w towarzystwie pani Durrien i Wandy w odwiedzinach do Norø: do swojej przybranej rodziny. Choć jego status cywilny został zmieniony i choć nosi dziś oficjalnie nazwisko Emil Durrien, na własne życzenie zachował też nazwisko Hersebm, a jego bliscy przywykli mówić do niego Eryk.

Utajonym marzeniem jego matki jest to, by poślubił pewnego dnia Wandę, którą kocha jak własną córkę; a że jest ono zgodne ze skłonnością uczuć Eryka, zostanie pewnego dnia niechybnie zrealizowane.

Tymczasem Kajsa pozostaje panną, pielęgnując niewdzięczne uczucie, iż, jak mawiają, straciła okazję. Doktor Schwaryencrona, pan Bredejord i profesor Hochstedt grywają nadal w wista.

Któregoś wieczora, kiedy doktor okazywał się jeszcze gorszym graczem niż zwykle, pan Bredejord z wielką radością stukając w tabakierkę, przypomniał mu pewną okoliczność z dawna zapomnianą:

— Kiedy zamierza pan przysłać mi swojego Pliniusza Aldo Manuce'go? — spytał ze złośliwym błyskiem w oku. — Nie sądzisz pan chyba, że Eryk pochodzi z Irlandii?

Ten cios ogłuszył na chwilę doktora. Ale nasz uczony wprędce otrzeźwiał:

— Phi! Jeden z byłych prezydentów Francji pochodzi z rodziny irlandzkiej! — rzekł z przekonaniem. — Nie byłoby nic dziwnego w tym, żeby rodzina Durrienów wywodziła się również stamtąd!

— Oczywiście! — zgodził się pan Bredejord. — To jest nawet tak bardzo prawdopodobne, że jeszcze trochę, a będę musiał panu przysłać mojego Kwintyliana.

Przygotowano na podstawie bookini.pl